tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 43 (1346)
20-26.10.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Agnieszka Holland
Jestem po stronie skrzywdzonych

Paweł Siergiejczyk
Lustracja i awans miernot

Wojciech Kuczok
rozmawia z Tymonem Tymańskim



Waldemar Żurek

KOSZMAR PiS



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299













BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl 66f0f55e4a



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Październik56.pl

Przełom Października ’56 należy do najważniejszych wydarzeń w Polsce w XX w. Najbardziej twórczych i – niestety – najbardziej niedocenionych w powojennej historii kraju. To, co wówczas się stało, jest fenomenem w historii świata. Jakże żałosne na tym tle jest to, co robi Instytut Pamięci Narodowej, który za wydawane corocznie setki milionów złotych prezentuje karykaturalne paszkwile zamiast rzetelnych i udokumentowanych ocen świadków historii.

Na szczycie tej paranoi jest były szef IPN występujący dziś w nowej roli. Wiele wskazuje na to, że karuzela z ipeenowskimi bredniami będzie się kręciła jeszcze szybciej. Aż do głośnego i nieuchronnego bum. Jednak zanim do niego dojdzie, trzeba pokazywać, zwłaszcza młodym pokoleniom Polek i Polaków, prawdę o Październiku ’56. Przecież to wtedy zaczęło się demokratyzowanie Polski, jej liberalizacja. Ziarna zasiane wówczas dały owoce później. W początkach Solidarności w latach 80. i w czasie Okrągłego Stołu w 1989 r. Ale to w Październiku ‘56 miała miejsce kumulacja procesów społecznych, które wyzwoliły energię milionów Polaków. Pozbawiona gorsetu stalinowskiego kultura eksplodowała genialnymi dziełami, które do dziś budzą podziw. Doszło do ogromnych zmian w stosunkach społeczno-gospodarczych. Wieś odrzuciła kolektywizację. Rok 1956 w zasadniczy i trwały sposób zmienił sytuację nauki polskiej. Powstał klimat do nieskrępowanych badań, nastały lepsze czasy dla spółdzielni. Powstawały rady pracownicze. Polska otwierała się na świat.

Zmiany poparł prymas Wyszyński. Niestety, Październik ’56 słabo przebił się do świadomości potocznej. I to się nie zmieni bez naszej aktywności.

Kilka lat temu uruchomiliśmy stronę internetową Pazdziernik56.pl. Chcemy, by stała się kompendium wiedzy o tamtym okresie. Potrzebne jest interaktywne archiwum, do którego będą dokładane kolejne cegiełki. Wszyscy, którzy zechcą, będą mogli utrwalać pamięć o wspólnie przeżytych wydarzeniach. Plan mieliśmy ambitny, ale przerósł nasze możliwości. Strona internetowa jest, ale wymaga gruntownej przebudowy i stałej obsługi. A do tego potrzebne są środki finansowe. Tylko przy wsparciu Czytelników możemy sobie poradzić z tym zadaniem.

Liczę też na wsparcie partii, organizacji lewicowych, które doceniają znaczenie tego, co zrobili ich wybitni poprzednicy. W przyszłym roku będzie okrągła, 70. rocznica Października ’56. Chcemy ją uczcić nowoczesnym archiwum, serią książek i seminarium naukowym. Wszystkich zainteresowanych proszę o kontakt: jerzy.domanski@tygodnikprzeglad.pl i wsparcie finansowe.

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem „Październik56”

BĄKOWSKI



eprasa.pl 66f0f55e4a

W NUMERZE

KRAJ

8 **Żurek – koszmar PiS**
Najbardziej znienawidzony minister

12 **Polska wieś ugina się pod ciężarem problemów**
Ratunek w polskim banku rolnym

15 **Lustratorzy i lustrowani**
Dogmatyzm posunięty do absurdu

18 **Szykuje się drugi Wałbrzych**
Jastrzębska Spółka Węglowa nad przepaścią

22 **Jestem po stronie tych, których się krzywdzi**
– rozmowa z Agnieszką Holland

32 **Czy Warszawa ma gospodarza?**
Remontowy bałagan i dziwne decyzje

36 **Smycz zamiast wózka**
Dlaczego psiecko, a nie dziecko

56 **Wędkarz, czyli co się stało z Edytą**
Wspomnienia psychologa policyjnego

HISTORIA

26 **III wojna światowa (1981-1985) – realny konflikt, którego nie było**
Zaostrzenie sytuacji międzynarodowej

ZAGRANICA

28 **Nowe linie na piasku**
W Gazie nadal giną ludzie

50 **Ekspresowa moda, trwałe szkody**
Korespondencja z Francji

KULTURA

40 **Żarty się nie skończyły**
– rozmowa z Olafem Deriglasoffem i Ryszardem „Tymonem" Tymańskim

44 **Teatr z historii**
Czyli „Krzyżacy" Klaty w Olsztynie

46 **Blask czarnego karnawału**
Wystawa Ensora i Wojtkiewicza w MNW

48 **Qulturalia**

66 **Magical Dreams VIII**
Realizm magiczny w Szczyrku

EKOLOGIA

53 **Klimat a rozwarstwienie mieszkaniowe**
Tam gdzie cieplej, jest biedniej

OBSERWACJE

60 **Wiejski stół Juliusa Robertsa**
Ćwiczenia z doprawiania

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Październik56.pl

21 **Jan Widacki**
Szukając wyjścia w sytuacji bez wyjścia

31 **Roman Kurkiewicz**
Przez chwilę pod Lenino byłem

35 **Andrzej Szahaj**
Czas na Nowe Oświecenie

39 **Tomasz Jastrun**
Kosy na sztorc

49 **Wojciech Kuczok**
Wywiad to nie przesłuchanie



36
KRAJ

SMYCZ ZAMIAST WÓZKA
Dlaczego psiecko, a nie dziecko



44
KULTURA

TEATR Z HISTORII
Czyli „Krzyżacy" Klaty w Olsztynie



60
OBSERWACJE

WIEJSKI STÓŁ JULIUSA ROBERTSA
Ćwiczenia z doprawiania



Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 66f0f55e4a



Zatrzymać ludobójstwo w Palestynie

Związki zawodowe, a za nimi społeczeństwa wielu krajów, protestują przeciwko przemocy wobec Palestyny. We Włoszech ogłosiły strajk generalny. A nasze związki? Gdzie Solidarność Dudy? Gdzie się podziały miliony wrażliwych na krzywdę ludzką członków tej gloryfikowanej, broniącej praw ludzkich organizacji? Nie słyszę ich głosu. Są zajęci walką o świadczenia kombatanckie.

Krzysztof Kosowski, Kraków

Pożyczamy i pomagamy


Pożyczamy i pomagamy

Nasze zadłużenie zbliża się do 2 bln zł, mimo to wciąż hojnie pożyczamy

W nawiązaniu do tekstu Marka Czarkowskiego informuję, że w kurtuazyjnej rozmowie z ministrem Stefanem Mellerem, poprzedzającej mój wyjazd do Mongolii w roli ambasadora, zostałem poproszony o „posunięcie do przodu" sprawy zadłużenia Mongolii wobec Polski z czasów RWPG. Dług ten, po przeliczeniu z rubli transferowych, wynosił ok. 5 mln dol. Zdołałem sprawę sfinalizować w listopadzie 2006 r. i z upoważnienia premiera Jarosława Kaczyńskiego (ja, SLD-owiec) podpisywałem umowę z ministrem finansów Mongolii Nadmidynem Bayartsaikhanem. Zatem główne wyznaczone mi zadanie zrealizowałem już w pierwszym roku misji.

Zbigniew Kulak, ambasador Polski w Mongolii w latach 2005-2009

Dość ponurej atmosfery

Jaka szkoda, że nie ma już Pomarańczowej Alternatywy, bardzo by się teraz przydała do rozładowania ponurej atmosfery. Fajnie by było, gdyby po mieście biegały krasnale i wołały: „Bąkiewicz na sztorc! Wyrwać go z korzeniami i na Malbork!".

Piotr Gordon

Burza nad polskim rynkiem mieszkaniowym

Wszystko fajnie, tylko z drugiej strony barykady jest armia cwaniaków, którzy mogą i dokonują quasi-kradzieży mieszkania. Bo prawo w Polsce lepiej broni posiadacza niż właściciela lokalu. Spójrzmy na takie sytuacje: ktoś wziął kredyt na mieszkanie i wynajął je na rynku, żeby spłacać kredyt. Teraz zjawia się cwaniak, który przestaje płacić właścicielowi, bo zna prawo i wie, że nic mu nie grozi. I co ma robić właściciel? Opłacać raty kredytu, płacić za media i czekać cierpliwie na wyrok sądu, którego i tak nie będzie można wykonać, bo cwaniak nie ma lokalu zastępczego? W tym momencie pomagają jedynie firmy eksmitujące, bo nawet policja nic nie zrobi. Jak to jest, że ktoś zawiera umowę najmu, przestaje płacić i robi się z niego ofiarę? Ja też chciałbym kupić sobie najnowszy model lexusa na raty, a potem przestać je płacić i niech bank się tym martwi, a ja będę śmigał po autostradach darmowym samochodem. Bo czemu nie?


Burza nad polskim rynkiem mieszkaniowym

Kryzys mieszkaniowy stał się okazją do bezkontrolowanej działalności firm okienkarskich

Michał Czarnowski

ZDJĘCIA TYGODNIA





W wyniku porozumienia o zawieszeniu broni Hamas uwolnił wszystkich żyjących izraelskich zakładników, a Izrael wypuścił z więzień Palestyńczyków. Z lewej Palestyńczyk witany przez brata po przyjeździe do Ramallah, z prawej Gali Berman, który wreszcie mógł uścisnąć się z Zivem, bliźniakiem także więzionym przez Hamas. 13 października 2025 r. **(Więcej na s. 28)**

FOT. AFP/EAST NEWS (2)

eprasa.pl 66f0f55e4a

Kancelaria Prezydenta RP chce w przyszłym roku wydać **325,5 mln zł,** czyli **codziennie 892 tys. zł.** Rosną m.in. wydatki na płace (o 11,4 mln zł). Oszczędzanie na sobie nie jest w stylu prezydenta Nawrockiego. Może trzeba go będzie do tego przymusić. Ma z czego zrezygnować, bo jeszcze w 2015 r. budżet kancelarii prezydenta Dudy wynosił 140 mln zł.

•

Po założonej przez Amerykanów w 2022 r. bazie wokół lotniska w Jasionce na Podkarpaciu zostało tylko puste pole do wynajęcia.

•

Do 2070 r. Polska będzie spłacała 43,7 mld euro pożyczone z programu SAFE na obronność. Możemy je przeznaczyć na obronę powietrzną i przeciwrakietową, zakup dronów i systemów antydronowych.

•

W roku akademickim 2024/2025 wśród **105 tys. studentów zagranicznych** w Polsce najwięcej było studentów **z Ukrainy (47,8 tys.), Białorusi (17,2 tys.),** Turcji (4,8 tys.), Zimbabwe (3,9 tys.), Azerbejdżanu (3,3 tys.), Indii (3,2 tys.) i Chin (2,5 tys.).

•

Jest wreszcie rządowy projekt ustawy o związkach nieformalnych. A w nim propozycja, by związki mogły być zawierane u notariusza. Umowa ma regulować kwestie majątkowe, zdrowotne i dotyczące dziedziczenia. Nie przewiduje możliwości zawierania małżeństw.

•

240 mln dni spędzili Polacy na zwolnieniach lekarskich w 2024 r. 30 mln dni przypadło na zaburzenia psychiczne, a 1,6 mln na zwolnienia psychiatryczne.

•

Nagrody Narodowego Centrum Nauki przyznawane młodym naukowcom za wybitne osiągnięcia w ramach badań podstawowych otrzymali **dr hab. Bartosz Szyszko** (Uniwersytet Wrocławski), **prof. Maciej Stolarski** (Uniwersytet Warszawski) i **dr hab. Łucja Kowalewska** (też UW).

•

Jakub Iwaniec, sędzia Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa oddelegowany do Ministerstwa Sprawiedliwości za rządów Ziobry, do tej pory był znany z tzw. afery hejterskiej, a od soboty 11 października z jazdy po pijanemu (1,9 promila alkoholu we krwi) i uderzenia w drzewo. Ach, te pisowskie kadry.

•

Cezary Kulesza, prezes PZPN, i podległe mu struktury tolerują skandaliczne zachowania garstki kiboli na meczach reprezentacji. Sprzedając bilety, biorą odpowiedzialność za te wyczyny. Wiedzą przecież o zadymiarzach, którzy od dawna powinni mieć zakazy stadionowe, a nie wieszać w Kownie transparent obrażający premiera Tuska. Kara finansowa UEFA ich nie zaboli. Jak długo jeszcze prezesi Legii Warszawa i Lechii Gdańsk dadzą się terroryzować tym łobuzom?

•

Poseł PiS Łukasz Mejza po zatrzymaniu przez policję za jazdę drogą S3 na Dolnym Śląsku z prędkością 200 km/godz. nie przyjął mandatu i zasłonił się immunitetem. Kto wybrał do Sejmu taką łajzę?

•

Ponad 600 tys. osób pobiera w Polsce emerytury wyższe niż 7 tys. zł brutto.

PRZEBŁYSKI



Piotr Ostrowski. A kto to?

Jeszcze nie tak dawno OPZZ to była moc. Kto nie pamięta Janka Guza? Słyszała o nim cała Polska. Co więc się stało, że z bojowego związku zrobiła się bezbarwna galareta? Nieszczęście ma twarz Piotra Ostrowskiego, przewodniczącego OPZZ od 2022 r. Na kongresie OPZZ pojawili się wtedy niezaproszeni goście, Adrian Zandberg i Magdalena Biejat. Desant z Razem ograł niespodziewającego się takiego manewru Andrzeja Radzikowskiego. Jego zwolennicy wówczas zaspali. A cała struktura pod wodzą Ostrowskiego śpi do dziś. Jakaż to niemrawa grupa. Tylko oni mogli wpaść na pomysł, by zorganizować „Marsz niezadowolenia". Ludzie pracy są wkurzeni na maksa, niezadowoleni to mogą być z serialu telewizyjnego. Czy Piotr Ostrowski może być niezadowolony? A gdzie znajdzie lepszą posadę? Najlepiej ubrany związkowiec w Polsce, a może w całej Unii, pasuje do świata pracy jak musztarda do budyniu.



Pięć minut posłanki Buczyńskiej

O Agnieszce Buczyńskiej, posłance z Polski 2050, Polacy dowiedzieli się po dwóch latach rządów koalicji. Dopiero wtedy, gdy Buczyńska zaczęła marudzić, że nie obchodzi jej umowa koalicyjna podpisana przez Szymona Hołownię, stała się bohaterką mediów. Zwłaszcza tych, które stale atakują zarówno jej partię, jak i rząd.

Jak się zostaje idolką zaplecza medialnego PiS? Wystarczy zaatakować punkt umowy koalicyjnej dotyczący wymiany marszałka Hołowni na marszałka Czarzastego. W głowie posłanki zasada *pacta sunt servanda* jakoś się nie przyjęła. Zaciekawiło nas więc, kim Buczyńska jest z zawodu. Z CV wynika, że ma dość oryginalny życiorys. Jak sama mówi, „całe życie zajmowała się budowaniem wolontariatu".

Czyli zawodowa wolontariuszka. Przez wiele lat była wiceprezesem, a później prezesem Regionalnego Centrum Wolontariatu w Gdańsku. Współtworzy, buduje, koordynuje wolontariat. I pewnie wszyscy, poza zazdrośnikami, są zadowoleni.

Kowalski zamiast Unii



Nazywa się Kowalski. Janusz Kowalski, poseł PiS. Polityk, który w tej partii lokuje się między wagą piórkową a kogucią. Mentalnie blisko mu do koguta. Też lubi zapiać głośno i bez sensu.

Pożytek z Kowalskiego dla PiS jest taki, że chlapie on publicznie o tym, co pisowcy omawiają za zamkniętymi drzwiami. Stary wyga, jakim jest Kaczyński, wykorzystuje Kowalskiego do testowania, jak daleko partia może się posunąć. A że na tapecie jest teraz Unia Europejska, to Kowalski zapowiada: „Postulat wyjścia Polski z Unii albo budowy nowej na gruzach starej stanie się najważniejszym postulatem polskiej polityki po 2027" („Do Rzeczy"). Ciekawe, czy Polacy zagłosują za zastąpieniem Unii Europejskiej starą ZGP (Zorganizowaną Grupą Przestępczą).

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), FACEBOOK

eprasa.pl 66f0f55e4a



PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego PiS nieustannie prowadzi politykę antyniemiecką?

PROF. ADAM ROTFELD,
dyplomata, badacz stosunków międzynarodowych

Na płaszczyźnie intelektualnej krótka odpowiedź na postawione pytanie brzmi: jest to myślenie zgodne z filozofią Carla Schmitta, który wniósł wielki wkład do nazistowskiej koncepcji „polityczności". Twierdził, że w rozumieniu tego, co „polityczne", sprawą najważniejszą jest właściwe określenie wroga.

PROF. MARZENA CICHOSZ,
politolog, UWr

Nie jestem pewna, czy PiS prowadzi politykę antyniemiecką, ale z pewnością prowadzi narrację antyniemiecką. Powodów jest kilka, i to dość oczywistych. Z jednej strony, jest to „kreowanie negatywnego wizerunku rywala", w tym przypadku Koalicji Obywatelskiej i jej lidera Donalda Tuska. Stale uderzając w alarmistyczne, antyniemieckie tony, PiS może popularyzować i utrwalać wizerunek „proniemieckiej" KO, a jednocześnie na zasadzie kontrastu budować własne pozycje partii „prawdziwie patriotycznej" i antyniemieckiej właśnie. Z drugiej strony – i to w moim przekonaniu ważniejszy powód – narracja antyniemiecka jest stosowana na użytek elektoratu prawicowego, także tego skrajnie prawicowego, w którym PiS rywalizuje z Konfederacją i Konfederacją Korony Polskiej. Stosunkowo duże (według sondaży w sumie ok. 20%) poparcie dla tych dwóch formacji jest dla PiS zagrożeniem, więc walka o pozycję na prawicy trwa. Elektorat prawicowy jest podatny na antyniemieckie hasła i dzięki cyklicznemu ich przywoływaniu utrzymywany w stanie mobilizacji.

PROF. RADOSŁAW MARKOWSKI,
socjolog, politolog

Odpowiedź jest w gruncie rzeczy prosta. Elektorat PiS to w większości osoby starsze, słabiej wykształcone, często zagubione we współczesnej rzeczywistości. Nie rozumieją mechanizmów Unii Europejskiej i tego, że przez ostatnie 20 lat gigantyczne środki płynęły do Polski właśnie z Niemiec. Jest więcej powodów, żeby być antyrosyjskim, tymczasem antyniemiecka retoryka jest dziś łatwa, bo Niemcy faktycznie popełnili istotne błędy w polityce wobec Rosji, naiwnie zakładając, że powiązania gospodarcze uczynią ją bardziej przewidywalną. Tak się jednak nie stało. Dodatkowo niemiecka gospodarka spowolniła, nieefektywność z kolei stała się tematem żartów, więc klimat sprzyja krytyce. Paradoksem jest, że PiS atakuje Niemcy, a jednocześnie jego politycy współpracują z AfD, partią, której dojście do władzy byłoby dla Polski katastrofalne. To konglomerat czynników wewnętrznych i zewnętrznych, który sprzyja takiej narracji. Niemcy w ostatnim 30-leciu byli naszym największym sojusznikiem. Nie traktowali nas na tak specjalnych zasadach, na jakich traktują Izrael, ale byli wobec nas bardzo ostrożni i uważni ze względu na zaszłości historyczne.

Rozmawiała Weronika Mikusek

eprasa.pl 66f0f55e4a

ŻUREK KOSZMAR PiS



Minister sprawiedliwości jest jak mało kto zdeterminowany, by rozliczyć złodziejskie rządy poprzedników.

Nie ma bardziej znienawidzonego przez PiS ministra niż Waldemar Żurek

Andrzej Sikorski

Gdy słucha się polityków PiS, czyta propisowskie gazety i portale internetowe, można odnieść wrażenie, że minister sprawiedliwości i prokurator generalny jest niespełna rozumu typem spod ciemnej gwiazdy, pospolitym bandytą, a nawet zbrodniarzem. I tak Waldemar Żurek to „uzurpator", „kodziarski fanatyk", „małpa z brzytwą", „wariat", „szaleniec", który „nie szanuje ani polskiego prawa, ani konstytucji, ani zasad elementarnej przyzwoitości", a jego działania „mają charakter kryminalny".

Swoje zdanie o ministrze sprawiedliwości i prokuratorze generalnym wraził też prezes PiS Jarosław Kaczyński: „Waldemar Żurek jest człowiekiem, który powinien się znaleźć, i to na bardzo długie lata, w państwowych zakładach karnych, i wierzę w to, że się znajdzie. Bo łamie prawo w sposób tak bezczelny, jak jeszcze dotąd nie łamano".

PiS nienawidzi Żurka z kilku powodów. Minister sprawiedliwości jest jak mało kto zdeterminowany, by przywrócić praworządność i rozliczyć złodziejskie rządy poprzedników. Żurek jeszcze jako sędzia i rzecznik legalnej Krajowej Rady Sądownictwa (którą PiS wbrew konstytucji rozwiązało w trakcie kadencji) recenzował nadużycia władzy. Z czasem stał się jedną z twarzy protestu środowisk sędziowskich, za co był szykanowany. Jako ofiara represji zaś ma rozległą wiedzę o przestępczej działalności resortu sprawiedliwości pod kierownictwem Zbigniewa Ziobry. To powoduje dodatkowy strach w szeregach PiS.

Po pierwsze, praworządność

„Czeka nas bardzo trudna i pracowita droga. Bardzo wiele instytucji w Polsce zostało zniszczonych, instytucji, które dają obywatelom wolność. To jest dla mnie bardzo ważne, żeby te instytucje przywrócić", powiedział Waldemar Żurek podczas pierwszego wystąpienia po objęciu teki ministerialnej.

Te instytucje to przede wszystkim Trybunał Konstytucyjny, Krajowa Rada Sądownictwa, Sąd Najwyższy, Naczelny Sąd Administracyjny oraz sądy apelacyjne, okręgowe i rejonowe. Marionetkowy Trybunał Konstytucyjny, obsadzony przez dublerów, byłych polityków PiS oraz osoby niegodne tego urzędu, de facto nie funkcjonuje, zajmując się głównie ochroną funkcjonariuszy poprzedniej władzy. Podobnie jak

eprasa.pl 66f0f55e4a

skompromitowana i upolityczniona KRS. W Sądzie Najwyższym i Naczelnym Sądzie Administracyjnym trwa przepychanka między „starymi", legalnymi sędziami a tymi powołanymi przez neo-KRS i prezydenta Andrzeja Dudę. Tragiczna jest sytuacja w sądach niższej instancji, które działają na wariackich papierach. Spraw do rozpatrzenia przybywa, sędziowie, którzy osiągnęli stosowny wiek, przechodzą w stan spoczynku, a ich następcy nie są powoływani. W najbardziej „oblężonych" sądach czeka się nawet dwa lata na rozpoczęcie procesu, a potem rozprawy odbywają się co pół roku. W sprawach, w których trzeba przesłuchać kilkunastu świadków, proces w pierwszej instancji może potrwać nawet 10 lat.

Wymiar sprawiedliwości jest fundamentem demokratycznego państwa prawa. Gdy dochodzi do jego paraliżu, a tak jest teraz, demokracja staje się fikcją. Zamiast tego mamy chaos, poczucie niepewności i narastający konflikt, który w końcu wybuchnie. Przedsmak tego, co może się wydarzyć, mieliśmy przy okazji awantur z zatwierdzeniem wyników wyborów prezydenckich, a wcześniej żenującej epopei ułaskawienia przez prezydenta Dudę Macieja Wąsika i Mariusza Kamińskiego. Politycy PiS nie uznali prawomocnego wyroku sądu o zakazie pełnienia funkcji publicznych i pojawili się na głosowaniach w Sejmie, dopuszczając się tym samym kolejnego przestępstwa, za co grozi nawet pięć lat więzienia.

To właśnie neosędziowie (jest ich ok. 3 tys.), którzy otrzymali nominacje od nielegalnej KRS, są najbardziej palącym wyzwaniem dla ministra sprawiedliwości. Przypomnijmy, w 2017 r. PiS uchwaliło ustawę wygaszającą kadencje wszystkich członków „starej" KRS, a wyborem 15 nowych członków i jednocześnie sędziów miał się zająć Sejm, co było sprzeczne z zapisami konstytucji i łamało trójpodział władzy (przedtem to środowiska sędziowskie wybierały swoich przedstawicieli do KRS). Nowa KRS została obsadzona przez prawników sfraternizowanych z PiS. W ten sposób ówczesna partia władzy przejęła całkowitą kontrolę nad organem konstytucyjnym mającym stać na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów.

Droga kasta PiS

Do konkursów organizowanych przez upolitycznioną KRS przystępowali (i otrzymywali nominacje sędziowskie lub nominacje do sądów wyższych instancji) prawnicy często bez wymaganych kwalifikacji, zdarzało się, że byli to krewni, konkubenci oraz członkowie rodzin polityków PiS i sędziów, którzy poszli na współpracę z resortem Zbigniewa Ziobry, osoby przypadkowe lub zwykli karierowicze. Na urzędy sędziowskie zostały powołane żony Mariusza Kamińskiego i Karola Karskiego. Sędzią został, choć nie spełniał wymagań formalnych, były steward linii lotniczych Emirates. Wymowny jest przypadek Anny Dziergawki, która w konkursie na wolne stanowisko w Sądzie Najwyższym organizowanym przez neo-KRS dołączyła do swoich akt pismo od biskupa bydgoskiego Krzysztofa Włodarczyka, zaświadczające o jej kwalifikacjach moralnych. Jesienią 2023 r. prezydent Andrzej Duda wręczył oddanej córce Kościoła nominację do SN.

Takich wadliwie powołanych przez upolitycznioną KRS sędziów w sądach rejonowych, okręgowych i apelacyjnych jest już prawie 30%. W Naczelnym Sądzie Administracyjnym neosędziowie stanowią 34%, a w Sądzie Najwyższym 60%. Jak mówił Waldemar Żurek, „te osoby wychodzą na salę rozpraw i za to wszyscy płacimy – w wyniku wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej". Zgodnie z orzecznictwem trybunałów powołani przez uzależnioną politycznie neo-KRS sędziowie nie dają gwarancji bezstronności, a składy orzekające z ich udziałem nie są sądem w rozumieniu prawa UE. Wydawanie wyroków przez neosędziów kosztowało już Polskę ponad 5,5 mln zł w wypłaconych odszkodowaniach zasądzonych przez ETPC i dodatkowo 3 mld zł w ramach kary nałożonej przez TSUE za naruszenia praworządności, w tym orzekanie przez neosędziów Izby Dyscyplinarnej SN.

Dlatego Waldemar Żurek przygotował tzw. ustawę praworządnościową. „Ustawa ureguluje status neosędziów i wyeliminuje na przyszłość roszczenia odszkodowawcze z tytułu ich udziału w sprawach. Kluczowym celem jest także otwarcie drogi do oczyszczenia składu przyszłej, legalnej KRS oraz przywrócenia niezależnego wymiaru sprawiedliwości, który nie będzie kwestionowany przez trybunały międzynarodowe i instytucje Unii Europejskiej", zapowiedział minister sprawiedliwości.

Do konkursów organizowanych przez upolitycznioną KRS przystępowali prawnicy często bez wymaganych kwalifikacji, krewni oraz członkowie rodzin polityków PiS.

Wedle zaproponowanych zmian neosędziowie zostaną podzieleni na kilka grup. Młodzi sędziowie po asesurze lub egzaminie sędziowskim zachowają status sędziego. Z kolei ci prawnicy, którzy byli wcześniej sędziami, a dzięki nielegalnej KRS awansowali lub dostali stanowiska w innych sądach, zostaną cofnięci na stanowiska sprzed awansów, ale przez dwa lata pozostaną w dotychczasowych sądach na dwuletnich delegacjach, by dokończyć swoje sprawy. Osoby, które zostały neosędziami, a wcześniej wykonywały inne zawody prawnicze, stracą status sędziego i będą mogły wrócić do dawnych zawodów albo pozostać w sądach na stanowisku referendarza. Natomiast neosędziowie SN zostaną pozbawieni urzędu, a ich akty powołania będą uznane za nieważne.

Oprócz regulacji statusu neosędziów projektowana ustawa zakłada przywrócenie legalnej KRS oraz likwidację Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN. Ale to nie koniec. Minister zapowiedział, że wkrótce przedstawi projekty kolejnych ustaw, m.in. o powrocie sędziów ze stanu spoczynku, i ustawy

eprasa.pl 66f0f55e4a

reformujące, które mają przyśpieszyć postępowania, czy te dotyczące informatyzacji.

Pohukiwania i wymowne milczenie

Niestety, problem z przywracaniem praworządności jest taki, że bez akceptacji prezydenta trudno będzie przeprowadzić sanację sądownictwa. A Karol Nawrocki zapowiedział, że nie zaakceptuje, jak to ujął, „terroru bezprawia", czyli naruszenia statusu neosędziów i neo-KRS oraz likwidacji Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych.

Waldemar Żurek pytany przez dziennikarzy, czy jest plan B na wypadek wet prezydenta, odpowiedział twierdząco, ale zastrzegł, że nie ujawni szczegółów. Strategię obstrukcji działań ministra sprawiedliwości ma pierwsza prezes SN neosędzia Małgorzata Manowska. W rozmowie z „Gazetą Polską" zdradziła, że współpracuje z Pałacem Prezydenckim.

Zgodnie z orzecznictwem trybunałów sędziowie powołani przez neo-KRS nie dają gwarancji bezstronności.

„Nie mogę jednak mówić o szczegółach. Jest konkretny plan, który w miarę szybko zostanie zrealizowany", powiedziała tajemniczo.

Wiele wskazuje na to, że będziemy świadkami gigantycznej awantury. Ale Waldemar Żurek nie ma już drogi odwrotu. Niepokojące w tej sytuacji jest milczenie partii tworzących Koalicję 15 Października: PSL, Lewicy i Polski 2050. Przedstawiciele tych ugrupowań, zamiast stanąć u boku ministra, dając jasny przekaz wsparcia, są zajęci wewnątrzpartyjnymi rozgrywkami, spadającymi notowaniami, a być może układaniem się z PiS. Jak już wiemy, potajemne nocne konszachty Szymona Hołowni z Jarosławem Kaczyńskim i Adamem Bielanem nie były „wypadkiem przy pracy".

Waldemar Żurek przywraca praworządność także na innych polach. Zawiesił, a potem odwołał ok. 50 prezesów i wiceprezesów sądów oraz kilku sędziów delegowanych do ministerstwa, którzy zawdzięczali kariery i stanowiska Zbigniewowi Ziobrze. Wśród nich była neosędzia Małgorzata Hencel-Święczkowska, prezeska Sądu Rejonowego w Sosnowcu i żona byłego prokuratora krajowego Bogdana Święczkowskiego, teraz prezesa marionetkowego Trybunału Konstytucyjnego. Żurek odwołał Hencel-Święczkowską, bo ta nie dawała rękojmi prawidłowego wykonywania obowiązków. Sąd Najwyższy złożony z legalnych sędziów uznał, że prawniczka nie jest niezależnym sędzią, bo nie tylko została wadliwie powołana na sędziego sądu okręgowego, ale była też silnie powiązana z przedstawicielami ówczesnej władzy wykonawczej i aprobowała działania, których celem było podporządkowanie struktur sądownictwa i uzyskanie wpływu na wymiar sprawiedliwości. Tym samym swoją postawą okazała poparcie dla zamachu na niezależność sądów, a takie zachowanie powinno być ocenione pod kątem deliktu dyscyplinarnego.

Szef resortu sprawiedliwości zwrócił się również do ministra spraw wewnętrznych i administracji o rozważenie odwołania 44 sędziów – komisarzy wyborczych, nominatów poprzedniej władzy. Poza tym Żurek odwołał ze stanowiska rzecznika dyscyplinarnego sędziów Michała Lasotę, ostatniego z trzech głównych, owianych złą sławą rzeczników dyscyplinarnych, powołanych jeszcze przez Zbigniewa Ziobrę, których zadaniem było represjonowanie sędziów walczących o praworządność. Natomiast do nowego rzecznika dyscyplinarnego minister sprawiedliwości wystąpił o odwołanie pisowskich rzeczników dyscyplinarnych działających przy sądach okręgowych i apelacyjnych.

W Prokuraturze Krajowej powołano zespół ds. działań neosędziów w Sądzie Najwyższym i Naczelnym Sądzie Administracyjnym. Prokuratorzy uczestniczą w postępowaniach z udziałem takich prawników, wnosząc, aby ci powstrzymywali się od orzekania, gdyż wydawane przez nich wyroki są zaskarżane do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który nakazuje Polsce wypłacać pokrzywdzonym stronom odszkodowania.

Przywrócić sprawiedliwość

Wreszcie Waldemar Żurek zniósł częściowo tzw. ziobrolotek, czyli system losowego przydziału spraw sędziom (SLPS). Wprowadzony w 2018 r. i zarządzany przez Zbigniewa Ziobrę niejawny i nietransparentny mechanizm, rzekome panaceum na możliwe manipulacje, był poddawany krytyce przez środowiska prawnicze i strony postępowań. Okazywało się np., że jeden z sędziów w wydziale dostawał kilkanaście spraw, wielotomowych, a w tym samym dniu kolega z pokoju losował dwie proste sprawy nakazowe. Nieprawdopodobnym szczęściem mogła się pochwalić posłanka PiS Krystyna Pawłowicz. W trzech procesach o naruszenie dóbr osobistych wylosowała tego samego sędziego, którego awans pozytywnie opiniowała i który wydawał wyroki po jej myśli.

O nadużyciach w systemie losowania sędziów alarmował europoseł Krzysztof Brejza. Polityk ujawnił, że w jego sprawach związanych z inwigilacją Pegasusem kilkukrotnie w Sądzie Okręgowym w Bydgoszczy wprowadzono do systemu nazwisko tego samego neosędziego i jednocześnie zastępcy rzecznika dyscyplinarnego, czyli zaufanego człowieka Ziobry. Suchej nitki na „ziobrolotku" nie zostawiła Najwyższa Izba Kontroli. Zdaniem NIK całe przedsięwzięcie zostało nierzetelnie przygotowane i zrealizowane, a system nie gwarantował „pełnej transparentności procesu losowania", co wpłynęło „negatywnie na równomierność przydziału spraw referentom oraz spowodowało wyłączenie mechanizmów zabezpieczających przed ewentualnymi, intencjonalnymi działaniami ograniczającymi losowość przydziału".

Podejrzenia wobec SLPS wzbudzał sam Ziobro. Nie chciał bowiem ujawnić, kto przygotował program komputerowy, ani podać szczegółów

eprasa.pl 66f0f55e4a



Waldemar Żurek ma rozległą wiedzę o przestępczych działaniach resortu sprawiedliwości za czasów Zbigniewa Ziobry – nz. były minister z Ryszardem Terleckim, Jarosławem Kaczyńskim i Mariuszem Błaszczakiem.

działania systemu, w tym kodu źródłowego.

Zgodnie z nowymi wytycznymi teraz do trzyosobowych składów sędziowskich nie trzeba będzie losować trzech sędziów, wystarczy wylosowanie jednego. Dwóch pozostałych członków składu będzie mógł wyznaczyć przewodniczący wydziału. Politycy PiS krzyczeli o ręcznym sterowaniu rozprawami i zamachu na demokrację, jednak wedle zapowiedzi ministra chodzi o to, żeby usprawnić pracę sądów i ograniczyć orzekanie neosędziów.

„Dalej mamy losowy przydział spraw, ale ten system daje możliwości wylosowania referenta i dokooptowania pozostałych członków składu w transparentnej procedurze, która zostanie ustalona między kolegium i prezesem sądu. Będzie to się działo tylko w tych sądach, gdzie jest chaos wywołany przez SLPS. (…) Eliminujemy ryzyko wyroków wydawanych przez nielegalne składy, a obywatel zyskuje pewność, że jego sprawa będzie rozpoznana szybko", zapewniał Waldemar Żurek.

Kolejnym obszarem, który wymaga sanacji, jest prokuratura. Co prawda, prokuratorem krajowym jest Dariusz Korneluk powołany jeszcze przez Adama Bodnara, ale pięciu zastępców prokuratora generalnego to tzw. ziobryści, a Robert Hernand i Michał Ostrowski nie uznają swoich przełożonych, czemu demonstracyjnie dają wyraz. Śledztw prowadzonych w sprawie nadużyć poprzedniej władzy jest kilkaset i toczą się one jak po grudzie. Niektóre są sabotowane przez prokuratorów sprzyjających Zbigniewowi Ziobrze. Dlatego Waldemar Żurek zapowiedział, że odblokuje prokuratury i dokona przeglądu kadr. „Chcę ustalić, gdzie są ludzie ministra Ziobry, którzy utrudniają ich prowadzenie. Tego rodzaju śledztwa obejmujemy nadzorem", obiecał minister.

Jednym z takich postępowań jest toczące się od 10 lat śledztwo w sprawie fałszerstw na listach poparcia kandydatów Młodzieży Wszechpolskiej, którzy startowali z komitetu wyborczego Ruchu Narodowego w wyborach do sejmiku podlaskiego w 2014 r. Szefem wszechpolaków był wtedy Adam Andruszkiewicz, teraz minister w kancelarii prezydenta Karola Nawrockiego. Podobno już w 2018 r. śledczy chcieli postawić Andruszkiewiczowi zarzuty, ale po interwencji „z góry" wycofali się.

Między innymi w identyfikacji takich politycznie sabotowanych śledztw pomagać będzie Waldemarowi Żurkowi prokurator Ewa Wrzosek. Uważana za fighterkę niezłomna prawniczka, równie bezwzględnie szykanowana za rządów PiS, została delegowana do Ministerstwa Sprawiedliwości. Wrzosek nie tylko będzie doradzać Żurkowi, ale też ma być jego łącznikiem z Prokuraturą Krajową.

Histeria PiS

Działania ministra sprawiedliwości wywołują oburzenie PiS. „Żurek tak naprawdę zadaje śmiertelny cios niezawisłemu, niezależnemu, polskiemu sądownictwu, poprzez swoje działania, które prowadzą do tego, by ustawiać zaufanych sędziów u władzy. Każda władza, jeśli ustawia swoich zaufanych sędziów, może też drukować wyroki", biadolił Zbigniew Ziobro. A przecież to sędzia Łukasz Piebiak, zastępca Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości i główny bohater afery hejterskiej, wygłosił słynną maksymę, że „za czynienie dobra nie wsadzamy". Piebiak wypowiedział te słowa w rozmowie z „Małą Emi", wspólniczką w przestępczym procederze, gdy ta wyraziła nadzieję, że za to, co robi, nie pójdzie do więzienia.

Histeria PiS na punkcie Żurka przybrała formę groteski. Niedawno minister sprawiedliwości pojawił się w Sądzie Najwyższym na zaproszenie Rady Ławniczej, czyli samorządu ławników tego sądu. Na posiedzeniu mówił o przygotowywanych reformach SN, w tym o zmianach dotyczących ławników. Po oficjalnym spotkaniu Waldemar Żurek i przewodniczący Rady Ławniczej dr Andrzej Kompa wyszli do dziennikarzy. Nagle pojawił się neosędzia Aleksander Stępkowski, współzałożyciel Ordo Iuris i były wiceminister spraw zagranicznych w rządzie PiS, który w amoku zaczął krzyczeć: „Pan minister wtargnął na teren SN jako władza wykonawcza. Mamy do czynienia z brutalnym najściem!". Takie zachowanie wywołało powszechne zdumienie. Odbiegało od przyjętych norm i nie było adekwatne do zaistniałej sytuacji. Pojawiły się także uzasadnione pytania o stan psychiczny neosędziego. Przecież Żurek przyszedł do SN, wpuszczony przez ochronę, na oficjalne zaproszenie samorządu ławniczego, o czym wiedziała pierwsza prezes SN Małgorzata Manowska. Ale PiS nie ma żadnych hamulców w obrzucaniu błotem i obelgami niewygodnego ministra.

Andrzej Sikorski

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER, ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

eprasa.pl 66f0f55e4a

Polska wieś ugina się pod ciężarem problemów

Bez państwowego banku rolnego nic się nie zmieni



Samozbiory w województwie kujawsko-pomorskim, październik 2025 r.

Marek Czarkowski

11 października br. w sieci pojawił się film, na którym widać ludzi ładujących ziemniaki: do worków, wózków, samochodów, a nawet przyczep ciągnikowych. Działo się to we wsi Dąbrowica na Podkarpaciu i było efektem informacji, która pojawiła się na portalu Pepper.pl, o tym, że rolnik, nie mogąc sprzedać ponad 150 ton ziemniaków, gotów jest oddać je chętnym za darmo.

Okazało się jednak, że o żadnym rozdawnictwie nie mogło być mowy. Do redakcji rzeszowskich „Nowin" zgłosił się Piotr Gryta, współwłaściciel przedsiębiorstwa zajmującego się przetwórstwem gorzelniczym. Zaprzeczył, by ziemniaki miały być rozdawane. Twierdził, że został okradziony. Swoje straty oszacował na 60 tys. zł. „Mam nadzieję, że ci, którzy tam byli, zgłoszą się do mnie, wyjaśnią sytuację i sprawę załatwimy polubownie. Jeśli nie, to sprawa może trafić do prokuratury", mówił dziennikarzom.

Był to kulminacyjny moment akcji, którą w mediach ochrzczono samozbiorami. Polega ona na tym, że chętni mogą się zaopatrzyć w owoce i warzywa bezpośrednio u rolników, pod warunkiem że sami zbiorą z pól i sadów potrzebne im produkty, płacąc za nie o wiele niższą cenę niż w sklepach czy supermarketach.

Samozbiory to nic nowego. Niektórzy rolnicy od dawna oferowali chętnym możliwość takiego zakupu borówek, malin, truskawek, kapusty czy właśnie ziemniaków.

3 października br. Andrzej Urbanek, sadownik z Korczyny w województwie podkarpackim, opublikował w mediach społecznościowych film, na którym porównał cenę małych jabłek przemysłowych w markecie – 5,99 zł/kg – z dużymi, deserowymi jabłkami w jego sadzie po 4 zł/kg. Materiał zyskał ogromną popularność, a jego sklep internetowy został zalany zamówieniami. Przy 1600. zamówieniu zablokowały się serwery.

Podobną sławę zyskał rolnik spod Trzebnicy w województwie dolnośląskim. Został oszukany przez nieuczciwego kontrahenta, który nie

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 66f0f55e4a

odebrał 11 ton zamówionych śliwek. Mogło to go kosztować 36 tys. zł. Na szczęście na pomoc ruszyli ludzie i szybko wykupili owoce.

Ta forma sprzedaży zyskała w ostatnich tygodniach – dzięki internetowi – sporą popularność. W Mogielnicy w województwie mazowieckim gospodarstwo ogrodnicze oferuje jabłka w cenie 2 zł/kg. Podobną ofertę ma sad w Pietrzykowicach pod Wrocławiem. Pod Krakowem i w okolicach Oświęcimia można z kolei zbierać jagody kamczackie w cenie 15-20 zł/kg. Szczegóły tego ogłoszenia – i dziesiątki innych – znajdziemy na portalu Myzbieramy.pl.

Samozbiory stały się w tym roku rozwiązaniem korzystnym dla obu stron – rolnicy ratują plony przed zmarnowaniem i otrzymują lepsze ceny niż w skupie, a konsumenci płacą za świeże, sezonowe owoce znacznie mniej niż w sklepach. Na razie jest to margines handlu produktami rolnymi w Polsce, a były wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak nazwał samozbiory „aktem desperacji rolników".

Za to wśród rolników dojrzewa myśl, że potrzebne są rozwiązania systemowe, które zapewnią im stabilny dochód. Zwłaszcza że pośrednicy, którzy kupują od nich produkty, powołują się teraz na przykłady samozbiorów i żądają obniżenia cen!

I tak źle, i tak niedobrze

W Polsce jest tak: jeśli panuje susza, to natychmiast pojawia się hasło „Dawaj dopłaty!". Jeśli zdarzy się powódź czy podtopienie, gradobicie, pryszczyca, afrykański pomór świń, ptasia grypa lub przymrozki – „Dawaj dopłaty!". Inaczej zablokujemy traktorami drogi krajowe, zorganizujemy w Warszawie demonstracje i wylejemy gnojowicę przed urzędami. Rolnicy wściekają się, widząc ceny ziemniaków, marchwi, cebuli, jabłek, śliwek i gruszek w supermarketach i porównują je z cenami w skupach. Niedawno Związek Sadowników Rzeczpospolitej Polskiej przekonywał, że „większość sieci handlowych, w tym również polskie, próbuje wymusić na swoich dostawcach sprzedaż jabłek po skandalicznie niskich cenach – nawet poniżej 1 zł/kg. Podczas gdy średnia cena na półkach to 5-6 zł/kg".

Według wstępnych szacunków GUS w tym roku produkcja ziemniaków wzrosła o 15% i przekroczyła 6,8 mln ton. W konsekwencji ich cena hurtowa na giełdzie w Broniszach waha się dziś od 60 gr/kg do 80 gr/kg i jest o ok. 40% niższa niż w roku ubiegłym! Przy czym nie ma ona prawie żadnego wpływu na cenę detaliczną w sklepach czy supermarketach.

Ostatnio w jednym z wywiadów minister rolnictwa Stefan Krajewski ogłosił, że mamy do czynienia z klęską urodzaju, wyjaśniając: „Bardzo często to pośrednicy czerpią zyski kosztem producentów". Posunął się nawet do supozycji, że mogło dojść „do zmowy cenowej na rynkach rolnych" – są bowiem takie sygnały – i dodał, że skierował w tej sprawie pismo do prezesa Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, aby ten sprawdził, czy do zmów nie dochodzi.

W ocenie Wielkopolskiej Izby Rolniczej ceny skupu zbóż spadły dziś do poziomu notowanego prawie 20 lat temu. W tym samym czasie koszty nawozów, paliwa czy środków ochrony roślin wzrosły wielokrotnie. Na skutek tego wielu rolników w regionie znalazło się na granicy utraty płynności finansowej i zdolności kredytowej. A bez dostępnych kredytów żadna sensowna produkcja rolna nie jest możliwa. Dlatego izba domaga się interwencji ze strony państwa i dowodzi, że jednym ze skutecznych sposobów na poprawę sytuacji byłaby odbudowa pogłowia trzody chlewnej, co zwiększyłoby krajowy popyt na zboża i ustabilizowało rynek. Tymczasem w połowie tego roku hodowaliśmy – zgodnie z danymi ARiMR zaledwie 9 186 543 sztuki świń. I był to gorszy wynik niż w 1950 r.! W tym samym okresie według danych GUS do Polski wjechało 4 252 900 sztuk żywej trzody chlewnej, głównie z Danii. Oznacza to wzrost o 3,8% w stosunku do analogicznego okresu 2024 r.

Zachodniopomorska Izba Rolnicza domaga się uruchomienia skupu interwencyjnego oraz ustalenia cen referencyjnych. W jej ocenie kluczową rolę w handlu zbożem i w stabilizacji rynku mogłaby odegrać Krajowa Grupa Spożywcza.

Kłopot w tym, że w ostatnich latach, jeśli państwo podejmowało tego rodzaju interwencje, kończyło się to aferami. Przypomnieć można np. skandal związany z Elewarrem (skup zboża) i spółką Eskimos, która za rządów PiS miała skupować jabłka od sadowników. Tak skupowała, że związane z nią osoby znajdują się dziś w kręgu zainteresowania prokuratury. Obydwie sprawy opisywaliśmy na łamach „Przeglądu".

Wśród rolników dojrzewa myśl, że potrzebne są rozwiązania systemowe, które zapewnią im stabilny dochód.

Słuchając działaczy związkowych i polityków PiS (konfederatów rolnictwo nie interesuje), można odnieść wrażenie, że cokolwiek by się działo, jest źle i będzie jeszcze gorzej.

Nie wszyscy narzekają

Mało jednocześnie mówi się o tym, że w rolnictwie są jednak sektory, które mają się dobrze. Na przykład w roku ubiegłym ceny mleka wzrosły o 25%, a nasze spółdzielnie mleczarskie, takie jak Mlekpol, Mlekovita czy Koło, należą do największych tego rodzaju firm w Europie.

Także ceny wołowiny wzrosły o 17%, co przełożyło się bezpośrednio na poprawę kondycji gospodarstw specjalizujących się w hodowli bydła. Rocznie eksportujemy 500 tys. ton mięsa wołowego i jego przetworów o wartości 10-11 mld zł. Na eksport trafia od 80% do 90% krajowej produkcji wołowiny. Ostatnio nawet na Malediwy!

Nie mogą też narzekać producenci drobiu. Ceny kurcząt rzeźnych wzrosły o 10%. Polska jest trzecim

eprasa.pl 66f0f55e4a

po Brazylii i Stanach Zjednoczonych eksporterem drobiu na świecie. Rocznie sprzedajemy od 1,6 mln do 2 mln ton. To od 53,8% do 60% całej naszej produkcji mięsa drobiowego. Generuje to 50% przychodów z eksportu wszystkich polskich produktów mięsnych. Sukces ogromny, ale i wielkie zagrożenie. Szacuje się, że po wejściu w życie umowy Unii Europejskiej z państwami Mercosur branża drobiarska poniesie największe straty, gdyż zmuszona będzie konkurować z tanimi produktami z Brazylii.

Firmy drobiarskie zatrudniają dziesiątki tysięcy pracowników. Zasadniczym warunkiem utrzymania stabilności w tym sektorze jest zapewnienie eksportu minimum 40% krajowej produkcji. Bez tego rynek wewnętrzny nie będzie w stanie wchłonąć nadwyżek. A gdy producenci drobiu wpadną w kłopoty, wróci stary okrzyk „Dawaj dopłaty!".

Jak żyć, panie premierze?

13 sierpnia 2011 r. podczas wizyty premiera Donalda Tuska w rejonach dotkniętych nawałnicą, która zniszczyła gospodarstwa rolników, Stanisław Kowalczyk, plantator papryki z miejscowości Rętwiny w województwie mazowieckim, stojąc przed kamerami rzucił dramatyczne pytanie, które przeszło do historii: „Jak żyć, panie premierze?".

Większość Polaków nie rozumie polityki wobec wsi kolejnych zmieniających się rządów. Może dlatego, że de facto jej nie ma? Po 2004 r. najczęstszym tłumaczeniem, jakie słyszeliśmy z ust rządzących, było: „Niewiele da się zrobić, bo musimy działać zgodnie z obowiązującymi w Unii regułami". Dawano do zrozumienia, że „wszystkiemu winna jest Bruksela". Ostatnio przykładem wszelkiego brukselskiego zła jest Zielony Ład.

Co ciekawe, w tym roku w wypowiedziach działaczy rolniczych i polityków pojawił się podnoszony od lat na łamach „Przeglądu" postulat powołania państwowego banku rolnego. Zbigniew Łuba, członek zarządu Podlaskiej Izby Rolniczej, podczas jednego z posiedzeń sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi powiedział: „Bez banku rolnego to my, jako rolnicy, giniemy. Jak możemy brać kredyty w parabankach na 15%? (…) Dlaczego nie ma żadnych pieniędzy przeznaczonych na bank rolny?".

Wtórował mu Jan Ogił, prezes Stowarzyszenia dla Powiatu, który argumentował: „Podjęcie tego kroku zyskałoby ogromne znaczenie nie tylko dla sektora rolnego, ale i dla całej gospodarki narodowej. Państwowy Bank Rolny stanowiłby narzędzie wsparcia finansowego dla rolników indywidualnych, przedsiębiorców, jak i instytucji publicznych związanych z rolnictwem, takich jak ARiMR czy KOWR".

W rolnictwie są jednak sektory, które mają się dobrze. Na przykład w roku ubiegłym ceny mleka wzrosły o 25%.

Nawet minister Stefan Krajewski podczas obrad Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi, gdy debatowano na ten temat, powiedział: „Tak naprawdę jedyny bank, który dzisiaj tak działa, jako bank rządowy, państwowy, bo tak można by powiedzieć – to Bank Gospodarstwa Krajowego. Na wzór tego banku można byłoby podjąć próbę przygotowania takiego banku rolnego".

A może wziąć przykład z Danii?

Ostatnio były minister rolnictwa i poseł PSL Marek Sawicki zaproponował, by rząd kupił jedną z dużych sieci supermarketów, a następnie zaczął sprzedawać rolnikom udziały w niej. Sawicki dobrze wie, że w Danii, której rolnictwo jest na najwyższym światowym poziomie, filarem powodzenia jest posiadanie przez zrzeszonych w spółdzielniach farmerów własnych punktów skupu, przetwórni, spółek zajmujących się eksportem towarów, własnych magazynów i sklepów.

Warto sobie uświadomić, że właścicielem zakładów mięsnych Sokołów jest dzisiaj spółka Danish Crown, należąca do spółdzielni Leverandørselskabet Danish Crown A.m.b.a, której członkami jest 9 tys. duńskich rolników, producentów trzody chlewnej i bydła. Spółdzielnia powstała i działa w duchu tradycji duńskiego ruchu kooperatywnego, sięgającego roku 1887, kiedy to rolnicy z okolic Horsens założyli pierwszą rzeźnię spółdzielczą.

Podobny model rolnictwa opartego na spółdzielniach, które kontrolują produkcję i handel żywnością, funkcjonuje, i to bardzo dobrze, w Korei Południowej i Japonii.

Przyszłość polskiego rolnictwa jest dziś niepewna. Główną barierą wzrostu produktywności pozostaje rozdrobniona struktura agrarna, z ponad połową gospodarstw o powierzchni poniżej 10 ha.

Proces konsolidacji postępuje bardzo powoli, a gospodarze posiadający większe gospodarstwa, zwłaszcza specjalizujące się w produkcji zbóż, muszą zmagać się z problemami ze zbytem swoich produktów. O częstych kłopotach z uzyskaniem kredytów nie wspomnę. Utrzymanie tego stanu będzie prowadziło do poważnych problemów. A jeśli się pojawią, wróci hasło: „Dawaj dopłaty!", które tym razem nie przyniesie oczekiwanych efektów.

Rolnicy powinni zacząć współdziałać, muszą mieć również wsparcie finansowe ze strony państwowego banku rolnego. Muszą mieć możliwość sprzedaży warzyw, owoców, mięsa i wszelkich innych produktów do dużej sieci marketów, należącej albo do nich, albo do państwa. I obowiązkiem rządzących jest pomóc im się zorganizować.

W latach 90., gdy pytałem kilku rolników, kiedy na wsi było najlepiej, odpowiedzieli, że… w stanie wojennym. „Bo wtedy wszystko mogliśmy sprzedać. W miastach żywność na kartki, na półkach ocet, a ludzie chcieli jeść. Dlatego każdą świnkę, każdą kurę czy cielaka sprzedawało się za dobre pieniądze. No i nie było zachodniej konkurencji". Lecz, jak mawiają nasi południowi sąsiedzi, to se ne vrati.

Marek Czarkowski

eprasa.pl 66f0f55e4a

Lustratorzy i lustrowani

Lustracja stała się narzędziem „wymiany elit”, co oznacza najczęściej awans dla miernot

Paweł Siergiejczyk



Niezależna Oficyna Wydawnicza Nowa: Ewa Milewicz, Mirosław Chojecki i Grzegorz Boguta. Warszawa, 1980 r.

Tego samego dnia, 10 października 2025 r., zmarło dwóch niewątpliwie zasłużonych Polaków: 95-letni prof. Adam Strzembosz, znany prawnik, w latach 90. pierwszy prezes Sądu Najwyższego, oraz 76-letni Mirosław Chojecki, od 1976 r. główny organizator drugiego obiegu wydawniczego, później wydawca i producent filmowy na emigracji w Paryżu i w III RP. Akurat tego dnia miała też miejsce uroczystość nazwania jednej z sal w budynku Sejmu imieniem Leszka Moczulskiego, zmarłego dokładnie rok wcześniej w wieku 94 lat byłego posła i przywódcy Konfederacji Polski Niepodległej, a przy tym autora wielu cennych książek z dziedziny historii i geopolityki.

Tych trzech ludzi wiele łączyło. Przede wszystkim krytyczny stosunek do władz PRL, chociaż chyba nie do samego państwa, które umożliwiło im ukończenie studiów na Uniwersytecie Warszawskim (Strzembosz i Moczulski – prawo, Chojecki – chemia), mimo że wywodzili się ze środowisk jakże odległych od PZPR: Strzembosz z rodziny endeckiej, Moczulski – z piłsudczykowskiej, matką Chojeckiego zaś była Maria Stypułkowska, sławna „Kama” z batalionu „Parasol”, uczestniczka zamachu na Kutscherę.

Wydawać by się mogło, że wszyscy trzej odeszli jako ludzie życiowo spełnieni i docenieni przez dzisiejszą Polskę. Jeszcze prezydent Komorowski odznaczył prof. Strzembosza Orderem Orła Białego, a Leszka Moczulskiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, natomiast prezydent Duda trzy lata temu nadał Order Orła Białego Chojeckiemu. Ale to tylko pozory, bo cóż z tego, że wszyscy trzej byli przez całe życie szczerymi antykomunistami, skoro to właśnie antykomunistyczna III Rzeczpospolita zafundowała im długie lata upokorzeń?

Ustawę lustracyjną przyjęła nieformalna koalicja ludowców, UW i UP mimo sprzeciwu rządzącej lewicy.

Zabrane podpisy

Dziś nie warto już cytować wypowiedzi Zbigniewa Ziobry, Andrzeja Dudy i innych niedouczonych prawników z PiS, którzy od dawna atakowali Adama Strzembosza jako rzekomo winnego braku oczyszczenia wymiaru sprawiedliwości z PRL-owskich sędziów w latach 90. To zarzuty nie tylko głupie, ale wręcz kłamliwe. W ten sposób polska prawica mściła się na sędziwym profesorze, który konsekwentnie bronił praworządności, odkąd zaczęła być łamana przez rządy PiS.

Ale przecież polska prawica po raz pierwszy upokorzyła prof. Strzembosza już 30 lat temu, gdy próbowano wystawić jego kandydaturę w wyborach prezydenckich. Kampanię profesora w 1995 r. organizowało głównie Porozumienie Centrum, czyli pierwsza partia Jarosława Kaczyńskiego. I to właśnie Kaczyński próbował uczynić ze Strzembosza swoją marionetkę – taką pierwszą wersję Dudy czy Nawrockiego. A gdy to się nie udało, porzucił kandydaturę pierwszego prezesa Sądu

FOT. PIOTR JAXA/FORUM

eprasa.pl 66f0f55e4a

Najwyższego, zabierając mu podpisy niezbędne do rejestracji i wystawiając własnego brata, wówczas prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Trudno się dziwić, że potem prof. Strzembosz już nigdy nie miał zaufania do Kaczyńskiego i jego metod uprawiania polityki.

Obrona praworządności przez prof. Strzembosza w ostatnim dziesięcioleciu nie powinna jednak przesłaniać faktu, że w pierwszej dekadzie III RP sam przyłożył rękę do zbudowania systemu, który później wyniósł PiS do władzy. Chodzi o konkretną decyzję, jaką Adam Strzembosz podjął 16 października 1998 r., w ostatnim dniu swojego urzędowania w Sądzie Najwyższym. Powołał wówczas na stanowisko pierwszego rzecznika interesu publicznego, czyli najważniejszego prokuratora lustracyjnego, sędziego Bogusława Nizieńskiego, z którym znali się z pracy w PRL-owskim Ministerstwie Sprawiedliwości, gdzie w 1980 r. wspólnie zakładali struktury Solidarności.

Fanatyczny inkwizytor

Ta nominacja, dokonana wbrew, a może nawet na złość prezydentowi Kwaśniewskiemu przez odchodzącego szefa Sądu Najwyższego, uruchomiła wieloletnią krucjatę lustracyjną pod wodzą fanatycznego inkwizytora, jakim był zmarły w maju 2025 r. Bogusław Nizieński. Każdy, nawet najmniejszy ślad wskazujący na kontakty z PRL-owskimi służbami stanowił dla Nizieńskiego podstawę do oskarżenia, co w praktyce oznaczało złamanie kariery i trwałe przyklejenie łatki agenta, niezależnie od ostatecznego wyroku sądu lustracyjnego. Oskarżenia bowiem były głośne i spektakularne, a wyroki zapadały po wielu latach, już bez rozgłosu.

Taki system wprowadziła pierwsza ustawa lustracyjna, uchwalona 11 kwietnia 1997 r., zaledwie kilka dni po przyjęciu Konstytucji III RP głosami szerokiej koalicji parlamentarnej SLD, PSL, Unii Wolności i Unii Pracy, wbrew pozostającej wówczas poza Sejmem prawicy. Jednak ustawę lustracyjną przyjęła już inna nieformalna koalicja – ludowców, UW i UP – mimo sprzeciwu rządzącej lewicy. A ponad rok później, gdy do władzy wróciła prawica pod szyldem AWS, ci sami ludowcy wraz z Unią Wolności pomogli odrzucić weto prezydenta Kwaśniewskiego do ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej.

W ten sposób w końcówce lat 90. stworzono całą infrastrukturę „przemysłu pogardy i nienawiści", ujednoliconą w 2007 r. pod szyldem IPN, który przejął zadania rzecznika interesu publicznego. Od tego momentu instytut był już nie tylko strażnikiem i dysponentem archiwów dawnej bezpieki, ale również publicznym oskarżycielem, a faktycznie najwyższym sądem, od którego zależała każda kariera w państwie polskim. Przynajmniej do czasu, gdy ludzie aktywni w czasach Polski Ludowej zajmowali istotną pozycję w elitach III RP.

Żyjemy w państwie, które fanatycznych lustratorów podnosi do rangi autorytetów moralnych, a ich ofiary na zawsze pozostaną z piętnem zdrajców.

Pierwsza dekada obecnego stulecia upłynęła pod znakiem lustracyjnego polowania na czarownice, którego nie rozpoczął jednak ani bezwzględny sędzia Nizieński (nawet odchodząc z urzędu w 2004 r., pozostawił listę ponad 550 osób niezlustrowanych z powodu braku wystarczających dowodów), ani żaden prezes IPN. Prekursorem tego szaleństwa był Antoni Macierewicz, który w 1992 r. jako minister spraw wewnętrznych w rządzie Jana Olszewskiego przygotował pierwszą listę rzekomych agentów SB na stanowiskach państwowych.

Był na tej liście prezydent Lech Wałęsa, był prof. Wiesław Chrzanowski, ówczesny marszałek Sejmu i lider ZChN (notabene partyjny zwierzchnik Macierewicza), był także Leszek Moczulski, którego na niej umieszczono jako tajnego współpracownika o pseudonimie „Lech". Macierewicz niewątpliwie chciał wtedy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: skompromitować w oczach prawicowych wyborców czołowe legendy PRL-owskiej opozycji i zarazem przejąć 50-osobowy klub poselski KPN, który pozostawał w opozycji do rządu Olszewskiego.



eprasa.pl 66f0f55e4a

Drugi cel nie został osiągnięty i posłowie KPN walnie przyczynili się do odwołania tego gabinetu, sam Moczulski jednak od tej pory do końca swojego długiego życia musiał się mierzyć z oskarżeniami o przeszłość agenturalną. Po uchwaleniu ustawy lustracyjnej, gdy zakończył karierę parlamentarną, jako pierwszy w Polsce złożył do sądu wniosek o tzw. autolustrację, by oczyścić się z tych zarzutów. Batalia sądowa Moczulskiego trwała prawie 20 lat, gdyż sądy kolejnych instancji wydawały sprzeczne wyroki, Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł zaś, że wobec byłego lidera KPN naruszone zostało w niej prawo do rzetelnego procesu poprzez ograniczenie prawa do obrony. Wreszcie w 2018 r., nie mogąc liczyć na uczciwe zakończenie postępowania, sędziwy i schorowany Moczulski wycofał wniosek o autolustrację, co oznaczało umorzenie sprawy.

Dla licznych zwolenników prawicy – której rządy do końca życia ostro krytykował – Leszek Moczulski pozostanie więc tylko „agentem Lechem", tak samo jak Lech Wałęsa pozostanie dla nich „agentem Bolkiem". To, że

Karol Nawrocki swój ideologiczny fanatyzm wyniósł wprost z IPN.

Moczulski był jednym z najdłużej więzionych opozycjonistów w PRL, nie ma żadnego znaczenia dla fanatyków spod znaku Kaczyńskiego i Macierewicza, którzy to politycy zresztą nigdy prawdziwych represji nie doznali.

Jeden podpis

Jeszcze bardziej absurdalny był przypadek Mirosława Chojeckiego. Po 1989 r. nie zajmował się on żadną działalnością polityczną, a jedynie gospodarczą (m.in. założył prywatną stację telewizyjną NTW, która jednak nie otrzymała koncesji na nadawanie), przy tym był powszechnie lubiany i szanowany we wszystkich środowiskach postsolidarnościowych, zarówno w PiS, jak i w PO. Gdy jednak w 2015 r. obie te partie wspólnie uchwaliły ustawę o działaczach opozycji antykomunistycznej i osobach represjonowanych z powodów politycznych, dzięki której tacy ludzie zaczęli otrzymywać uprawnienia równe kombatanckim, okazało się, że nie może na to liczyć ani Chojecki, ani Moczulski, ani Wałęsa. Dlaczego? Ponieważ warunkiem otrzymania statusu działacza opozycji antykomunistycznej lub osoby represjonowanej w PRL jest swoiste „świadectwo moralności" wydawane przez IPN. Jeśli instytut znajdzie w swoich zasobach choć skrawek własnoręcznie podpisanego dokumentu świadczącego o kontaktach z SB, nie wyda niezbędnego zaświadczenia, bez którego Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych nie może przyznać statusu działacza opozycji lub ofiary represji przed 1989 r.

Tak nonsensowny zapis w ustawie mogli stworzyć tylko ludzie niemający pojęcia o realiach życia w Polsce Ludowej. Mirosław Chojecki bowiem jako młody pracownik naukowy Instytutu Badań Jądrowych i zarazem działacz KOR jesienią 1976 r. został zatrzymany w Radomiu, gdzie pomagał prześladowanym robotnikom, a podczas przesłuchania zmuszono go, aby podpisał zobowiązanie do informowania SB o wszystkim, co mogłoby być szkodliwe dla PRL. Niedługo potem został wyrzucony z pracy w IBJ i podjął szeroko zakrojoną działalność wydawniczą, której znaczenia nikt nie podważa. Ale to nieszczęsne zobowiązanie Chojeckiego, o którym zresztą od razu poinformował swoich KOR-owskich zwierzchników, zachowało się w archiwach bezpieki, stanowiąc potem pretekst dla IPN, by konsekwentnie odmawiać dawnemu opozycjoniście „świadectwa moralności".

Sprawa ciągnęła się długie lata i wszyscy, którzy Chojeckiego znali, bez względu na poglądy polityczne, oburzeni byli bezdusznością ustawy i biurokracji IPN. Mimo licznych apeli, listów otwartych i starań samego Chojeckiego dogmat lustracji okazał się ważniejszy niż prawda historyczna i zwykła sprawiedliwość.

Pisowska władza zdawała sobie sprawę z absurdalności sytuacji zasłużonego wydawcy, którego jeden podpis z młodości wyłączył z grona solidarnościowych „kombatantów". W tym zaś gronie są tysiące ludzi dosyć przypadkowo zaangażowanych w aktywność opozycyjną z lat 80. i najczęściej niezagrożonych faktycznymi represjami, bo chroniących się pod skrzydłami Kościoła. To dlatego prezydent Duda przyznał Chojeckiemu najwyższe polskie odznaczenie. Ale podczas tej samej uroczystości w 2022 r. Order Orła Białego otrzymał też „arcykapłan lustracji" Antoni Macierewicz, a kilka lat wcześniej ten sam Andrzej Duda mianował Bogusława Nizieńskiego kanclerzem Kapituły OOB (samym orderem odznaczył go prezydent Lech Kaczyński w 2008 r.).

Słabe te autorytety

Żyjemy zatem w państwie, które fanatycznych lustratorów podnosi do rangi nieskazitelnych autorytetów moralnych, a ich ofiary już na zawsze pozostaną z piętnem zdrajców lub przynajmniej ludzi podejrzanych, czyli de facto Polaków gorszego sortu. Stało się tak dlatego, że polska prawica potrafiła narzucić naszemu społeczeństwu spiskową wizję III RP jako PRL bis rządzonej przez agenturalne elity. Lustracja stała się więc niezwykle skutecznym narzędziem „wymiany elit" na nieskazitelnie antykomunistyczne – przy czym owa nieskazitelność oznacza najczęściej awans dla miernot, które przed 1989 r. nic ważnego nie robiły, albo dla młokosów, którzy tamtych czasów nie pamiętają, ich antykomunizm jest zatem wyłącznie teoretyczny.

Do tych ostatnich należy Karol Nawrocki, który swój fanatyzm ideologiczny wyniósł wprost z IPN i za którym do Pałacu Prezydenckiego przyszedł Sławomir Cenckiewicz, gorliwy uczeń Macierewicza i jeden z najbardziej zajadłych lustratorów III RP.

Autor swego czasu pracował w Urzędzie ds. Kombatantów, gdzie zajmował się weryfikacją działaczy opozycji i osób represjonowanych w PRL, w tym kolejnymi wnioskami Mirosława Chojeckiego

eprasa.pl 66f0f55e4a



Szykuje się drugi Wałbrzych

Jastrzębska Spółka Węglowa stoi nad przepaścią

Mateusz Cieślak

Świat stanął na głowie. Jeszcze niedawno na kontach Jastrzębskiej Spółki Węglowej były miliardy złotych. Dziś byt przedsiębiorstwa jest niepewny. W obawie przed bankructwem firmy na ulice miasta, od którego wzięła nazwę, wyszli nie tylko górnicy.

– Nikt z nami na ten temat nie rozmawia. Temat nagłaśniamy nie od tygodnia, nie od dwóch, tylko już od dłuższego czasu, że Jastrzębska Spółka Węglowa stoi nad przepaścią – podkreślał Patryk Pieczko ze związku Sierpień 80.

To właśnie ten związek zawodowy zorganizował 14 października demonstrację. – Jastrzębska Spółka Węglowa jest na skraju upadłości. Grozi jej bankructwo. Jeżeli nie dostanie pomocy ze strony państwa, do końca roku będzie problem z wypłatą wynagrodzeń – ostrzegł przewodniczący Sierpnia 80 Bogusław Ziętek.

Górnicy blokowali ulice i ronda. Następnie przeszli pod siedzibę spółki. Na jednym z transparentów widniał napis: „PiS, PO – jedno zło". Dzień wcześniej kilka organizacji związkowych, wśród nich Solidarność i OPZZ, ogłosiło, że na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim zaczął działać Międzyzwiązkowy Komitet Protestacyjno-Strajkowy. W wydanym tego dnia oświadczeniu możemy przeczytać: „Powodem tej decyzji jest dramatycznie trudna sytuacja w przemyśle w naszym regionie, dotycząca zarówno przemysłu górniczego i hutnictwa, jak też innych branż przemysłu, które nie są w stanie unieść horrendalnie wysokich cen energii będących wynikiem unijnej polityki klimatycznej. Wielu mieszkańców regionu musi się liczyć z zagrożeniem cięcia wynagrodzeń. Istnieje realne ryzyko, że na Śląsku i w Zagłębiu utracimy dziesiątki tysięcy miejsc pracy, część bezpowrotnie".

– To jest początek, bo rządzący nas lekceważą – tłumaczył Bogusław Hutek, przewodniczący górniczej Solidarności. Krytykował nie tylko obecną ekipę rządzącą. – Pamiętamy szumne zapowiedzi poprzedniego rządu o Izerze. Ani śladu po tym. Chcecie likwidować 300-400 tys. miejsc pracy na Śląsku, ale nie budujemy nic.

W Jastrzębiu-Zdroju demonstrowali nie tylko górnicy. Na ich protest przyjechali rolnicy ze Świętokrzyskiego. Wśród demonstrujących były również kobiety. Jedna z nich trzymała transparent z napisem: „Ratujmy JSW! Ratujmy Nasze Miasto! JSW to życie Jastrzębia! W naszych rękach leży przyszłość".

Morawiecki: milion aut

Wspomniana przez przewodniczącego górniczej Solidarności Izera miała być produkowana w Jaworznie. Pewnie każdy, kto śledził temat polskiego samochodu elektrycznego, pamięta tę liczbę: milion sztuk w 2025 r.

Jaworzno leży 26 km od Katowic. Żeby z Katowic dostać się do Jastrzębia-Zdroju, trzeba pokonać ponad 70 km. Jest jeszcze jedna różnica między tymi dwoma

eprasa.pl 66f0f55e4a



Górnicy i ich rodziny 14 października blokowali ulice Jastrzębia-Zdroju. Od decyzji rządu w sprawie JSW zależy przyszłość miasta.

Protest związkowców JSW, którzy domagają się gwarancji zatrudnienia i jasnej deklaracji rządu co do przyszłości firmy. Jastrzębie-Zdrój, 14 października 2025 r.

miastami – do Jaworzna dojedzie się pociągiem. Do Jastrzębia-Zdroju pociąg nie dociera. To jedno z nielicznych tak dużych miast w Polsce bez własnego dworca i linii kolejowej. Mieszka tam ponad 80 tys. ludzi. Stopa bezrobocia w ubiegłym roku wynosiła tam zaledwie 3,4%. Rzec by można: raj na ziemi.

Raj na ziemi dzięki JSW. Jest ona tam największym pracodawcą, a zarazem jedynym znaczącym. Ponieważ górnicy bardzo dobrze zarabiają, dużo kobiet nie pracuje, zgodnie z modelem rodziny, który od końca XIX w. funkcjonował na Górnym Śląsku: mąż zarabia pieniądze, a żona zajmuje się domem.

Jastrzębska Spółka Węglowa swoim pracownikom wypłacała pensję nawet 18 razy w roku.

Jakie to są zarobki? Górnik pracujący na przodku potrafi przynieść „do dom" i 25 tys. zł. Jastrzębska Spółka Węglowa swoim pracownikom wypłacała pensję nawet 18 razy w roku, a oprócz tego sowite nagrody. W kwietniu br. wynosiły one 6 tys. zł brutto dla każdego zatrudnionego na dole, 4,5 tys. zł brutto dla pracowników przeróbki i 3,5 tys. zł brutto dla pozostałych.

Nawet kobiety zatrudnione w JSW zarabiały pieniądze, o których inne Polki mogły tylko pomarzyć. Nowo przyjętym pracownicom, których zadaniem było pisanie „cechowników", płacono po 8 tys. zł na rękę.

15 października ujawniono zarobki starego i nowego zarządu JSW. Kokosy zarabiali zarówno nominaci PiS, jak i osoby powołane przez KO. I ci pierwsi, i ich następcy w ubiegłym roku zarobili 5 913 140,26 zł. Rekordzistą jest Artur Wojtków, od 19 lat wiceprezes spółki – z wyboru załogi. Otrzymał 793,7 tys. zł. Adam Rozmus (PiS), Jolanta Gruszka (KO), Ryszard Janta (KO) i Robert Ostrowski (PiS) zarobili ponad 600 tys. zł. Remigiusz Krzyżanowski (KO), Jarosław Kluczniok (KO) i Tomasz Cudny (PiS) otrzymali ponad 500 tys zł. Edward Paździorko (PiS) – ponad 450 tys. zł, Wojciech Kałuża (PiS) – 331,6 tys. zł, Paweł Rostkowski (na trzy miesiące oddelegowany do zarządu z rady nadzorczej już za KO) – 147,9 tys. zł, Sebastian Bartos (PiS) – 96 tys. zł.

Goło i wesoło

I teraz to wszystko szlag trafia. Jeśli rzeczywiście JSW zbankrutuje, bez pracy zostanie nie tylko 32 tys. zatrudnionych w niej osób. Straci ją też 20 tys. ludzi ze spółek, które współpracują wyłącznie z JSW. Do tego trzeba doliczyć rodziny. Mamy nie tylko większość Jastrzębia-Zdroju, ale i kolejnych mieszkańców: Ornontowic, Knurowa, powiatu tyskiego, żorskiego, jastrzębskiego, rybnickiego i raciborskiego. Bez żadnej alternatywy.

O ile jeszcze ci z Knurowa mogą szukać pracy w Gliwicach czy innych miastach aglomeracji śląsko-zagłębiowskiej, o tyle ci z okolic Rybnika będą w czarnej dziurze. Bliżej mają do Czech i do Ostrawy niż do większych polskich fabryk. A po stronie czeskiej też niewesoło. Poza Ostrawą same nieduże miasteczka i wioski. Niezbyt wiele przemysłu, bo i tam królowały górnictwo i hutnictwo, które są w znacznie gorszym stanie niż polskie.

Największym zakładem pracy w tamtej okolicy, poza oczywiście JSW, przez wiele lat była raciborska fabryka kotłów Rafako. Ale wyzionęła ducha, a o przyczynach jej zgonu należałoby opowiedzieć osobno. W dniu, kiedy górnicy demonstrowali na ulicach Jastrzębia, Rafako odwiedził premier Donald Tusk. Na ten dzień premier wcielił się w egzorcystę i wskrzesiciela. Rząd bowiem postanowił ratować tę zasłużoną dla polskiego przemysłu i dla wizerunku Polski za granicą fabrykę. Ma teraz stać się oddziałem Jelcza i produkować coś dla wojska.

Jeśli tak, to doradzam, by premier odprawił egzorcyzmy w Jastrzębiu. Tamtejsza spółka węglowa jest bowiem równie ważna

FOT. PAP/JAREK PRASZKIEWICZ (2)

eprasa.pl 66f0f55e4a

dla polskiego przemysłu zbrojeniowego, a może nawet ważniejsza, skoro podjęliśmy decyzję, że w zakładach Bumar-Łabędy znów będziemy produkować czołgi. Węgiel wydobywany przez kopalnie JSW ma właściwości szczególne. To węgiel koksujący, bardzo cenny, gdyż bez niego nie mogłyby działać huty. Obecnie, gdy przemysł zbrojeniowy przeżywa rozkwit, węgiel koksujący jest po prostu niezbędny. To najprawdziwsze czarne złoto.

1290 m pod ziemią

My wyciągamy to czarne złoto z ogromnych głębokości. W kopalni Budryk górnicy zjeżdżają nawet 1290 m pod powierzchnię ziemi. Pierwszy zjazd na ten poziom miał miejsce we wrześniu br. i wszyscy w JSW bardzo to fetowali. W Zofiówce węgiel trzeba wyciągać z głębokości 1104 m. W kopalni Pniówek wryto się na głębokość 1053 m.

Dla porównania dodajmy, że najwyższy szczyt w Bieszczadach po stronie polskiej to Tarnica, która mierzy 1346 m. Czyli gdyby wybudować tam windę równą długości szybu tej, za pomocą której górnicy z Budryka wydobywają węgiel na powierzchnię, turyści chcący zdobyć Tarnicę odbywaliby jeszcze tylko kilkudziesięciometrowy spacerek. To pokazuje, jak kosztowne jest wydobycie węgla przez Jastrzębską Spółkę Węglową.

Zamorska konkurencja ma lepiej. Wystarczy jej koparka. Tak właśnie wygląda wydobycie węgla koksującego w Australii, która jest największym konkurentem dla kopalń Jastrzębskiej Spółki Węglowej. A niedawno została otwarta odkrywkowa kopalnia węgla koksującego w Indonezji. Tam również do jego wydobycia wystarczy koparka. I tamtejsi pracownicy nie otrzymują 18 pensji ani dodatkowych nagród. I nie jest ich kilkadziesiąt tysięcy. Do obsługi kopalni odkrywkowej wystarczy 100-200 ludzi.

Mimo to jeszcze niedawno JSW siedziała na górze forsy. U nas się mówi, że akurat wtedy była na węgiel koksujący koniunktura. Prawda zaś jest taka, że o sukcesie finansowym JSW zadecydowała seria katastrof klimatycznych w Australii. Cena węgla wydobywanego przez JSW skoczyła więc z 200 dol. do prawie 900, co oczywiście nie mogło trwać wiecznie. Gdy sprzedaż rozpoczęła nowa kopalnia w Indonezji, węgiel koksujący kosztował jedynie 170 dol. za tonę. I każdy, kto znał się na tym biznesie, wiedział, że tak będzie.

Pytanie, czy wiedzieli to nowi szefowie JSW. W ubiegłym roku wymieniono pisowski zarząd spółki. Było więc prawie 6 mld zł na funduszu stabilizacyjnym i dodatkowe 1,5 mld zł na rachunkach bieżących. Oprócz tego spółka miała 1,6 mld zł kredytu na inwestycje ekologiczne, a kredyt ten uzyskano na bardzo dobrych warunkach.

Pięć lat to mało

Żeby nie było, że chwalimy PiS, przypomnijmy, co stało się wcześniej. Za jego czasów związkowcy poszli do szefostwa spółki z żądaniem gwarancji zatrudnienia. Pracuje tyle a tyle ludzi i tak ma być co najmniej pięć lat. Żadnego nie można zwolnić. Szefostwo miało odrzec: „Pięć lat? A czemu nie dziesięć?". I na tym stanęło. Teraz może się walić i palić, a spółka musi mieć 32 tys. pracowników.

W przedpisowskiej przeszłości też zapadały decyzje dramatyczne w skutki. Taką było np. wybudowanie kopalni Bzie. Gdy rozpoczęto wydobycie, okazało się, że na powierzchnię wyjeżdża nie węgiel, lecz kamień. Źle rozpoznano złoże.

Obecne kierownictwo JSW nie podjęło żadnych istotnych działań, by poprawić wskaźniki wydobycia węgla. Częściowo nie z własnej winy. W kopalniach doszło do serii tragicznych katastrof i niektóre ściany wydobywcze trzeba było zamknąć. Nie podjęto rozmów ze związkowcami o ograniczeniu szalonych wydatków płacowych (zamiast tego 120 mln zł poszło na dodatkowe nagrody). W ciągu kilkunastu miesięcy z kont spółki zniknęło ponad 5 mld zł oszczędności. Z niemal 6 mld zł pozostało ledwie 260 mln (stan na wrzesień 2025 r.).

Pikanterii tej sytuacji dodaje fakt podpisania umowy na opracowanie planu restrukturyzacji spółki. Po co takie zlecenie, skoro wiadomo, że istnieją dziesięcioletnie gwarancje zatrudnienia? W każdym razie została zawarta umowa z firmą doradczą A.T. Kearney, w której zespole był Herbert Wirth, kierujący przez pewien czas Polską Miedzią. A.T. Kearney za swoją pracę miała otrzymać 30 mln zł.

Efektem prac A.T. Kearney był „plan naprawczy". Miał on przynieść 8,5 mld zł korzyści finansowych w ciągu trzech lat. Teraz warto zapytać, gdzie są te miliardy.

Czy da się JSW dotować, tak jak się dotuje np. PGG? Zapewne. Pytałem fachowca, jak szacuje wysokość ewentualnych subwencji. Orzekł, że ze względu na liczbę zatrudnionych, wysokość płac i możliwości samej spółki realna kwota przeznaczana przez państwo to pół miliarda złotych. Miesięcznie…

Ponad 80 tys. ludzi mieszka dziś w mieście, które już wkrótce może stać się drugim Wałbrzychem. Z czasów, gdy transformacja gospodarcza pokazała tam swoje najstraszliwsze oblicze. To już ostatni dzwonek, żeby rząd podjął działania.

Mateusz Cieślak

> Może się walić i palić, a spółka musi mieć 32 tys. pracowników.

Jerzemu Domańskiemu

z powodu śmierci

MAMY

składamy wyrazy współczucia

Paweł Byra, Karol Gębka,
Zygmunt Lenkiewicz,
Piotr Kowalówka, Józef Siemiątkowski,
Tadeusz Wiśniewski

eprasa.pl 66f0f55e4a



Z Galicji

Jan Widacki

Szukając wyjścia w sytuacji bez wyjścia

Chaos w wymiarze sprawiedliwości pogłębia się, procesy destrukcyjne zachodzą w postępie nieomal geometrycznym. Część Polaków nie uznaje Trybunału Konstytucyjnego złożonego z sędziów dublerów, niespełniających w dodatku w dużej mierze kryteriów wyznaczonych przez ustawę. Część jak najbardziej uznaje, szczególnie on sam siebie uznaje. Ale to mało.

W tej części, która Trybunału Konstytucyjnego w obecnym składzie nie uznaje, są rząd i sejmowa większość. W konsekwencji orzeczenia tego trybunału też nie są przez rządzących uznawane. Trybunał w tym składzie uznaje za to prezydent Nawrocki. W efekcie TK – de facto pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia – czekając na wnioski prezydenta, który może kierować do niego ustawy w celu sprawdzenia ich konstytucyjności, nie bardzo ma co robić. Od czasu do czasu zatem sam sobie wymyśla zadania, nie przejmując się tym, że nie mieszczą się one w zakresie jego kompetencji. Faktycznie Polska jest państwem bez Trybunału Konstytucyjnego.

W Sądzie Najwyższym nie dość, że są dwie stworzone za rządów PiS izby wadliwe strukturalnie i ustrojowo (Izba Odpowiedzialności Zawodowej oraz Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych), to w świetle orzeczeń Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, a także pozostałych Izb Sądu Najwyższego nie spełniają standardów unijnych i nie są sądami. To jednak im nie przeszkadza i orzekają sobie w najlepsze. Ale nawet w „starych" izbach Sądu Najwyższego mocą nominacji prezydenckich poprzedzonych rekomendacją neo-Krajowej Rady Sądownictwa – powołanej wedle zdania większości środowisk prawniczych z naruszeniem konstytucji – zasiada już sporo neosędziów, nieuznawanych za sędziów Sądu Najwyższego przez starych sędziów. Na czele Sądu Najwyższego stoi pierwsza prezes, z nominacji prezydenckiej neosędzia, a kiedyś wice-Ziobro, pani Małgorzata Manowska. Stoi na czele, lecz nie jest uznawana przez „starych" sędziów.

Na niższych szczeblach wyroki sądów wydane przez neosędziów są uchylane przez sądy odwoławcze jako wyroki dotknięte tą wadą, że wydał je sędzia nieuprawniony.

Minister sprawiedliwości chce odsunąć od orzekania neosędziów, ale nie ma mocy sprawczej, bo musiałby to zrobić ustawą, a taka ustawa, nawet jeśli przejdzie przez Sejm i Senat, nie ma szans na podpis prezydenta. Ten ostatni wspiera neosędziów i wzywa sędziów do nieposłuszeństwa wobec ministra.

Środowiska prawnicze są podzielone, tak jak całe społeczeństwo. Jedni, podobnie jak minister Żurek i Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia, domagają się bezwzględnie cofnięcia nominacji neosędziów i poza mianowanymi ostatnio sędziami sądów rejonowych usunięcia ich z wymiaru sprawiedliwości lub w najlepszym razie cofnięcia ich na poprzednie stanowiska. Ale by to zrobić, trzeba by mieć w Sejmie większość pozwalającą na odrzucenie weta. A rządząca koalicja takiej większości nie ma. W dodatku musiałby działać Trybunał Konstytucyjny, jego wyroki zaś musiałyby być uznawane.

Mamy więc kolejną kwadraturę koła. Druga strona (w tym opozycja i prezydent) krzyczy, że to anarchia. W tej atmosferze większość sędziów, nie chcąc rekomendacji od neo-KRS, nie awansuje. W sądach wyższych instancji są więc braki kadrowe, wydziały karne w sądach apelacyjnych w celu skompletowania składu „pożyczają" sędziów z wydziałów cywilnych. Spada jakość orzecznictwa. Spada jakość wymierzanej sprawiedliwości.

Spada jakość orzecznictwa. Spada jakość wymierzanej sprawiedliwości.

W tym ogólnym bałaganie nikt nawet nie zwraca uwagi na to, że prokuratury w śledztwach wspierają się czasem jasnowidzami albo biegłymi od nieistniejących specjalności, których niestety na listy powpisywali… prezesi sądów okręgowych.

Mamy absolutny pat. Sytuacji nie da się uzdrowić w granicach prawa. Wyjście z tego pata jest tylko jedno. Jeśli sytuacja jest bez prawnego wyjścia i pat dezorganizuje życie państwa, konieczny jest okrągły stół i nowa ugoda społeczna. Ten model wychodzenia z ustrojowego pata skutecznie zastosowaliśmy w Polsce w 1989 r. Może by pomyśleć o okrągłym stole wymiaru sprawiedliwości? Zacietrzewienie obu stron sporu jest tak duże, że będzie to trudne. Ale przecież innego wyjścia nie ma! Żadna strona w obecnej sytuacji nie ma szans na uzdrowienie wymiaru sprawiedliwości i przywrócenie praworządności na swoich zasadach. Konieczny jest kompromis!

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66f0f55e4a

troje na jedną

JEDNA:
AGNIESZKA HOLLAND
TROJE:
PATRYCJA DOŁOWY
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

JESTEM PO STRONIE TYCH, KTÓRYCH SIĘ KRZYWDZI

Fragmenty rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania" (3/2025) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

(...) PAWEŁ SĘKOWSKI: Czy wspomniany przez panią „gen sprawiedliwości" uwidaczniał się również w późniejszym okresie w pani twórczości artystycznej, w pracy zawodowej?

AGNIESZKA HOLLAND: Myślę, że można go zauważyć w wyborze tematów, które mnie interesowały, inspirowały, które mi się wydawały ważne, szczególnie te dotyczące zdarzeń z historii ludzkości, jak Holokaust czy Hołodomor. Także filmy z nurtu kina moralnego niepokoju z drugiej połowy lat 70. miały taki społeczny i tak naprawdę polityczny wymiar, tyle że zaszyfrowany. Widzę ten gen także w mojej walce o obronę niezależności jako reżysera, jako twórcy oraz obronę innych, których system traktuje niesprawiedliwie.

Oczywiście zawód reżysera filmowego nie pozwala na pełną bezkompromisowość, ponieważ polega na nieustannym zawieraniu kompromisów. To jest współpraca zespołowa, z jakąś ekipą. Jest to praca, gdzie wchodzą w grę duże pieniądze, więc również naciski tych, którzy finansują. Czy to jest publiczne finansowanie, czy prywatne, zawsze te naciski są. Więc w pewnym sensie szło to wbrew mojej naturze, mojej potrzebie wolności decyzji. Ale myślę, że w sumie udało mi się wygrać większość tych potyczek, bo to trudno nawet nazwać bitwami. Ale ze świadomością, że zawsze płaci się jakąś cenę. Zawód reżysera nie jest – a w dzisiejszych czasach to już w ogóle – dla ludzi nieznoszących jakiegokolwiek spętania. (...)

SĘKOWSKI: Aż do jesieni 2023 po jednej stronie był „zły" PiS, a po drugiej była „dobra" opozycja demokratyczna, która broniła pani i „Zielonej granicy" przed atakami ówczesnego obozu rządzącego, ale także broniła humanitarnego podejścia do uchodźców na granicy. Nadchodzi październik, a potem grudzień 2023 – zmiana władzy i okazuje się, że narracja Donalda Tuska i nowej władzy kompletnie się zmienia i właściwie jest taka sama jak wcześniej PiS. Pani stała się symbolem wierności postawie humanitarnej, wierności „genowi sprawiedliwości". Czy zdziwiła panią ta zmiana? Bo ja przyznam, że mnie to trochę zszokowało. Poza wszystkim: nie wierzyłem, że elektorat demokratyczny tak łatwo to przełknie. A niestety, w większości przełknął. Dziś właściwie w mainstreamie mamy tę obrzydliwą narrację o „inżynierach", która ogarnia znacznie szersze kręgi niż tylko zwolenników PiS i Konfederacji... Bo co mówi od jesieni 2023 Donald Tusk? Nie mówi, że PiS robiło coś złego, tylko że nieudolnie robiło to, co powinno było robić skutecznie.

Umywanie rąk – tego polscy katolicy nauczyli się od Piłata bardzo dobrze.

HOLLAND: Tak, wszystko się zmieniło. Narracja się zmieniła. Ja nie miałam wielkich złudzeń, ale miałam

eprasa.pl 66f0f55e4a



nadzieję, że pewien język już nie będzie używany i że pewne niehumanitarne zachowania, łamiące w sposób ewidentny prawa człowieka i narażające ludzi na cierpienie i tortury, zostaną wstrzymane, a przynajmniej złagodzone. Nie miałam złudzeń i nie wierzyłam, że nastąpi całkowita zmiana polityki, natomiast liczyłam na zmianę narracji i modyfikację działań. Tak zresztą początkowo było, przez kilka miesięcy. Potem Tusk prawdopodobnie doszedł do wniosku, że ponieważ żadnych innych rzeczy nie może zrealizować, to przejmując agendę i narrację prawicy w sprawie imigracji, niejako rozbroi przeciwników politycznych. Co oczywiście było ogromną głupotą. Ta zmiana narracji Tuska nastąpiła w sposób widoczny przy okazji wyborów do Parlamentu Europejskiego w czerwcu 2024. Wtedy miała też miejsca historia z zabitym żołnierzem na granicy. Tusk rozkręcił wtedy ten temat w nowej narracji i wypuścił z siebie dwie ustawy, których PiS nie miało odwagi w swoich czasach puścić: „ustawę strzelankową", tzw. licence to kill, że można strzelać bezkarnie do uchodźcy, oraz ustawę o zawieszeniu prawa do azylu.

To jest dla mnie bardzo smutne: nastąpiło przejęcie języka skrajnej prawicy przez liberalno-demokratyczne centrum. W ten sposób demokratyczne centrum legitymizowało ten język i te treści, w gruncie rzeczy ścieląc czerwony dywan dla skrajnej prawicy. To właśnie się stało – w ostatnich wyborach prezydenckich prawica konserwatywna i skrajna, w obu przypadkach wroga imigrantom, zdobyła ponad 50% głosów, wielki sukces Mentzena i Brauna. To jest potworny błąd, który popełnił Tusk i Koalicja Obywatelska. Taki sam błąd popełniła Republika Weimarska w 20-leciu międzywojennym, popełniały go w ciągu ostatnich 10 lat dosyć często rządy w krajach zachodniej Europy. Wszyscy za to zapłacimy. Dzisiaj nie widzę już żadnej przeszkody przed tym brunatnym bagnem. Nie widzę też żadnej siły, która byłaby w stanie przyjść z inną narracją – racjonalną, jednocześnie humanitarną, po prostu szanującą innego człowieka. Nie ma nikogo takiego.

PATRYCJA DOŁOWY: Przesunięte zostały wszystkie granice języka.

HOLLAND: To się nazywa okno Overtona. Zmieniając język i zmieniając priorytety, przesuwa się to okno i nagle coś, co było po prostu nie do wyobrażenia, staje się powszechnie akceptowane – np. to, żeby strzelać do niewinnych ludzi i zabijać ich, tylko dlatego, że chcą „wedrzeć się" na nasz wspaniały kontynent...

DOMINIKA RAFALSKA: Czy w tej sytuacji Kościół mógłby odegrać jakąś ważną rolę i czy to, co się dzieje wobec imigrantów i uchodźców, świadczy o tym, że tej roli nie odgrywa?

HOLLAND: Polski Kościół jest jednak daleki od praw człowieka. On jest specyficzny. Gdy otrzymywałam jesienią 2023 watykańską nagrodę festiwalu filmowego Tertio Millennio za „Zieloną granicę", pytano mnie, jak to możliwe, że Kościół nie włączył się w pomoc uchodźcom. Powiedziałam wtedy, że polski katolicyzm w większości nie jest chrześcijański. Oczywiście są księża czy nawet hierarchowie – jak ostatnio abp Grzegorz Ryś czy bp Krzysztof Zadarko, odpowiedzialny w polskim episkopacie za tematykę migrantów i uchodźców – których wypowiedzi są chrześcijańskie. Ale gros Kościoła nawet nie kiwnęło palcem, żeby pomóc potrzebującym pomocy. Pamiętam, że gdy Kuba Sieczko próbował przekonać komendanta głównego straży granicznej w ministerstwie, żeby wpuścić lekarzy z karetkami do zony zamkniętej, i poprosił o wsparcie w tej sprawie abp. Wojciecha Polaka, to ten wyraził jedynie ubolewanie, że nie jest tak, jak być powinno, i umył ręce. Umywanie rąk – tego polscy katolicy nauczyli się od Piłata bardzo dobrze. No więc niestety polski Kościół en bloc nie poszedł drogą papieża Franciszka, który akurat w sprawach uchodźczych był bardzo jednoznaczny. A mógłby Kościół przynajmniej prostować ten rasistowski, nienawistny język, który doprowadza do tego, że jesteśmy w kraju, w którym niedługo będą pogromy, a już mają miejsce minipogromy, nawet nie uchodźców czy imigrantów ekonomicznych, tylko po prostu cudzoziemców.

Już mają miejsce minipogromy, nawet nie uchodźców, tylko po prostu cudzoziemców.

SĘKOWSKI: Czy my jako społeczeństwo, jako Polki i Polacy, jesteśmy w większości rasistami?

eprasa.pl 66f0f55e4a



Od lewej: Patrycja Dołowy, Paweł Sękowski i Dominika Rafalska.

HOLLAND: Z pewnością jesteśmy. Ale nie jesteśmy w tym sami, bo myślę, że cała Europa jest rasistowska. Arabowie są rasistowscy w stosunku do Czarnych – to, co się dzieje z uchodźcami z Afryki Subsaharyjskiej w takiej Tunezji czy w Maroku, też nie jest dobre. Albo co powiedzieć o Saudyjczykach, którzy strzelają z broni maszynowej do Etiopczyków, usiłujących przekroczyć cieśninę i uciec z Etiopii? To też nie jest dobre. Jako ludzkość jesteśmy po prostu bardzo kiepscy. Holokaust był swego rodzaju szczepionką przeciwko rasizmowi – trzymał nas, przynajmniej Europę czy tzw. Zachód, w poczuciu, że musimy bardzo uważać, żeby straszna historia się nie powtórzyła. Ta szczepionka właśnie się wyczerpała i w tej chwili wszystko jest możliwe. Przyzwolenie na masowe zbrodnie rośnie w zastraszającym tempie. Ja mam pewne porównanie, bo od jakichś 20 lat mówię o tym, że szykuje nam się ta erupcja zła, że to jest możliwe. Na początku wiele osób mówiło, że to wielka przesada. A dzisiaj wszyscy przyjmują to jak coś oczywistego. (…)

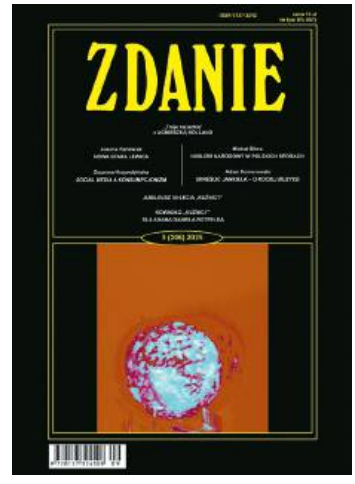
SĘKOWSKI: (…) Jest pani dzisiaj często postrzegana jako osoba radykalna, nawet przez przeciwników PiS i zwolenników rządu Donalda Tuska. Czy pani czuje się radykałką, czy też uważa pani, że stoi tam, gdzie stała, natomiast to ci, którzy kiedyś stali tam, gdzie pani, przesunęli się na inne pozycje?

HOLLAND: Ja stoję tam, gdzie stałam. I muszę wam powiedzieć, że nie uważam, żebym była specjalnie radykalna. Mogę co najwyżej bardziej radykalnie niż kiedyś się martwić. Nie wydaje mi się, żebym oczekiwała od ludzi jakichś skrajnych działań. Nie oczekuję więcej aniżeli 20, 30, 40 lat temu. Mniej więcej wiem, na co ludzkość stać. I wiem też, że ogromna odpowiedzialność spoczywa na autorytetach politycznych i religijnych, chociaż dzisiaj te autorytety po prostu przestały działać. Politycy zdecydowali się być absolutnie reaktywni. Jeżeli już chcą kształtować jakieś postawy, to idą po linii najmniejszego oporu. Marek Edelman powiedział kiedyś coś takiego, że potencjał ludzkości na dobro i zło są mniej więcej równe, ale dobro trzeba starannie i cierpliwie nieustannie kultywować, natomiast zła nie trzeba w ogóle podlewać, bo ono się rozprzestrzenia jak dziki chwast, jak barszcz Sosnowskiego. Ja też tak uważam. Proste narzędzia, jak strach i nienawiść, mogą błyskawicznie rozszerzyć ten pożar, który politycy, jeśli tylko mają po temu narzędzia, chętnie wzniecają. Te narzędzia są dzisiaj zwielokrotnione przez rewolucję internetu i mediów społecznościowych. Istnieją algorytmy, które pozwalają to zło szerzyć z nieprawdopodobną szybkością. To również tłumaczy w dużym stopniu tę zmianę, która nastąpiła tak błyskawicznie w polskim społeczeństwie, jeśli chodzi o postawy wobec różnych mniejszości czy szerzej: wobec innych opcji niż „nasza".

Zawód reżysera nie jest dla ludzi nieznoszących jakiegokolwiek spętania.

SĘKOWSKI: Jest światełko w tunelu czy będzie już tylko gorzej?

HOLLAND: Będzie gorzej, aż dojdzie do jakiegoś wybuchu. Zwykle napędzanie tak strasznie złych emocji eksploduje w jakimś wielkim konflikcie czy nieszczęściu, w zbrodni. A potem, jak kurz opada, budzimy się z potrzebą czegoś lepszego, innego. Jeżeli w ogóle planeta przetrwa… Bo do tego wszystkiego, o czym mówiliśmy, dochodzą jeszcze inne zagrożenia. Mamy do czynienia z ogólnym pędem ku zagładzie. W ten trend wpisuje się również negowanie zmian klimatycznych, wstrzymywanie prób zatrzymania katastrofy klimatycznej. Administracja Trumpa zaczęła ostatnio tępić szczepionki mRNA. Wycofali wszystkie fundusze na ten cel. Gdyby mieli takie narzędzie i chcieli to zrobić parę lat temu, to byłyby miliony martwych ludzi z powodu covidu, a przecież niewątpliwie czekają nas kolejne epidemie. Czy ta zagłada, ku której pędzimy, będzie ostateczna, czy też będzie jakimś twardym przebudzeniem i zaczynem nowego początku, to się dopiero okaże.



Warszawa-Paryż, 9 sierpnia 2025 r.

FOT. ANDRZEJ ZBRANIECKI/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

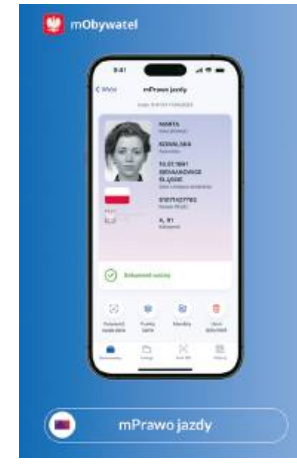
eprasa.pl 66f0f55e4a

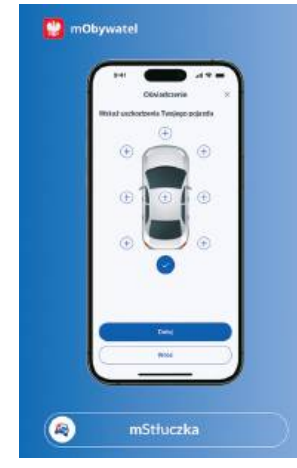
Zaloguj się, mObywatelu!

Aplikacja, której zaufało już ponad 10 mln Polaków

mObywatel usprawnia codzienne życie. Wszystkie najważniejsze dokumenty można mieć w telefonie. I są tam bezpieczne jak w sejfie. Aplikacja ułatwia też załatwienie spraw urzędowych bez wychodzenia z domu. Słowem, rewolucja w Twojej kieszeni.







Ułatw sobie życie

Komu nie zdarzyło się choć raz zapomnieć portfela? A ile razy nie mogliście przez to załatwić czegoś w urzędzie czy na poczcie? Odpowiedzią jest zainstalowanie w telefonie mObywatela, w którym oprócz dowodu tożsamości i prawa jazdy, zależnie od potrzeb, możemy korzystać jeszcze z 21 innych dokumentów. Pękaty portfel stał się dziś uciążliwym gadżetem, co potwierdzają badania Adyen Retail Report. 30% Polaków stosuje na co dzień cyfrowe metody płatności ze względu na wygodę.

mObywatel to aplikacja, którą można bezpłatnie pobrać na smartfon ze sklepu Google Play i App Store. Jest jak pomocnik, który nie tylko przechowuje nasze dokumenty, ale pomaga również w załatwianiu spraw urzędowych. Słowem, koniec z czekaniem w kolejkach. Aplikacja pozwala m.in. złożyć wniosek o dowód bez wychodzenia z domu. Nic więc dziwnego, że korzysta z niej już ponad 10 mln osób. Prawie 10,5 mln posiada mDowód, 5,9 mln ma mPrawo jazdy, a 4,6 mln właścicieli zarejestrowanych w Polsce pojazdów posługuje się dokumentami „Moje pojazdy". Karty Dużej Rodziny w mObywatelu używa zaś prawie milion obywateli.

Bezpieczniej niż w sejfie

Nadal wiele osób obawia się, że trzymanie dokumentów w aplikacji nie jest tak bezpieczne jak w portfelu. Nic bardziej mylnego. W wypadku utraty portfela trzeba natychmiast zastrzec dokumenty i wyrobić nowe. To walka z czasem i dużo kłopotliwych formalności. Jeśli stracimy telefon, to dostęp do danych chroniony jest hasłem lub zabezpieczeniami biometrycznymi. Aplikację mObywatel dodatkowo chroni kod PIN i biometria.

Warto wspomnieć, że mDowód w mObywatelu różni się serią, numerem, datą wydania i ważności od plastikowego e-dowodu. A jeśli już o bezpieczeństwie mowa, polecaną przez wiele osób funkcją jest możliwość zastrzeżenia numeru PESEL, co uchroni nas przed kradzieżą tożsamości, wyłudzeniami i zobowiązaniami finansowymi, które zostały zaciągnięte bez naszej wiedzy.

Nowa jakość usług cyfrowych

W mObywatelu można załatwić długą listę spraw urzędowych. Umówimy np. e-wizytę ZUS i podpiszemy różne dokumenty. Zmienimy w razie potrzeby nasz obwód wyborczy. W zakładce „Twoje sprawy" możemy monitorować urzędowe wnioski, które złożyliśmy. Kierowcy od niedawna mogą spisać oświadczenie o zdarzeniu drogowym w mStłuczce. Kto czekał na przyjazd policji albo nerwowo szukał kartki do spisania oświadczenia, ten wie, że to genialne ułatwienie. Dodatkowo można sprawdzić punkty karne i mandaty. Tymczasowe elektroniczne prawo jazdy pozwala świeżo upieczonemu kierowcy wsiąść za kółko natychmiast po egzaminie, bez czekania na fizyczny dokument.

Lista zadań, z którymi radzi sobie mObywatel, jest naprawdę długa i potwierdza, że aplikacja jest warta zainstalowania. Przydaje się w aptece, bo przechowuje nasze e-recepty. Może służyć do zgłaszania sytuacji zagrażających środowisku, np. znalezionej w lesie hałdy śmieci. Planując zagraniczny wyjazd, można sprawdzić dane dotyczące kraju, do którego jedziemy. W podróżach po Polsce pomaga integracja aplikacji z Bilkomem, dzięki czemu mamy wszystkie bilety w jednym miejscu. Ministerstwo Cyfryzacji zapowiada, że katalog usług będzie się konsekwentnie powiększał. A jeśli wygodniej pracuje się nam na komputerze, to sprawy można załatwiać również za pośrednictwem strony **mObywatel.gov.pl.**

„Materiał promocyjny dofinansowany przez Ministerstwo Cyfryzacji ze środków Unii Europejskiej z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach programu Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy".

Fundusze Europejskie na Rozwój Cyfrowy | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | Ministerstwo Cyfryzacji

eprasa.pl 66f0f55e4a

III wojna światowa (1981-1985) – realny konflikt, którego nie było



Przełomowe spotkanie Ronalda Reagana i Michaiła Gorbaczowa w Genewie w listopadzie 1985 r.

Wiktor Brożek

Jeżeli ktoś pamięta pierwszą połowę lat 80., może sobie pogratulować – nie dość, że widział tak ważne wydarzenia w dziejach Polski jak powstanie Solidarności czy wprowadzenie stanu wojennego, to jeszcze udało mu się przetrwać (potencjalną) III wojnę światową. Podczas gdy wielu Polaków rozwiązywało problemy dnia codziennego, śmiało się, bawiło lub smuciło, za kurtynami światowej polityki trwał jeden z najgorętszych konfliktów od 1945 r. Mało brakowało, a cała ludzkość mogłaby zniknąć w ciągu kilku minut.

Groźba III wojny światowej, wisząca nad ludzkością od rozpoczęcia zimnej wojny pomiędzy Wschodem a Zachodem, była tym poważniejsza, że obie strony dysponowały bronią mogącą wybić, i to kilkukrotnie, całe życie na Ziemi. Paradoksalnie to z tego powodu konflikt na taką skalę nigdy nie wybuchł, a starcia obu bloków przybierały co do zasady kształt wojen zastępczych z dala od Waszyngtonu i Moskwy. Doktryna MAD (Mutually Assured Destruction – obustronnie gwarantowanej destrukcji) powodowała, że żadna strona nie mogła sobie pozwolić na radykalny krok. Odpowiedź była niemożliwa do przewidzenia, tak samo jej skutki. Mimo ogromnych napięć główny teatr konfliktu, czyli Europa, pozostał spokojny. Oczywiście dochodziło do takich sytuacji jak zestrzelenie amerykańskiego samolotu U-2 czy kryzys kubański, ale na przełomie lat 70. i 80. zachowano równowagę sił i trwał okres odprężenia (détente). Niekiedy okres ten uważa się za cezurę dwóch zimnych wojen.

Jakkolwiek by ciąć na kawałeczki oś czasu, należy się zgodzić, że znaczne zaostrzenie sytuacji międzynarodowej zapoczątkowała interwencja radziecka w Afganistanie w 1979 r. Zachodnia opinia publiczna była zniesmaczona i w ramach protestu drużyny sportowe z wielu państw zbojkotowały igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 r. Nasiliły się nastroje prawicowe i antykomunistyczne. W Polsce pojawiła się Solidarność, a w Waszyngtonie w 1981 r. nowy gospodarz, zupełnie inny od poprzedników i nieprzewidywalny.

Żart prezydenta

Ronald Reagan jest do dziś postacią znaną i rozpoznawalną. Aktor w westernach, gubernator Kalifornii i nowa jakość w polityce, wykorzystujący umiejętności aktorskie i mający wyraziste poglądy, zwłaszcza w porównaniu z poprzednikiem, Jimmym Carterem. Jego projekt liberalizacji gospodarki amerykańskiej (w tym samym czasie podobne reformy przeprowadzała brytyjska premier Margaret Thatcher) stawiał go w kontrze do systemu socjalistycznego, który do niedawna miał jeszcze obrońców na Zachodzie. Do historii przeszedł żart prezydenta, który, udając, że nie wie o włączonym

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 66f0f55e4a

mikrofonie, ogłosił wydanie rozkazu likwidacji ZSRR. Wielu słuchaczy to rozbawiło, na Kremlu natomiast potraktowano sprawę poważnie.

Przywództwo radzieckie znajdowało się w niebezpiecznej sytuacji. Stary, schorowany i uzależniony od alkoholu Leonid Breżniew pod koniec życia był „pudrowanym trupem", który nie odróżniał już swoich wyobrażeń od rzeczywistości. Żadnej grupie na Kremlu nie opłacało się jednak zmieniać tego stanu. Z resztą kierownictwa nie było lepiej, średnia wieku członków władz KPZR przekraczała 70 lat (sic!). Dodatkowo w związku z działalnością ekonomiczną Reagana, wprowadzającego sankcje i embarga, oraz rozwojem gospodarki amerykańskiej gospodarka radziecka zaczęła wchodzić w poważny kryzys. Nałożył się na to wyścig zbrojeń drenujący moskiewski budżet.

Po obu stronach zaczęła się kształtować sytuacja wręcz paranoidalna. Podczas szkolenia z zasad bezpieczeństwa nowy prezydent USA mógł na własnej skórze doświadczyć procedur, które miały go zabezpieczyć podczas ewentualnej katastrofy nuklearnej. Na Reaganie zrobiło to piorunujące wrażenie. Zaczął się bać, że opowieści o możliwej III wojnie światowej są realnym zagrożeniem. To ciekawe, że człowiek kojarzony jako odważny i nieustępliwy (przeżył nawet jeden zamach na swoje życie) i znany z ostrego języka (często połączonego z dobrym dowcipem) był pełen obaw. Sowieci kierowali się względami ideologicznymi, które nie pozwalały uznać współpracy świata kapitalizmu i komunizmu za możliwą. Spiskowe myślenie było połączone z wciąż obecnym strachem przed powtórką z 1941 r. i inwazji III Rzeszy na ZSRR. Współpraca wewnątrz NATO i rozbudowa potencjału amerykańskiego w Europie budziła obawy przed możliwą (czysto hipotetycznie) napaścią.

Jeszcze w latach 70. to Związek Radziecki był górą, lecz stopniowo sytuacja zaczęła się zmieniać. Reformy w armii amerykańskiej i nowy, zaawansowany technologicznie sprzęt sprawiły, że przewagę zyskiwała strona zachodnia. Związek Radziecki w czasach II wojny światowej był zacofany technologicznie (wystarczy spojrzeć na mundury bez współczesnego kamuflażu) i ten stan tylko się nasilał. Zaogniało to sytuację i powodowało, że przyparta do muru Moskwa mogła uznać, że nie ma nic do stracenia. Amerykanie zaś, coraz bardziej ośmieleni, przesuwali swoje wyrzutnie rakiet dalekiego zasięgu…

Satelity i lasery

Najgorszy dla „imperium zła" okazał się program gwiezdnych wojen (inspirowany serią filmów George'a Lucasa): Strategic Defense Initiative. Projekt zakładał stworzenie systemu wykrywania i ofensywy rakietowej z wykorzystaniem satelitów w przestrzeni kosmicznej. Był niezwykle zaawansowany technologicznie (wykorzystywał m.in. technologię laserową) i niemożliwy do powstrzymania przez ZSRR – a łączyło się to z agresywną retoryką nowej administracji amerykańskiej i jej śmiałymi poczynaniami, takimi jak wtargnięcie amerykańskiej łodzi podwodnej na radzieckie wody terytorialne podczas wspólnych ćwiczeń z Japonią.

Starcia obu bloków przybierały kształt wojen zastępczych z dala od Waszyngtonu i Moskwy.

Poczucie zagrożenia wzmogło czujność. Przy jednoczesnej nadgorliwości doprowadziło to do tragedii. 1 września 1983 r. radziecka obrona przeciwpowietrzna zestrzeliła koreański samolot pasażerski KAL 007. Lecąc z Alaski do Seulu, zboczył on z kursu i zamiast nad Pacyfikiem znalazł się nad Kamczatką, co wzbudziło zaniepokojenie. Zaostrzyło to stosunki i zdemonizowało Kreml w oczach zachodniej opinii publicznej. Władze radzieckie nie pozostawały jednak bierne i rozpoczęły działania wywiadowcze kierowane przez KGB.

Z moskiewskiej Łubianki wyszedł sygnał do rozpoczęcia operacji RJaN (od Rakietnoje Jadiernoje Napadienije – Rakietowy Atak Nuklearny), której pretekstem stały się ćwiczenia NATO w Europie Able Archer 83. Jurij Andropow podejrzewał, że działania wrogiego sojuszu są przykrywką dla nuklearnego ataku z zaskoczenia na Związek Radziecki. Działania KGB i innych służb specjalnych państw socjalistycznych odznaczały się jednak dużą nadgorliwością. Obserwowano chociażby oświetlenie w budynkach NATO nocą, czyli w których pokojach i jak długo pracowano, by określić, czym mogą się zajmować amerykańscy sztabowcy. Analizowano rejestracje na pobliskich parkingach, a mikrofony nagrywały dziesiątki godzin rozmów. Oficer wywiadu radzieckiego w Londynie Oleg Gordijewski, podwójny agent i jeden z najbardziej znanych uciekinierów na Zachód, wspominał o absurdalności całej sytuacji i atmosferze paranoicznego strachu. Jako że nie było w zasadzie o czym raportować, wysyłano streszczenia lokalnych gazet, tylko po to, żeby centrala była zadowolona.

Co ciekawe, radziecki wywiad miał w centrali NATO w Brukseli agenta Rainera Ruppa, który informował na bazie tajnych dokumentów natowskich, do których miał dostęp, że nie było żadnego zagrożenia. Moskwa pozostawała jednak wyczulona i uspokoiło ją dopiero zakończenie ćwiczeń.

W międzyczasie zmarł sekretarz generalny KC KPZR, jego następca, Konstantin Czernienko… także zmarł. Widząc, że sytuacja wygląda poważnie, kierownictwo ZSRR postanowiło zaryzykować i postawiło na młodego, inteligentnego polityka z prowincji (Stawropola), czyli Michaiła Gorbaczowa. Dzisiaj znany jest jako twórca pierestrojki, ale na początku był dla kremlinologów zagadką. W kwestii stosunków z USA przełomowe okazało się spotkanie Gorbaczowa i Reagana w Genewie w listopadzie 1985 r. Mimo braku poważniejszych ustaleń doszło do ocieplenia relacji. Dwa systemy najwyraźniej mogły koegzystować. ■

eprasa.pl 66f0f55e4a

Nowe linie na piasku

Wymiana zakładników pomiędzy Izraelem i Hamasem nie oznacza końca konfliktu na Bliskim Wschodzie

Mateusz Mazzini

Jeśli w sprawie obecnej administracji Trumpa istnieje chociaż jedna rzecz, co do której panuje zgoda wśród komentatorów, jest to przekonanie, że należy koncentrować się na faktach, a nie na deklaracjach. Fakty, przynajmniej te najświeższe, są zaś takie, że rozejm w Gazie utrzymał się nieco ponad 24 godziny. Już we wtorek, niedługo po tym, jak w egipskim Szarm el-Szejk odegrano polityczny teatr ku czci amerykańskiego prezydenta, na terytorium Palestyny znów słychać było strzały. Jak informowała Agencja Reutera, siły izraelskie otworzyły ogień „w kierunku potencjalnego celu po stronie palestyńskiej" – grupa ludzi miała za bardzo zbliżyć się do ustalonych w ramach porozumienia pokojowego pozycji Sił Obrony Izraela (IDF). W rezultacie zginęło sześć osób.

Z jednej strony, nie da się tego porównywać z niedawną gehenną setek tysięcy ludzi na tym obszarze: co dzień ginęło kilkanaście, nawet kilkadziesiąt osób, w tym dzieci stojące w kolejce do ostatnich punktów wydawania żywności. Izraelscy żołnierze nawet nie udawali, że starają się oszczędzać cywilów. Konfrontowane później z raportami z Gazy kierownictwo armii wzruszało ramionami, mówiąc, że „najwyraźniej popełniono błąd w terenie". Przy dziesiątkach ofiar dziennie sześć to ułamek wcześniejszego cierpienia. Z drugiej strony, w Gazie nadal giną ludzie, co też jest faktem, z którym dyskutować się nie da.

Plan Trumpa

Na pierwszy rzut oka Trump rzeczywiście dokonał cudu. Jego osiągnięcia na Bliskim Wschodzie w zestawieniu z niemocą i ciamajdowatością ruchów ekipy Joego Bidena wyglądają na dzieło geniusza dyplomacji. Jednak obecny amerykański prezydent geniuszem nie jest, dyplomacji też raczej nie uprawia, a na pewno nie całkiem ją rozumie. Mimo to zakończył jedną z najbrutalniejszych wojen w najnowszej historii ludzkości, przynajmniej na razie. Skoro nic tutaj nie miało prawa się udać – jakim więc cudem się udało?

Niedługo po tym, jak w egipskim Szarm el-Szejk odegrano polityczny teatr ku czci prezydenta USA, na terytorium Palestyny znów słychać było strzały.

Odpowiedzieć na to pytanie nie jest łatwo, przede wszystkim dlatego, że jeszcze nie wiadomo, czy naprawdę się udało – i co właściwie mogło i miało się udać.

Bez zapoznania się z założeniami planu Trumpa wszelkie dyskusje o przyszłości Bliskiego Wschodu, odbudowie Palestyny czy nawet demokratycznych wyborach na tym terytorium są wtórne. Podobnie jak reakcja na nie obu stron konfliktu. Praktyczne podsumowanie najważniejszych punktów planu przedstawił w newsletterze amerykańskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych (Council on Foreign Relations, CFR) Steven Cook, analityk tej organizacji zajmujący się bezpieczeństwem bliskowschodnim. Hamas i Izrael zgodziły się na wstrzymanie ognia, z naciskiem na przerwę w działaniach wojennych, takich jak naloty i operacje powietrzne. To przede wszystkim wymóg w stosunku do Beniamina Netanjahu, bo Hamas, owszem, nadal walczył, w dodatku robił to także na terytorium Izraela, ale raczej nie za pomocą myśliwców czy dronów bombardujących cele cywilne.

Asymetria potencjałów militarnych została więc zaznaczona już na początku planu pokojowego i cokolwiek by mówić o Trumpie, trudno temu ruchowi odbierać zasadność.

Jednocześnie w świetle informacji przytoczonych przez Agencję Reutera widać od razu, że uzgodnienie zawieszenia broni niekoniecznie przekłada się na rzeczywistość. O ile bowiem bomby już nie spadają na Gazę, o tyle strzały nadal słychać, a kule potrafią być tak samo śmiercionośne jak drony i pociski rakietowe.

Drugim elementem negocjacji było stopniowe zmniejszenie izraelskiej obecności wojskowej w Autonomii Palestyńskiej – przypomina Steven Cook. I tu przyszłość pokoju stoi pod sporym znakiem zapytania, bo wycofywanie się IDF z Palestyny ma nastąpić w trzech fazach. Pierwsza, już zainicjowana, spowoduje, że Izrael utrzyma żołnierzy (a przez to kontrolę) na 53% terytorium palestyńskiego. Nawet pobieżny ogląd przygotowanych przez Biały Dom na potrzeby szczytu w Szarm el-Szejk map kolejnych etapów procesu uświadamia, że chodzi tu o coś, czego nie da się nazwać inaczej niż okupacją. Jeśli wrogie siły stacjonują na ponad połowie twojego terytorium, czy możesz mówić o jakiejkolwiek wolności?

W fazie drugiej odsetek ten ma się zmniejszyć do 40%, a w trzeciej, ostatniej – do 15%. Jak wynika z analiz CFR, nawet wtedy jednak izraelskie siły mają utrzymywać zamkniętą strefę buforową

eprasa.pl 66f0f55e4a



Prezydent Trump pokazuje podpisany w Szarm el-Szejk dokument dotyczący planu pokojowego dla Strefy Gazy. 13 października 2025 r.

na granicy Autonomii. W praktyce oznaczać to będzie kontrolę nad przejściami granicznymi, co zresztą już ma miejsce. Clarissa Ward, główna korespondentka CNN ds. międzynarodowych, udostępniła w internecie zdjęcia pokazujące, jak konwoje z pomocą humanitarną przekraczają przejście graniczne między Palestyną i Egiptem w Rafah – w tle widać stacjonujące tam nadal jednostki IDF.

Odblokowanie pomocy humanitarnej to kolejny element planu pokojowego, lecz znów nie wygląda to zbyt optymistycznie. Owszem, ciężarówki już są w Gazie, ale pomoc została w dużej mierze sprywatyzowana przez powiązane z obecną administracją firmy, które mają własnych ochroniarzy, często brutalnych, rekrutowanych z licznych firm najemniczych działających od lat w imieniu amerykańskiego rządu. Nie wiadomo, czy wszyscy potrzebujący będą mieli do niej dostęp, nie mówiąc o skali potrzeb.

Na początku września UNICEF alarmował, że co piąte dziecko w Gazie cierpi na przewlekłe niedożywienie, czyli takie, które dewastuje układ odpornościowy i niszczy zdrowie bezpowrotnie, nawet kiedy substancje odżywcze zostaną już podane. „The Guardian" z kolei wylicza, że w tym stanie znajduje się 55 tys. dzieci pomiędzy drugim a piątym rokiem życia. Wywołana przez Izrael klęska głodu w Palestynie jeszcze długo będzie przynosić tragiczne konsekwencje.

A ustalenia dotyczące pomocy humanitarnej już zostały, jak niemal wszystko w planie Trumpa, skonfrontowane z brutalnymi, skomplikowanymi realiami tego konfliktu. We wtorek 14 października władze izraelskie poinformowały bowiem, że ustalona wcześniej ilość pomocy zostanie zredukowana o połowę, przynajmniej na razie. To ruch w reakcji na rzekomą opieszałość Hamasu w przekazywaniu ciał zakładników, którzy zmarli w niewoli po 7 października 2023 r. W chwili oddawania tego tekstu do redakcji wiadomo było o przekazaniu czterech ciał. Losy 20 zakładników uznanych za martwych pozostają jednak niejasne, ciała wciąż nie zostały wydane. Tymczasowo znów zablokowano przejście w Rafah, a porozumienie pokojowe zawisło na włosku.

Co z Gazą, kiedy opadnie kurz

Widać więc jak na dłoni, że utrzymanie zawieszenia broni pomiędzy Izraelem i Hamasem przypomina chodzenie po polu minowym. Nie ma żadnej przesady w stwierdzeniu, że cała ta misterna konstrukcja, zbudowana przez zięcia Trumpa Jareda Kushnera i wspierana przez Katar, głównego negocjatora pokojowego nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale też na globalnym Południu, może się posypać w dowolnym momencie. W takich warunkach nie da się robić dalekosiężnych planów, mówić o rekonstrukcji i stałych gwarancjach bezpieczeństwa.

Trump zresztą żadną z tych rzeczy nie jest zainteresowany i nawet tego nie ukrywa. Dla niego zakończenie tego konfliktu, przynajmniej w fazie deklaratywnej, przed kamerami i chociaż na chwilę, było ważne z powodów wizerunkowych. Cała jego polityka to zresztą teatr, widać to w kraju, gdzie jego administracja sieje terror w liberalnych miastach głównie po to, żeby mieć co publikować w mediach społecznościowych.

Kierując się więc metodologią, którą już jakiś czas temu zaproponował Jeremy Shapiro z Europejskiej Rady ds. Stosunków Międzynarodowych (European Council on Foreign Relations, ECFR), pokazującą, że polityka zagraniczna jest u Trumpa przedłużeniem polityki krajowej, tak samo należy rozumieć szczyt w Szarm el-Szejk. Zjechało się tam ponad 20 przywódców różnych krajów, a prezydent USA mógł wysłuchiwać komplementów na swój temat. Nie wszystkie pochwały przypadły mu jednak do gustu – magazyn „Time" umieścił zdjęcie prezydenta na okładce, podpisując główny artykuł numeru słowami „Jego triumf", ale Trump miał żal, że wybrano „najbrzydsze możliwe zdjęcie", na którym „ma mało włosów". Trudno o lepszy komentarz do jego zaangażowania w proces pokojowy na Bliskim Wschodzie.

Uzgodnienie zawieszenia broni niekoniecznie przekłada się na rzeczywistość.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 66f0f55e4a

Najbardziej prawdopodobne jest więc, że Trump zwyczajnie uzna teraz sprawę za całkowicie rozwiązaną, wstanie od stołu i pójdzie dalej. Czy będzie to Ukraina, czy wojna celna z Chinami albo kolejna awantura z Europą? Trudno przewidzieć, ale to też jest wtórne. Swoje zrobił, zakładnicy zostali wypuszczeni, zyskał solidny argument w domaganiu się przyznania Pokojowej Nagrody Nobla w przyszłym roku. Dlatego ważniejsze jest w tej chwili pytanie, co stanie się z Gazą, kiedy kurz opadnie, a Biały Dom przestanie na nią patrzeć.

Istotna w tej kwestii jest perspektywa, co trafnie na łamach magazynu „Foreign Affairs" zauważył Zeid Ra'ad al-Hussein, były wysoki komisarz ONZ ds. praw człowieka. Pisze on w eseju, że problemem wszelkich projektów pokojowych na Bliskim Wschodzie było dotychczas nadmierne skupienie na przełamywaniu barier teraźniejszości, bez „klarownej wizji tego, co powinno nastąpić na końcu tej ścieżki". Tak było, twierdzi dyplomata, zarówno z procesem pokojowym zapoczątkowanym w Oslo w 1994 r., który teoretycznie pchał obie strony w kierunku dwóch niezależnych państw, choć bez konkretnych kroków mających do tego doprowadzić, jak i z mapą drogową dla pokoju z 2003 r. Wszystkie te szumnie ogłaszane deklaracje, mówiące o rozbrojeniu, zakończeniu okupacji i o demilitaryzacji, rozbijały się o proste rzeczy – nierówności ekonomiczne, fundamentalizm religijny czy akty terroru. Z czasem nie było już w ogóle przestrzeni na dialog i walki wybuchały od nowa.

Izrael utrzyma żołnierzy na 53% terytorium palestyńskiego. Nie da się nazwać tego inaczej niż okupacją.



Alternatywy dla konfliktu

Po tym, co wydarzyło się po 7 października 2023 r., trudno sobie wyobrazić jakiekolwiek pokojowe współistnienie Izraela i Hamasu. Z drugiej strony premier Netanjahu, nie mówiąc już o fanatykach i zelotach z jego skrajnie prawicowego rządu, kategorycznie odmawia nawet rozmów o niepodległym państwie palestyńskim.

Na przeciwległym biegunie znajdują się przywódcy 157 spośród 193 krajów uznanych za suwerenne przez ONZ – wszyscy oni akceptują palestyńską państwowość. Kluczowymi elementami tej układanki są oczywiście państwa arabskie, które przez lata wspierały finansowo i militarnie Hamas, oraz – dość niespodziewanie – prezydent Francji Emmanuel Macron, prowadzący od kilku miesięcy szeroko zakrojoną kampanię na rzecz Palestyny jako suwerennego podmiotu państwowego.

Nigdy w historii istnienia Państwa Izrael tak znacząca część świata nie popierała Palestyny tak jednoznacznie. Nigdy też w Izraelu nie było tak radykalnego rządu, którego członkowie, wypowiadając się o mieszkańcach Autonomii, mówiliby językiem ludobójstwa.

Jednocześnie nie ma innej drogi do pokoju na Bliskim Wschodzie niż uznanie w jakiejś formie państwowości palestyńskiej. W przeciwnym razie arabska populacja skazana będzie zawsze na jakąś formę segregacji, niepełne prawa obywatelskie, i to z bardzo prostej przyczyny, której radykalni syjoniści już nawet nie ukrywają. Gdyby doszło do wchłonięcia Palestyny przez Izrael, o czym pewnie Bibi marzy, trzeba by coś zrobić z jej mieszkańcami. Oczywiście można myśleć o ludobójstwie, pełnej czystce etnicznej lub makabrycznych rozwiązaniach w stylu przesiedlenia 2 mln osób do wybranego państwa arabskiego, ale to wciąż albo bardzo szokujące, albo niepraktyczne. Jeśli Palestyńczycy zostaliby w Izraelu, nie mogą mieć pełni praw, bo zwyczajnie byłoby ich więcej. A przewaga liczebna w demokracji oznacza bezpośredni i najczęściej skuteczny wpływ na wynik wyborów.

Dlatego współistnienie w ramach jednego podmiotu państwowego to droga do apartheidu, demokracja ostatecznie zawsze przegrywa z demografią. Jeśli ktoś nie wierzy, że tak jest, niech zastanowi się nad prawami rasowymi czasów Mussoliniego, porywaniem przez Władimira Putina ukraińskich dzieci czy wysiłkami MAGA, by tak zmienić w USA mapy okręgów wyborczych, żeby w żadnym nigdy nie dać czarnoskórym obywatelom przewagi liczebnej.

Czy istnieją więc realne alternatywy dla dalszego konfliktu na Bliskim Wschodzie? Pomysły są, niektóre intelektualnie ciekawe, np. Konfederacja Ziemi Świętej, projekt stworzony po konsultacjach z kilkudziesięcioma organizacjami społeczeństwa obywatelskiego z Palestyny i Izraela przez izraelskiego polityka Yossiego Beilina. W teorii miałby to być związek dwóch podmiotów, nie do końca połączonych, ale dzielących kompetencje wykonawcze w kluczowych obszarach administracyjnych.

Brzmi jak coś, co nawet Netanjahu byłby w stanie przełknąć. Oraz jako możliwy do wdrożenia projekt. Bo wszystko inne, na czele z ofertą Trumpa, pozostaje na razie – parafrazując tytuł znanej książki o Bliskim Wschodzie – kolejną linią na piasku.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66f0f55e4a



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Przez chwilę pod Lenino byłem

Tytuł jest oczywiście zabiegiem retorycznym, fizycznie pod Lenino nie byłem. Byłem w Warszawie na uroczystych obchodach 82. rocznicy bitwy 1. Polskiej Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki 1. Armii Wojska Polskiego, na Grobie Nieznanego Żołnierza i na cmentarzu Powązkowskim. Zostaliśmy zaproszeni jako przedstawiciele Stowarzyszenia Ochotnicy Wolności, które zajmuje się pamięcią o żołnierzach Brygad Międzynarodowych (w szczególności dąbrowszczaków, czyli żołnierzy XIII BM im. Jarosława Dąbrowskiego) walczących w hiszpańskiej wojnie domowej w latach 1936-1939 przeciw faszystom hiszpańskim wspomaganym (także na polu walki) przez faszystów włoskich i niemieckich. I kościuszkowcy, i dąbrowszczacy dotknięci zostali antykomunistyczną histeryczną fiksacją IPN i prawicowych polityków, usiłujących usunąć z przestrzeni publicznej oraz pamięci ich walkę i śmierć.

Tegoroczne obchody były, zarówno dla żyjących jeszcze żołnierzy spod Lenino, jak i dla przedstawicieli związków kombatanckich, przełomowym wydarzeniem, na które patrzyli z niedowierzaniem. Uroczystości bowiem współorganizował Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Uczestniczyli w nich szef urzędu minister Lech Parell i jego zastępca, wiceminister Michał Syska. Panel historyczny odbył się w siedzibie Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych. Przebieg tej dramatycznej bitwy zarysował Piotr Korczyński, redaktor naczelny kwartalnika „Polska Zbrojna. Historia", autor m.in. książki „Piętnaście sekund. Żołnierze polscy na froncie wschodnim". Korczyński został uhonorowany Medalem „Pro Patria". Podczas uroczystości przemawiali wiekowi kombatanci, niektórzy mieli ponad 100 lat.

Wątkiem, który wracał w przemówieniach i dyskusji podczas panelu historycznego, był apel, żeby nie dzielić żołnierskiej krwi na lepszą (ci od Andersa i z Zachodu) i gorszą (kościuszkowcy, berlingowcy, żołnierze 1. i 2. Armii Wojska Polskiego, utworzonych w ZSRR). Przejmująco brzmiały te słowa w ustach kombatantów w tak podeszłym wieku. Jeden z nich swoje krótkie wspomnienie (wstąpił do kościuszkowców, mając 16 lat) zakończył gromkim: „Nigdy więcej wojny!". Pomyśleć, że w ostatnich latach uświęcona swoimi rządami prawica uznawała to hasło za nazbyt eksponowane…

Michał Syska wspominał postać Jerzego Henkla, „który wraz z całą rodziną został zesłany w głąb ZSRR, na nieludzką ziemię. Gdy wraz z bratem Ryszardem usłyszał, że tworzy się polskie wojsko, natychmiast stawił się do punktu poborowego. Ryszarda wzięli, Jerzego – z powodu młodego wieku – do tworzącej się Armii Andersa nie przyjęto. Przyjęto go później do kościuszkowców, a swój bojowy chrzest przeszedł w krwawej bitwie pod Lenino, która odbyła się 82 lata temu. Ryszard walczył na froncie zachodnim, m.in. pod Monte Cassino. Po wojnie umniejszano pamięć o nim i jego towarzyszach broni. Jerzy walczył w szeregach 1. Armii WP. Po 1989 r., a zwłaszcza w ostatnich latach, umniejszano pamięć o nim i jego towarzyszach broni". Jerzy Henkel zabrał głos pod Grobem Nieznanego Żołnierza.

Piotr Korczyński dzielił się opowieścią, którą wcześniej opublikował w „Newsweeku": „Sowieccy artylerzyści wiele widzieli już na froncie, ale kiedy o świcie 12 października 1943 r. zobaczyli kościuszkowców wyprostowanych jak struny, jakby to była defilada, a nie krwawy bój, ze zdumienia zastygli, a po chwili zaczęli rzucać czapkami w górę i krzyczeć: »Mołodcy Polaki, idut kak matrosy!«. Tak rodziła się legenda o chrzcie bojowym 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Porównanie do spieszonych matrosów (marynarzy) to był wielki komplement, tyle tylko, że Polacy swoim atakiem demonstrowali nie pogardę śmierci, lecz brak frontowego doświadczenia. Dopiero co sformowana, nieostrzelana dywizja znalazła się w pierwszym rzucie jednej z wielu »maszynek do mięsa«, jak nazywano bitwy Armii Czerwonej z Wehrmachtem".

Jest w rzeczy samej haniebne obecne (do niedawna) dewaluowanie żołnierskiej postawy, drogi i ofiar wedle klucza: „skąd szli". Słuchając ze wzruszeniem wypowiedzi stojących u kresu życia kombatantów, którzy pod Lenino, nie ze swojej winy, przeszli prawdziwe piekło, a potem przebyli cały szlak bojowy, przez Warszawę, do Berlina, trudno nie pomyśleć, jak potworną krzywdę potrafi wyrządzić współczesna polska prawicowa polityka historyczna, jak jest stronnicza, karykaturalna i podporządkowana doraźnym interesom politycznym, kosztem rzeczywistej pamięci historycznej i historii konkretnych żołnierzy.

Pod Lenino walczyło co najmniej kilkunastu dąbrowszczaków, wielu zginęło, a sama formacja doświadczyła w ostatnich latach prób wymazania jej walki z pamięci o wojnie światowej, której próbą generalną była wojna w Hiszpanii. Ci, którzy bombardowali Madryt, po kilku latach zrzucali bomby na Warszawę.

Wobec wszystkich, którzy walczyli w krwawej bitwie pod Lenino, a potem zdobywali Berlin, winniśmy z szacunkiem i wdzięcznością pochylić głowy. Chylę zatem. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66f0f55e4a



Czy Warszawa ma gospodarza?

Kolejne modernizacje obnażają niekompetencję władz stolicy

Kornel Wawrzyniak

Krytyczne uwagi na temat modernizowania Warszawy można uznać za czepianie się, malkontenctwo lub publicystykę uprawianą na zlecenie polityczne. Kiedy jednak usiąść i zacząć spisywać różne wpadki, pojawia się wątpliwość, czy nad tym wszystkim ktoś panuje. Chaos organizacyjny wywołany przez remonty podczas Konkursu Chopinowskiego wystawił Polskę na pośmiewisko. Tymczasem w ramach poszerzania warszawskiego centrum po drugiej stronie Wisły miasto remontuje drogę dojazdową do apartamentów, zamiast np. walczyć z narkomanią.

Remont czy gentryfikacja?

W pierwszym tygodniu października ruszyła modernizacja ulicy Okrzei w centrum Pragi-Północ. Doniesienia medialne o już wprowadzonych zmianach wyglądają jak katalog dewelopera. Decydentom nie można odmówić rozmachu. Pomysł na to, aby oddać ulicę pieszym i rowerom, ograniczając ruch samochodowy, idzie oczywiście z duchem czasów. Tym bardziej posadzenie 74 drzew. W materiałach prasowych czytamy o rewolucji i zielonej alei. Jest to część projektu „Nowe Centrum Warszawy". Ulica Okrzei ma być naturalnym przedłużeniem mostu pieszo-rowerowego otwartego pod koniec marca 2024 r.

Pytanie, czy rzeczywiście modernizacja ma służyć mieszkańcom. Szczególnie że sam prezydent Trzaskowski mówił w kontekście tego remontu tylko o spacerowiczach i rowerzystach. Modernizacja zaś wydaje się skrojona typowo pod mieszkańców osiedla Port Praski z apartamentami za miliony. Osiedle przypominające drogie lofty w Amsterdamie wygląda dość groteskowo w otoczeniu odrapanych kamienic. Wręcz jak nieumiejętnie wklejone w programie graficznym. To deweloperskie miasteczko znajduje się co prawda w sercu Pragi-Północ, ale nie żyje zgodnie z rytmem historycznej okolicy.

– Bogatym z Portu Praskiego robi się paryską uliczkę, żeby mogli w ładnych okolicznościach podjechać pod apartament. A reszta dzielnicy zmaga się z tymi samymi problemami co zawsze. Kruszejące mury, dziury w asfalcie, niektórzy nadal nie mają w domach łazienek, a nawet samej toalety. Zauważmy, że remont Okrzei nie obejmuje całej ulicy. Kończy się na wysokości Jagiellońskiej, czyli tam, gdzie nie ma już nowych, ładnych budynków – alarmuje redakcję „Przeglądu" mieszkaniec Pragi-Północ, który pokazuje inną niż miejscy urzędnicy perspektywę.

W 2021 r., jak wskazywał w interpelacji radny Michał Szpądrowski (PiS), na Pradze-Północ było 998 mieszkań komunalnych bez łazienki, a 1015 lokali mieszkalnych znajdujących się w zasobach miejskich nie miało własnego WC. Okoliczni mieszkańcy opowiadają, że kiedy ktoś wiele lat temu wprowadzał się na Pragę-Północ, sam musiał sobie poradzić z kwestią łazienki, niezależnie od tego, czy mieszkanie było od miasta, czy nie.

O wyjaśnienia poprosiliśmy władze dzielnicy i kilku radnych z Pragi-Północ. Jedyny komentarz, jaki udało nam się uzyskać, przyszedł z prywatnego mejla radnej. Wynika z niego, że sytuacja się zmienia, ale na ile, to już trudno powiedzieć. Zwróciliśmy się także do działu komunikacji medialnej Pragi-Północ. Do dnia druku nie dostaliśmy odpowiedzi.

Media tymczasem alarmują, że od kilku lat w dzielnicy narasta również problem narkotyków – zarówno handlu nimi, jak i spożycia. W 2018 r. policja w Warszawie interweniowała 3394 razy, z czego na Pradze – 590. W 2023 r. liczba

eprasa.pl 66f0f55e4a



Modernizacja ulicy Okrzei wydaje się skrojona pod mieszkańców osiedla Port Praski z apartamentami za miliony.



Entuzjaści Konkursu Chopinowskiego zostali przywitani rozkopanymi ulicami wokół Filharmonii Narodowej.

wszystkich przestępstw związanych z narkotykami w Warszawie wyniosła 6568, z czego na Pradze 1299. W ciągu pięciu lat odnotowano prawie dwukrotny wzrost. Dodatkowo to na Pradze-Północ jest najwięcej punktów leczenia substytucyjnego dla narkomanów. Z raportu Rzecznika Praw Osób Uzależnionych za rok 2024 można się dowiedzieć, że na 1659 pacjentów korzystających z tego typu pomocy w Warszawie aż 1151 trafiło do centrów terapii metadonowej na Pradze-Północ.

Nadanie ulicy Okrzei zupełnie nowego stylu nie wydaje się więc inwestycją pierwszej potrzeby dla dzielnicy. Podobnie jak połączenie się z drugim brzegiem kładką za 100 mln zł. Takie pomysły jednak nie dziwią mieszkańców Pragi-Północ. Redakcja „Przeglądu Praskiego" informowała na początku września br., że na radzie budżetowej dzielnica podjęła decyzję o wynajęciu za 50 tys. zł świątecznej choinki. Jednocześnie wiceburmistrz Sylwester Klimiuk miał poinformować, że „dzielnica dysponuje 4 mln zł na remonty praskich dróg, ale nie jest w stanie ich wydać", bo w urzędzie brakuje osób, które mogłyby to zrobić. Na tej samej radzie ogłoszono, że zarząd dzielnicy postanowił przekazać Zarządowi Dróg Miejskich 480 tys. zł na pokrycie kosztów iluminacji i dekoracji świątecznej na terenie dzielnicy.

Mieszkańców Portu Praskiego to raczej nie obejdzie. Szczególnie że deweloper wybudował im tak naprawdę osobne miasteczko. „Port Praski stanie się swoistym »miastem w mieście«. Znajdzie się tutaj wszystko, co można spotkać w prawdziwym mieście: budynki mieszkalne, apartamenty, lokale usługowo-handlowe, gastronomiczne, hotele, a także biurowce", czytamy na stronie inwestycji.

Bogatym z Portu Praskiego robi się paryską uliczkę, żeby mogli podjechać pod apartament. A reszta dzielnicy zmaga się z tymi samymi problemami co zawsze.

Postanowiłem sprawdzić ceny mieszkań na terenie tego „miasta w mieście". Od strony ulicy Okrzei znajduję dwupoziomowe i zaledwie dwupokojowe mieszkanie o powierzchni 255 m kw. Deweloper informuje, że najniższa cena za metr w ciągu ostatnich 30 dni wynosiła 23 115,68 zł. To już poziom cen z warszawskiego śródmieścia, które wiele lat temu poszybowały znacznie wyżej niż Sławosz Uznański. Ale w Porcie Praskim jest to, zdaje się, całkiem przystępna cena.

Patrzmy dalej. Mieszkania od strony ulicy Sierakowskiego z widokiem na zbiornik wodny po owym porcie, który dał osiedlu nazwę: 38 tys. zł za metr kwadratowy na piątym piętrze, 44 tys. zł na szóstym i 54 tys. zł za piętro siódme. Mieszkania mają po 115 m. Ostatnie kosztuje ponad 6 mln zł.

O odklejeniu Portu Praskiego od reszty dzielnicy świadczą też znajdujące się na osiedlu lokale usługowe. Kawiarnie z kawą speciality, winiarnia, jakże praskie włoskie delikatesy czy SPA dla paznokci. – Dla mnie to dziwne. Port powinien być portem. Niechby tam były zabytkowe łódki – jakieś muzeum. Coś od ludzi dla ludzi. Młodzież mogłaby się czegoś dowiedzieć. Tymczasem deweloper robił tutaj nawet zakusy, żeby pomnik Kościuszkowców przesunąć i jeszcze jeden „bloczek" wcisnąć! – mówi zagadnięta na ulicy Okrzei pani Alina, mieszkanka Pragi-Północ.

Chopin w ruinie

Tegoroczny Konkurs Chopinowski, jedno z najważniejszych wydarzeń muzycznych na świecie, stał się symbolem obciachu, a nie narodowej dumy. Wszystko przez nieumiejętne zarządzanie i planowanie remontów w mieście. Z 19. edycją prestiżowego wydarzenia zbiegły

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2)

eprasa.pl 66f0f55e4a

się prace przy pomniku Fryderyka Chopina w Łazienkach Królewskich i modernizacja ulic w pobliżu Filharmonii Narodowej. Międzynarodowy konkurs jest organizowany co pięć lat. Z tej okazji do stolicy przyjeżdża wielu zagranicznych gości i turystów. Tym razem entuzjaści konkursu zostali przywitani rozkopanymi ulicami i pomnikiem zakrytym plandeką.

Remont wokół filharmonii trwa już od dłuższego czasu, to fakt. Chodzi jednak o drobne szczegóły, takie jak organizacja prac. Doszliśmy do absurdu, skoro reporter telewizyjny sprawdza w trakcie koncertów, czy roboty drogowe pod budynkiem filharmonii nie mają wpływu na występy. Podobno prace brukarskie nie przeszkadzały. Ale samo to, że władze instytutu organizującego konkurs musiały specjalnie się spotykać z ratuszem, aby wypracować z Zarządem Dróg kompromis dotyczący prac w trakcie konkursu, którego daty są znane, zakrawa na nonsens. Rzeczone remonty odbywają się w ramach projektu „Nowe Centrum Warszawy", podobnie jak prace przy ulicy Okrzei.

Remont pomnika Chopina w trakcie konkursu jest zaś zwykłą bezmyślnością. Wydarzenie trwa trzy tygodnie. Remont zaczął się dwa tygodnie przed konkursem, a ma się zakończyć i tak w 2026 r. Monument jest dla melomanów z całego świata punktem obowiązkowym na liście miejsc do odwiedzenia. Dlaczego więc zaplanowano prace akurat teraz?

Rzeczniczka prasowa Muzeum Łazienki Królewskie Agata Zawora tłumaczyła: „Zdajemy sobie sprawę, jak ważny jest pomnik Chopina – zarówno dla warszawiaków, jak i gości z całego świata, którzy przyjeżdżają do Warszawy z okazji Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Prace zostały tak zaplanowane, aby nie kolidowały z koncertami chopinowskimi, które odbywają się w Łazienkach od 1959 r. (w wakacje – przyp. red.). Z tego względu część prac musi być prowadzona w trakcie Konkursu Chopinowskiego, który odbywa się poza terenem Łazienek Królewskich". Naprawdę mamy wierzyć, że pięć tygodni zwłoki zakłóciłoby koncerty, które startują zazwyczaj w połowie maja?

Remont pomnika Chopina w trakcie konkursu jest zwykłą bezmyślnością.

Zapytany o to przez media prezydent miasta Rafał Trzaskowski stwierdził, że nie jest odpowiedzialny za Łazienki Królewskie, ale dobrze by było, żeby pomnik był jednak odsłonięty. Pytanie, czy od prezydenta jakiegokolwiek miasta, tym bardziej stolicy, nie powinno się wymagać pewnego sznytu „gospodarza domu", który dzięki swojej dojrzałości i przezorności umie tak ułożyć pewne sprawy, aby mieszkańcy i goście czuli się komfortowo. Lepsze to chyba od ojca, który w każdy weekend modernizuje na własną rękę mieszkanie. Metrów od tego nie przybywa, ale domownicy nigdy nie mają czasu, żeby wypocząć.

Chopina na szczęście odsłonięto.

Prezydent Trzaskowski odniósł się też do problemów związanych z remontami wokół Filharmonii Narodowej, stwierdzając, że prac przecież nie da się wstrzymać, ale na szczęście remont torów na Marszałkowskiej (również w sąsiedztwie filharmonii) zakończy się przed finałem konkursu. Można powiedzieć, że to idealnie. Akurat zagraniczni melomani wsiądą w tramwaj i odjadą w siną dal z pięknymi zdjęciami rozkopanej Warszawy i tajemniczej plandeki w parku łazienkowskim.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

LIST

Jaka przyszłość polskiej gospodarki?


Jaka przyszłość polskiej gospodarki?

Gratuluję dr. Andrzejowi Jakubowiczowi opublikowania tekstu „Jaka przyszłość polskiej gospodarki?", będącego obiektywną oceną stanu i procesów rozwojowych polskiej gospodarki od początku jej transformacji w latach 90. do czasów współczesnych.

Oceny i opinie autora są oparte na bogatych ilościowych materiałach źródłowych. Wskazuje on kluczowe problemy, zarówno w sferze realnej, jak i regulacyjnej. Podzielam pogląd, że w strukturach rządu od wielu lat nie ma osoby z wysokimi kwalifikacjami ekonomicznymi i doświadczeniem w polityce gospodarczej. Ostatnia rekonstrukcja rządu nie przyniosła korzystnych zmian. Powołano np. Ministerstwo Energii, a czołowe firmy energetyczne są nadzorowane przez Ministerstwo Aktywów Państwowych. Nadzór nad rozwojem odnawialnych źródeł energii (OZE), na które już przypada ponad 30% całkowitej produkcji energii elektrycznej, sprawuje Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Nadal brak realnego programu rozwoju energetyki, co wskazuje Unia Europejska.

„Rzeczpospolita" (3 października 2025 r.) przynosi interesujące informacje, że po raz pierwszy rząd koalicyjny przyznał, jak zła jest sytuacja finansów publicznych. Wymaga to podjęcia zdecydowanych działań, ze względu na groźbę kryzysu finansowego. Według danych rządowych dług instytucji rządowych i samorządowych może się zwiększyć z 2 bln zł (56,3% PKB) do 3,7 bln zł (75,3% PKB) w 2029 r. Koszty obsługi tylko długu skarbu państwa mogą się zwiększyć z 66,5 mld zł w 2024 r. do 130 mld zł w 2029 r. Andrzej Jakubowicz pisze także o tych problemach, proponując zmiany w polityce podatkowej oraz w wydatkach socjalnych, które powinny być powiązane z sytuacją finansową rodzin; rodziny zamożniejsze nie powinny otrzymywać dodatków socjalnych, np. 800+.

Artykuł stanowi swego rodzaju syntetyczny raport o stanie gospodarki. Wskazuje także kierunki zdecydowanych posunięć władz centralnych. Niestety, brak wsparcia prezydenta dla przedsięwzięć rządu, np. w regulacjach podatkowych, może stanowić barierę w poprawie gospodarki, w tym sytuacji finansowej państwa.

Czesław Skowronek

eprasa.pl 66f0f55e4a



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Czas na Nowe Oświecenie

Mam nieodparte wrażenie, że żyjemy w czasach wielkiego regresu. Dotyczy to wielu aspektów życia społecznego, szczególnie w obrębie cywilizacji zachodniej. Tu najjaskrawszym przykładem są Stany Zjednoczone, które przechodzą wprost niebywały proces zawracania z drogi wyznaczonej licznymi pozytywnymi zmianami społecznymi zapoczątkowanymi przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta, a wzmocnionymi przez ruch praw obywatelskich w latach 60. XX w., a także progresywną politykę prezydentów Eisenhowera, Kennedy'ego i Johnsona. Regres ów pokazuje dobitnie, jak naiwne jest przekonanie, że zmiany kulturowe są nieodwracalne.

Szczególnie wyraźnie widać to w stosunku do nauki. Jej kult, zapoczątkowany przez Oświecenie i trwający nieomal do dziś, z wyróżnionym okresem końca XIX w., kiedy to filozofowie scjentyści twierdzili, że wszystkie problemy ludzkości zostaną przez nią rozwiązane gdzieś do lat 30. XX w. i dalej nie będzie ona miała co robić, przyniósł wiele dobrego. Być może był on wyolbrzymiony, o czym pisałem w wielu tekstach naukowych. Ale przyznam, że nie spodziewałem się, iż dożyję epoki Nowego Obskurantyzmu, gdy oczywiste dokonania naukowe zostaną otwarcie zanegowane (szczepionki, teoria ewolucji czy osiągnięcia nauk społecznych, np. wykazanie, że nacjonalizm prowadzi nieuchronnie do nieszczęść, że kobiety i mężczyźni są sobie równi, że przyrost bogactwa od pewnego poziomu nie przekłada się na przyrost poczucia szczęścia i zadowolenia z życia). Że po doświadczeniach totalitaryzmów XX w., znakomicie opisanych przez politologów, w tym Zbigniewa Brzezińskiego, ochoczo powrócimy do idei silnej, wszechobecnej władzy, kontroli nad obywatelami i przekonania, że pluralizm polityczny nie jest nam do niczego potrzebny, a demokracja to ustrój zły. Że wrócimy do haniebnego rasizmu, którego widomym znakiem jest stosunek do imigrantów.

Więcej – mam dziwne przekonanie, że całym naszym życiem zaczyna rządzić dewiza: „Im głupiej, tym lepiej". Gdy patrzę na durne reklamy, słucham wypowiedzi niemądrych celebrytów czy obserwuję kult indolencji i samouwielbienia związany z wysypem tzw. influencerów, ale także gdy słucham wypowiedzi niektórych polityków (polskich i światowych), mam wrażenie, że żyję w epoce szczególnego zidiocenia ludzkości. Skądinąd nie mam wątpliwości, że wiąże się to z inwazją mediów społecznościowych.

Dosyć jednak narzekania, czas na Nowe Oświecenie. Trzeba zacząć walczyć o odwrócenie obecnych trendów, przede wszystkim przez tępienie wszelkiej głupoty, ta bowiem nieuchronnie prowadzi do zła, i ciągle przypominać sprawy oczywiste, wydawałoby się, a dziś negowane. Że postęp miał miejsce w dziejach i że jest wciąż możliwy, co dotyczy zarówno lepszego poznania przyrody, jak i lepszego urządzenia świata społecznego. A w tym ostatnim kontekście należy nieustannie przypominać, że równość jest lepsza niż nierówności, że wyzysk jest złem, że eksploatacja naszej planety prowadzi do katastrofy, jej zapobieżenie zaś jest związane z okiełznaniem niszczącej siły kapitalizmu. To ten ostatni nie tylko prowadzi do dewastacji Ziemi, ale także demoluje nasze życie osobiste i społeczne („kapitalizm demolka"). Że współpraca jest lepsza niż konkurencja, a empatia i wzajemna pomoc są zdecydowanie lepsze niż obojętność na los innych. Że to zwłaszcza miłość, a nie bezmyślne gromadzenie dóbr materialnych nadaje sens życiu. Że człowiek jest nie towarem, ale osobą ludzką mającą swoją godność i domagającą się szacunku bez względu na płeć, kolor skóry czy miejsce urodzenia.

Dlatego potrzebujemy Nowego Oświecenia, pozbawionego wad i naiwności klasycznego Oświecenia (tych wszak nie brakowało). Powrotu do uznania wiedzy naukowej za nie tylko efektywną w rozwiązywaniu naszych problemów, ale też wartościową moralnie. Oraz umiejętności snucia narracji na temat lepszego świata – rzecz to ostatnio całkowicie zarzucona, a przecież bez jakiejś nadziei na lepszy świat, bez opowieści, na czym mogłaby ona polegać, po prostu dryfujemy.

Uważam, że lewica społeczna powinna zdecydowanie przeciwstawić triumfującym opowieściom prawicy własne opowieści, nie bojąc się oskarżeń o uleganie ideom, które w dzisiejszym świecie wszechobecnego turbokapitalizmu uchodzą za heretyckie (socjalizm). Prawica sięga bezwstydnie do narracji, które już dawno pokazały swoją niszczycielską moc (nacjonalizm, autorytaryzm, antydemokratyzm), obojętna na oskarżenia, że budzi demony (co faktycznie czyni).

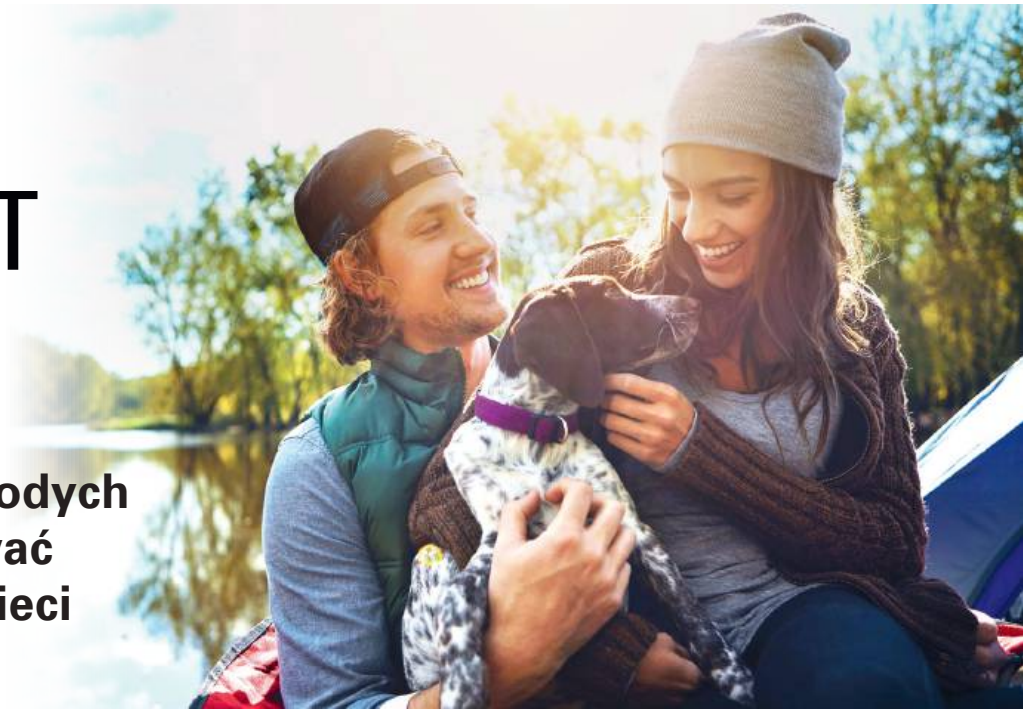
Skąd zatem taka wstrzemięźliwość po lewej stronie? Wszak lewicowe idee równości, braterstwa i sprawiedliwości społecznej nie straciły nic ze swojego uroku, mimo że czasami były fatalnie wprowadzane w życie. To, że dzisiaj wahadło wychyliło się w prawą stronę, nie znaczy, że tak będzie wiecznie.

Można jednak ten proces uzyskiwania równowagi przyśpieszyć, odważnie mówiąc nie tylko o grzechach prawicy, ale także o niespełnionych, a wciąż aktualnych obietnicach lewicy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66f0f55e4a

SMYCZ ZAMIAST WÓZKA



Coraz więcej młodych woli wychowywać zwierzęta niż dzieci

Weronika Mikusek

To nie kaprys, lecz przejaw bezsilności wobec rzeczywistości, w której rodzicielstwo staje się luksusem. Potrzeba opieki pozostała, zmienił się jedynie jej adresat.

W słoneczny weekend wybieram się na spacer na warszawskie Pole Mokotowskie i obserwuję pary przytulające się na ławkach oraz grupy znajomych piknikujące na trawie. W tym sielskim obrazku w oczy rzuca się jeden szczegół. Prawie nigdzie nie widać dzieci, a niemal przy każdej grupce siedzi przynajmniej jeden pies. To nowa moda czy symbol głębokiej zmiany społecznej?

Kaganiec ekonomiczny

Dla niektórych podstawowy problem to pieniądze, a raczej ich brak. – Jeszcze trzy lata temu myśleliśmy z partnerem o powiększeniu rodziny, ale rzeczywistość mocno zweryfikowała te plany – mówi mi 32-letnia Ania, specjalistka od marketingu z Warszawy. – Mieliśmy odłożone kilkadziesiąt tysięcy złotych, które dziś są już warte o wiele mniej. A wychowanie dziecka kosztuje coraz więcej. Pieluchy, ubranka, żłobki, zajęcia dodatkowe… ceny tego wszystkiego poszybowały w kosmos.

Ania, która z partnerem Tomkiem zdecydowała się na adopcję Kluska, kundelka ze schroniska, przyznaje, że jego utrzymanie też sporo ich kosztuje, ale jest to kompletnie inna skala inwestycji. – Jesteśmy szczęśliwi, że możemy dzielić życie z Kluskiem, choć naszym marzeniem wciąż jest dziecko – dodaje Tomek. – Najpierw musimy mieć gdzie mieszkać, a nasza zdolność kredytowa pozwala jedynie na zakup kawalerki z ratami rozłożonymi na 30 lat.

> Bezwarunkowa miłość psa staje się substytutem więzi rodzicielskiej.

Inwestycja w dzieci w dzisiejszej Polsce stała się dla wielu barierą nie do pokonania. Inflacja zmienia priorytety młodych ludzi, którzy niejednokrotnie rezygnują z planów rodzicielstwa na rzecz mniej kosztownego zajmowania się zwierzęciem.

– We wszystkich rozwiniętych gospodarkach już od dłuższego czasu rodzicielstwo staje się dobrem luksusowym – tłumaczy ekonomista Jan Oleszczuk-Zygmuntowski z Polskiej Sieci Ekonomii. Jako powód podaje fundamentalną zmianę roli najmłodszych w systemie ekonomicznym. – Okazało się, że dziecko nie tylko nie wspiera pracy, ale staje się wręcz znacznym kosztem, wymagającym inwestycji. Trzeba je posłać do szkoły, zapewnić start w dorosłość, a także inwestować w jego kompetencje i rozwój.

Potrzeba opieki

Wybór zwierzęcia domowego jest często jedną z niewielu dostępnych form realizacji potrzeby opieki, która nie zrujnuje domowego budżetu ani nie sprawi, że trzeba rezygnować z dotychczasowych kosztownych przyjemności, takich jak chociażby podróże. Według Jana Oleszczuka-Zygmuntowskiego skala problemu jest alarmująca. Efekt spadku dzietności może być z powodów makroekonomicznych tak duży, że społeczeństwo zmierzać będzie ku „kolektywnemu samobójstwu". I jest to przypadek Polski czy Korei Południowej.

W takiej pułapce tkwią tysiące młodych. To ludzie z dobrymi zawodami, ale bez pomocy z zewnątrz skazani na niepewność. Pies, który nie potrzebuje własnego pokoju, staje się w tych warunkach racjonalnym

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66f0f55e4a

i bezpiecznym wyborem. – Pokazuje to, że ludzie mają naturalną potrzebę opiekowania się. W zdrowym społeczeństwie potrzeba ta realizuje się poprzez reprodukcję, wychowywanie dzieci i troskę o starsze pokolenia. Nie jest to ani kwestia konserwatywna, ani liberalna, ale naturalny element funkcjonowania człowieka – mówi ekspert. Tyle że w systemie, w którym żyjemy, ta kolej rzeczy została zaburzona. – Warunki ekonomiczne, które dominują na Zachodzie, we wszystkich właściwie gospodarkach kapitalistycznych i przemysłowych nie sprzyjają temu zdrowemu modelowi ani kontynuacji naszej cywilizacji – wskazuje ekonomista.

Taka sytuacja prowadzi do swoistej sublimacji. Ludzie znajdują nowy obiekt troski, który jest wygodniejszy, tzw. psiecko. Jego bezwarunkowa miłość staje się substytutem więzi rodzicielskiej. – To właśnie zaspokaja fundamentalną ludzką potrzebę: dziecko kocha bezwarunkowo i daje rodzicowi poczucie, że jest wartościowy, ponieważ się nim opiekuje. „Psiecko" w pewnym stopniu spełnia to samo zadanie – wyjaśnia Jan Oleszczuk-Zygmuntowski.

Różnica tkwi w skali wyzwań i poziomie lęku o przyszłość. – Zwierzę „na szczęście" nie wymaga 20 lat opieki, nie przechodzi kolejnych etapów edukacji ani nie generuje problemów dorastania. Nie zacznie pić, nie sprowadzi partnera czy partnerki do domu, nie rozbije samochodu i nie stanie się źródłem innych podobnych trosk. Nie trzeba też kupować mu mieszkania na rynku nieruchomości zdewastowanym przez spekulację. „Psiecko" jest w tym sensie niezwykle wygodne – podsumowuje Oleszczuk-Zygmuntowski.

Rynek psiecka

Ta zmiana społeczna ma potężne odbicie w gospodarce. Czy można powiedzieć, że pieniądze, które kiedyś byłyby przeznaczone na wyprawkę dla dziecka, dziś napędzają rynek zoologiczny? Z najnowszych badań prowadzonych przez Związek Przedsiębiorstw Finansowych w Polsce oraz Instytut Rozwoju Gospodarczego SGH wynika, że ponad sześciu na dziesięciu Polaków ma zwierzę domowe. Wiąże się to z regularnymi wydatkami, np. na wysokiej jakości karmę lub regularne wizyty u lekarza weterynarii. Co dziesiąte gospodarstwo domowe przeznacza na ten cel od 300 do 500 zł miesięcznie. Jak pokazują dane platformy YouGov, rynek produktów dla psów i kotów rośnie w błyskawicznym tempie. W 2024 r. jego wartość przekroczyła 4,9 mld zł. To o 10% więcej niż w poprzednim roku. Nie chodzi już zatem o drobne kwoty. Rynek dóbr i usług dla zwierząt nie jest niszą, ale pełnoprawną gałęzią gospodarki.

Rynek produktów dla psów i kotów rośnie. W 2024 r. jego wartość przekroczyła 4,9 mld zł.

Napędzają ją m.in. 30-letni Maciej i jego dziewczyna, którzy od dwóch lat są właścicielami – choć sami wolą określenie „rodzicami" – suczki rasy border collie. – Fifi jest naszym oczkiem w głowie. Traktujemy ją jak członka rodziny, nie zwierzę.

Poza comiesięcznymi badaniami w klinice weterynaryjnej (wykupiony abonament) Fifi uczęszcza do behawiorysty – godzinna wizyta to koszt nawet 240 zł – oraz na zajęcia z *nosework* (sport kynologiczny bazujący na wyszukiwaniu zapachów – przyp. red.) i *agility* (sport polegający na pokonywaniu przeszkód – przyp. red.), co kosztuje ok. 100 zł za trening. Do jedzenia dostaje specjalną hipoalergiczną karmę. – To już nie są czasy, kiedy akceptowane było, żeby psu dać kawałek kiełbasy i przywiązać łańcuchem do budy. Cieszy nas, że kolejne pokolenia są coraz bardziej świadome tego, że wychowanie psa i dbanie o jego potrzeby to odpowiedzialność każdego właściciela – mówi mi Maciej.

Historia Macieja ilustruje szersze zjawisko. Hotele z monitoringiem, wizyty u groomera czy psiego fizjoterapeuty to usługi, które, mimo że wciąż traktowane jak luksus, stają się coraz powszechniejsze. Pytanie, czy wybór smyczy zamiast wózka to decyzja podyktowana wygodą, czy raczej akt desperackiego racjonalizmu wobec bezlitosnej gospodarki.

Spadek dzietności jest zjawiskiem globalnym, nierozerwalnie związanym z rozwojem gospodarczym. Według eksperta z Polskiej Sieci Ekonomii „wszędzie tam, gdzie doszło do przejścia demograficznego i zmiany gospodarczej, dzietność uległa obniżeniu – choć na różnych poziomach. Obserwujemy to obecnie w każdej gospodarce". Demograficzna eksplozja w krajach rozwijających się przechodzi do historii. Potwierdza to ekonomista: – Jeśli ktoś sądzi, że w Indiach nadal jest wysoki przyrost naturalny, jest w błędzie. Tam współczynnik *total fertility rate* również gwałtownie spada. W Chinach dodatkowo zaostrzyła go polityka jednego dziecka. W krajach globalnego Południa, w Azji i Afryce także widzimy, że wraz z odejściem od rolnictwa i tradycyjnych struktur gospodarczych pojawiają się te same czynniki makroekonomiczne.

Między troską a nadopiekuńczością

O współczesne relacje między ludźmi a ich pupilami zapytałam Barbarę Sikorską, behawiorystkę i trenerkę psów prowadzącą szkołę Wspaniały Pies. Jej zdaniem więzi przypominające relacje rodziców z dziećmi niekoniecznie są czymś złym. – Pozytywny skutek jest taki, że opiekunowie coraz bardziej dbają o zwierzaki. To już nie jest fanaberia, by założyć kurtkę w mroźny czy deszczowy dzień, regularnie zabierać psa na badania kontrolne i zapewniać mu wartościową dietę. Także w sposobie wychowania jest to na plus.

Jak przyznaje Barbara Sikorska, nadzieje opiekunów wobec zwierząt wciąż bywają nierealistyczne. Na pytanie, czy oczekują oni bezwarunkowej miłości i akceptacji, zapominając, że pies to żywe stworzenie z własnymi potrzebami i instynktami, a nie „emocjonalna przytulanka", behawiorystka odpowiada: – Tak, ale już nie tak często jak kiedyś. Świadomość psich potrzeb i znajomość

eprasa.pl 66f0f55e4a

psiej komunikacji zdecydowanie się zwiększyły w ostatnich latach. Na szczęście nie trafiają już do mnie psy, które zostały wzięte jako lek na depresję, a o dziwo stały się oliwą dolewaną do ognia. Jednak nawet nowocześni opiekunowie mają często problem z faktem, że ich pies nie chce się zachowywać tak, jak oni chcą, bez innych motywatorów niż ta bezwarunkowa miłość.

człowiek się odsunął, bywa mylone z odwzajemnieniem miłości. To zupełnie inny mechanizm niż u dziecka – wyjaśnia Barbara Sikorska.

Jak zachować zdrową równowagę między troską a nadopiekuńczością? – Bardzo chciałabym, żeby istniała uniwersalna odpowiedź na to pytanie, jednak to my sami musimy zdecydować, gdzie się kończy troska i odpowiedzialne podejście do psa, a zaczyna nadopiekuńczość. Myślę, że pomocna jest ocena, czy nasze działania w imię „troski" nie zaczynają za bardzo ograniczać psa.

Ludzie boją się życia i ryzyka. Wszystko musi być policzone. Tak jakby dziecko było jakimś projektem finansowym.

Wrażliwe i oparte na zrozumieniu podejście do zachowania psa to – tak samo jak w przypadku dziecka – ogromny skok naprzód. Dostrzeganie, że zarówno dzieci, jak i psy wymagają wsparcia zamiast kar i że nie są dorosłymi ludźmi, lecz istotami potrzebującymi opieki, prowadzenia ich po świecie dorosłych, ma kluczowe znaczenie. Niestety, opiekunowie, traktując pupila jak dziecko, czasem zapominają, że pies nie jest człowiekiem. – Ma swoje gatunkowe potrzeby i swoje sposoby komunikacji, np. lizanie, które często jest prośbą o dystans, aby przytulający go

Różnice pokoleniowe

Maciej, Ania i Tomek to generacja młodych. A jak podejście do rodzenia dzieci wyglądało u starszych pokoleń?

Przy sobotnim obiedzie rozmawiam z moją 65-letnią ciocią o zmianach w rodzicielstwie zachodzących przez ostatnie 40 lat. Ciocia wspomina czasy, gdy decyzja o dziecku nie była poprzedzona analizą wydatków i pytaniem, czy to dobry moment. – Kiedyś najpierw się rodziło dzieci, a dopiero potem myślało, co dalej – mówi z uśmiechem, który kryje nostalgię. – Rodzina była po prostu naturalną częścią życia, czymś oczywistym. Wszyscy mieszkaliśmy w kilka osób w małych mieszkaniach. Ale nikomu nie przyszło do głowy, że skoro nie ma miejsca, to nie powinno się mieć dzieci. Jakoś się żyło. Zawsze się znalazło łóżeczko, kołderka, jedzenie i miłość. To wystarczało.

Słuchając cioci, mam wrażenie, że opowiada o zupełnie innym świecie – w którym przyszłość była nie projektem, ale procesem. Dzieci rodziły się nie „w planie", lecz „po prostu". Ktoś dorzucał mebel, a ktoś inny oddawał ubranka po swoich dzieciach. – Nie było luksusów, ale była wspólnota – podkreśla ciocia. – Teraz każdy ma osobne mieszkanie, osobne konto i wszystko musi być idealnie dopasowane, zanim podejmie się decyzję o rodzicielstwie.

W jej tonie nie ma jednak osądu. Raczej pewne zdziwienie nad kierunkiem, w którym poszliśmy. Ciocia rozumie, że dziś jest inaczej, bo ceny mieszkań i opieki w żłobku nie pozwalają na taką beztroskę, kobiety chcą najpierw osiągnąć stabilność i niezależność. – Szkoda tylko, że to wszystko sprawia, że ludzie tak się boją. Boją się życia, boją się ryzyka. Teraz wszystko musi być policzone, przewidziane. Tak jakby dziecko było jakimś projektem finansowym, a nie człowiekiem.

Myślę, że jej słowa to nie tylko wspomnienie minionych czasów, ale też ważny komentarz do współczesności. Może rzeczywiście coś w nas się zmieniło. Mniej ufamy światu i bardziej polegamy na planach i tabelach. A może to wynik tego, że bezpieczeństwo ekonomiczne stało się luksusem.

Na koniec rozmowy pytam, czy gdyby w tamtych latach miała dzisiejsze problemy, takie jak ceny najmu i niepewność zatrudnienia, też zdecydowałaby się na dziecko. Odpowiada: – Pewnie tak. Bo nigdy nie ma dobrego momentu.

Weronika Mikusek

LIST

35 lat religii w szkole

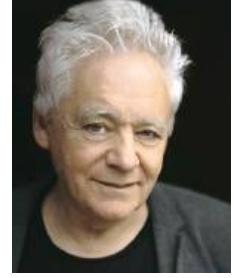


Istotnym czynnikiem obecnej laicyzacji jest zapewne i to, że Polacy tak naprawdę nie są religijni w sensie potrzeb duchowych. Polaków ku katolicyzmowi popychały bowiem zawsze czynniki zewnętrzne: sarmatyzm za I RP, gdy katolicyzm był elementem ideologii pozwalającej Polakom poczuć się „narodem wybranym"; zabory, gdy katolicyzm uczyniony został elementem polskiej tożsamości narodowej, zresztą poza wolą hierarchii kościelnej i poniekąd wbrew niej; czasy „realnego socjalizmu", gdy Kościół katolicki jako jedyna organizacja społeczna niekontrolowana przez władzę stał się patronem i opiekunem opozycji oraz symbolem oporu. Pewną rolę odegrała też duma z wyboru Polaka na papieża. Tym samym kościoły zapełniały masy ludzi „praktykujących, ale niewierzących". To jednak się skończyło i nie wróci, a wiary, głębszej duchowości nigdy pod tym nie było.

Teraz aktywność religijna podlega tym samym regułom, jakim podlega każda aktywność społeczna: skoro nie przynosi korzyści ani nie zaspokaja potrzeb, to się z niej rezygnuje. Tu nawet nie chodzi o niechęć czy nienawiść do Kościoła katolickiego – ludzi młodych on coraz częściej w ogóle nie interesuje. Presja obyczajowa (chrzest, komunia, ślub, pogrzeb) zanika wraz z odchodzeniem starszego pokolenia, które przywiązywało do tego wagę, a strach przed nieznanym po śmierci też zmalał niemal do zera. Nawiasem mówiąc, dzisiejsza laicyzacja nie jest pierwszą w naszych dziejach. Analogiczna była przed wojną, gdy Polska odzyskała niepodległość i nagle skończył się popychający Polaków ku katolicyzmowi czynnik zaborów.

Krzysztof Guderski

eprasa.pl 66f0f55e4a



Oko w oko Tomasz Jastrun

Kosy na sztorc

Zmarł Mirek Chojecki, jeden z twórców drugiego obiegu. Mój bliski kolega, gdy konspiracyjnie pracowałem dla Nowej, którą Mirek stworzył. W moim mieszkaniu magazynowano książki, jeździłem samochodem, zaopatrując magazyny w bibułę. Omijając cenzurę i kontrolę państwa, powielaliśmy prawdę, a w świecie kłamstwa prawda ma wielką moc. Młodzi dzisiaj nie wiedzą, czym była kontrola słowa i myśli. Nawet zaproszenia ślubne i nekrologi kontrolował Wielki Urząd. Liczne książki były na indeksie, np. Miłosza czy „Rok 1984" Orwella.

Mirek mówił cicho, ważąc słowa. Ale miał niewyczerpaną ilość energii, pomysłów i wielkie zasługi w krzewieniu wolnego słowa. Od stanu wojennego przebywał w Paryżu, gdzie prowadził już zdalnie działalność. Inna sprawa, że za bardzo nie znał się na literaturze, na ogół jednak słuchał się tych, którzy się znali.

A ja nie potrafię wybaczyć Mirkowi, że stał się pisowcem i wszedł do Komitetu Poparcia Karola Nawrockiego. To jednak hańba. Hańbą też jest, że zawędrował tam mój kolega Włodzimierz Bolecki, profesor polonista. A romans z PiS Antoniego Libery? Nie rozumiem, po prostu nie rozumiem. Bolecki jest specjalistą od Herlinga-Grudzińskiego. Pisarza poznałem w Maisons-Laffitte, był admiratorem moich tekstów w paryskiej „Kulturze", pisał tam swój „Dziennik pisany nocą", a ja swój „Dziennik zewnętrzny". Herling potem poróżnił się z Giedroyciem (a przecież mieszkał z nim latami w Maisons-Laffitte), gdyż zaczął dryfować w prawą stronę, co Redaktora doprowadzało do szewskiej pasji. Giedroyc nie znosił polskiej prawicy i endecji, nieraz z nim o tym rozmawiałem. Uważał, podobnie jak jego patron Piłsudski, że to jest rak, który toczy Polaków.

Nie powinienem jednak za bardzo się dziwić zdumiewającym wyborom mądrych ludzi. W końcu napisałem obszerną książkę o stalinizmie „Dom pisarzy w czasach zarazy". To był oczywiście inny czas, ale niezwykłe, że niemal wszyscy wybitni artyści i intelektualiści uwierzyli w geniusz i dobroć Stalina, największego obok Hitlera zbrodniarza XX w. Czemu Chojecki, Bolecki i Libera nie mieli uwierzyć w Nawrockiego i w prezesa?

Wracając do drugiego obiegu, jego skala, liczba książek i pism tajnie wydawanych, podziemne drukarnie – to było niezwykłe zjawisko w skali świata. Pamiętam to wspaniałe uczucie, że z miesiąca na miesiąc stajemy się coraz silniejsi i liczniejsi. A książki wchodzą w polski krwiobieg. Wydano tysiące pozycji, druk był z reguły mały, aby oszczędzać papier, słabo czytelny, niełatwo dawało się to czytać, ale kupowano te książki i pisma i czytano. Udało nam się teraz to wszystko unieważnić, tak samo załatwiliśmy na amen Solidarność.

•

Dla Hołowni polityka miała być sceną – jak sam mówił, „polem do szerzenia dobra". Ostatnio odkrył i zwierzył się, że to szambo, więc on z szamba odchodzi i rozgląda się za dobrą posadą. Polska 2050 to masa upadłościowa, ale Hołownia chce tym handlować i pieścić swoją próżność, więc szantażuje koalicję. Zawsze miałem rezerwę wobec ostentacyjnie dobrych ludzi, jeśli dobroć błyszczy im z czoła, podświetlając aureolę. Proszę, jaką narcystyczną osobowością okazała się mała klimatyczna Szwedka Greta Thunberg.

•

Mój młodszy synek kończy 15 lat, a pamiętam, jak nożyczkami przecinałem pępowinę, to było niemal wczoraj. Wcześniej ledwie zdążyliśmy do szpitala, tak śpieszył się na świat. Pewnie dlatego ma tyle pomysłów na życie.

Mądry, dzielny człowiek – chwalił prezes Bąkiewicza – nadaje się na wzorzec polskiego patriotyzmu.

Ładny chłopak, który teraz rzeźbi swoje ciało w siłowniach. Ma skłonność do przesady, więc tu też trochę przesadza.

•

Ogromnie mnie cieszy, że na wiecu w Warszawie prezes osobiście i serdecznie udziela głosu Robertowi Bąkiewiczowi. Mądry, dzielny człowiek – chwalił prezes – nadaje się na wzorzec polskiego patriotyzmu. Pojawił się więc dzielny Bąkiewicz na scenie wraz z członkami samozwańczego Ruchu Obrony Granic, którzy trzymali papierowe kosy i potrząsali nimi okropnie groźnie. Chrypiał: „Kosy na sztorc, kosy na sztorc! (…) Nie bójcie się prokuratur, sądów. Ci ludzie zapłacą za to cenę i ta droga na Grunwald musi być taka, że sprawiedliwość musi zapaść, że te chwasty trzeba z polskiej ziemi powyrywać i napalm na tę ziemię rzucać, żeby nigdy nie odrosły". Wył jak oszalały, pluł, miotał się, strasznie podniecony z tą swoją gębą troglodyty. Byłby podobny do Goebbelsa, ale Goebbels był bardziej sprawny i profesjonalny i nie miał aż takiej gęby, przy Bąkiewiczu wyglądał jak inteligent. Znakomicie, prezesie, hoduj tego potwora i polski faszyzmik, by nikt nie miał wątpliwości, czym jesteście. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 66f0f55e4a

ŻARTY SIĘ NIE SKOŃCZYŁY

W Polsce mamy problem z dystansem, żartem z samych siebie, głębszą analizą tego, co się widzi i słyszy



Od lewej: Olaf Deriglasoff, Tymon Tymański, Alan Kapołka i Szymon Burnos.

OLAF DERIGLASOFF I RYSZARD „TYMON" TYMAŃSKI

– liderzy reaktywowanego zespołu Kury

Rozmawia Wojciech Kuczok

Drogie kolegium patamuzyczne, musimy się skupić, chociaż wszyscy mamy ADHD. Czy ktokolwiek wpadł na to, że najnowsza płyta nazywa się „Antypolovirus"? „Uno Lovis Party" to anagram po prostu?

Ryszard „Tymon" Tymański: – Oczywiście tylko ty na to wpadłeś. Panie Wojtku, wygrał pan milion. Nieszczęśni fani nie mają pojęcia, czasu ani mocy przerobowych, żeby wpaść na to, że wszystko coś znaczy.

Ale ta płyta najpierw miała się nazwać „Fioletowy Album".

Olaf Deriglasoff: – Rychu będzie zawsze robił odwołania do Beatlesów, a im więcej odwołań do nich robimy, tym bardziej ludzie patrzą przez pryzmat Wielkiej Czwórki, a powinni jednak zainteresować się Drobiem przez duże D. Mimo że obaj jesteśmy maniakami Bitli, nie ma co wszystkim dawać do ręki argumentu, że to epigońskie.

Ten ukryty tytuł jest bałamutny, bo to wcale nie jest „Antypolovirus". To jest muzycznie i tekstowo bardzo zakorzenione w kultowej płycie, którą zrobiliście przed prawie 30 laty.

OD: – To nie jest „Antypolovirus" ani „Propolovirus", ale coś pomiędzy. Mnie bardzo się podoba to, że Tymański używa takich kodów, bo mówienie ludziom wprost jest mało artystyczne. Nie fałduje ich kory mózgowej. Natomiast gdy dajemy im rebus, mają wybór, mogą pokombinować.

RTT: – Wpierw myślałem o reaktywacji Miłości, ale tym razem powrotu nie chciał Lechu Możdżer. Natomiast znikąd pojawił się pomysł powrotu

eprasa.pl 66f0f55e4a

Kur. Nasz wydawca zdecydował się na wydanie winylowej reedycji albumu „P.O.L.O.V.I.R.U.S.” i sprzedał parę tysięcy nowego nakładu. Zaraz potem Arek Stolarski z Inside Seaside zaprosił nas na festiwal i dał fundusze na dokument o zespole. Tak powstał film „Najgłupsza płyta świata” Knery i Kulczyńskiego, w związku z czym dostaliśmy szwungu na bramkę. Po paru tygodniach grania okazało się, że jest nawet publika, ale tamte tłumy przywiodła głównie nostalgia. Chcieli słuchać „P.O.L.O.V.I.R.U.S.”, a może magicznego eliksiru powrotu do czasów młodości.

OD: – To płyta, która przerosła Kury. Dziwny kazus „zespołu jednego albumu”.

Powiedzcie coś o początkach.

RTT: – Ja i Olaf chcieliśmy mieć kapelę, od kiedy byliśmy gówniarzami. Kiedyś to była idea punkowa, potem, w latach 90., zaprosiłem kumpla do kapeli Trupy, ale Olaf działał z Apteką, potem zaczął romansować z Maleńczukiem i Kazikiem. I wtedy zaprosiłem go do projektu, który niespodziewanie stał się kurzym opus magnum. Olaf dołożył swoją wiedzę, poczucie humoru, zmysł absurdu. Wystrzeliliśmy z naszą rakietą w nadprzestrzeń. Wyszła płyta, zaczęła się mozolna tyrka koncertowa, przyszedł spory sukces. Potem nastąpiły czasy ciemne, smętne, mizerne. Zabił się Jacek Olter, genialny perkusista. Nagle zabrakło tego trzeciego między mną i Piotrem Pawlakiem, naszym gitarzystą. Minęło 20 lat i okazało się, że po drodze zgubiłem kongenialnego partnera w osobie Olafa. Że to nasza współpraca była magiczną formułą powstania tamtej pięknej bzdury. I wszystko stało się łatwe. Przez tę lekką piosenkowość, to chłopięce współpisanie.

OD: – Być może właśnie przez ten dziwny dom, w którym wyrosłem jako samotne dziecko, stawiam na przyjaźń. Zawsze szukam partnera, kogoś, w czyich oczach mogę się przejrzeć. Jednocześnie muszę mieć do tego kogoś zaufanie. I takim, choć niełatwym obiektem był dla mnie Tymon. Ten nowy Tymon pojawił się właściwie pod koniec mojego życia zawodowego, bo mam 62 lata, zostało mniej niż więcej. Mam nadzieję, że nie będę do osiemdziesiątki musiał tułać się po zaplutych dziurach, spać w podłych hotelach i nosić sprzęt po koncercie.

RTT: – Będziesz, kuźwa, będziesz…

OD: – Mam nadzieję, że nie, że będę jeździł w złotej karocy. Natomiast postanowiłem nie przegapić tej okazji, że mogę wejść do zespołu na zasadach współszefowania. Nie muszę być królem na pierwszej stronie „Jazz Forum”, ale też mam dużo do powiedzenia i zrealizowania. Nie tylko jeżeli chodzi o twórczość, ale i o produkcję, grafikę itd. Natomiast szukam partnera przez całe życie. Nigdy go nie znalazłem, bo nie okazał się nim ani Kazik, ani Maleńczuk, ani Kodym. Zawsze byli to jacyś swego rodzaju przywódcy kultu, którzy potrafili się podpisywać pod moimi kompozycjami i tekstami. To było niewygodne. I nagle życie daje mi prezent w postaci Tymańskiego, z którym znowu zwieramy szyki…

Tymański rzadko się otwiera na innych twórców. Zawsze musi być najważniejszym lwem w klatce, reszta chowa się po kątach.

RTT: – …i luzujemy zwieracze.

OD: – I się okazuje, że między nami jest sporo muzyki. Otworzył się na mnie, co jest dość dziwne, bo Tymański rzadko się otwiera na innych twórców. Zawsze musi być najważniejszym lwem w klatce, reszta chowa się po kątach. A tu wpuszcza mnie i mówi: współrządź ze mną, współkomponuj, piszmy razem teksty, aranżujmy, bawmy się tą chwilą. Kury są pretekstem. Dla mnie mogłoby się to nazywać Szmaty czy cokolwiek.

Kury to genialna nazwa. Mieszkam w górach, często chodzę po wioskach, co chwila są jakieś ogłoszenia o nioskach na sprzedaż. Ilekroć widzę karteczkę z napisem „Kury”, mam alarm: „Reaktywowali się! Może będą grać koncert w pobliżu!”.

RTT: – Chcę powiedzieć jeszcze jedną rzecz, która może spalić nam wywiad. Nie jesteśmy tylko songwriterami absurdystami, patafizykami późnego sortu, ale obaj jesteśmy buddystami i taoistami. Często medytujemy razem. To cholernie cenne, gdy wiemy, że życie się nam trochę kończy.

Wróciliście do koncertowania przed rokiem. Dlaczego Pawlak i Prościński po trasie „polovirusowej” nie chcieli trwałej reaktywacji zespołu?

RTT: – Byliśmy zaskoczeni, ale trudno, życie. Pojąłem, że mają coś ważniejszego. Eksperyment, free improv, granie z odkurzaczem czy traktorem. Szanujemy to. Zostaliśmy ja, Olaf, Szymon i Mazzol, napisaliśmy ze 25 numerów, które brzmiały trochę jak zarzewie „Białego albumu”, od Sasa do Lasa. Zaczęliśmy nad tym pracować, dzielić się pomysłami.

OD: – W moim przekonaniu ta koncertowa reaktywacja Kur była dla reszty rodzajem grupy rekonstrukcji historycznej. Graliśmy tylko stare numery i formuła szybko się wyczerpała. Oni, widząc frekwencyjną tendencję spadkową, w naturalny sposób przeszli do następnych działań. A nam z Rychem spodobała się ta walka. Zajaraliśmy się, że publiczność jest nami zainteresowana, ale i my sobą też.

RTT: – Rypło się, zrobiło się smutno, ale mieliśmy siebie, Szymka i Mazzolla. Szukaliśmy perkusisty z techniką, energią i inwencją. Znienacka pojawił się wśród nas genialny element śląski – Alan Kapołka, syn Grzegorza Kapołki z Young Power. Enfant terrible, totalny zwierz, ale też inteligent, jazzowy magister i wrażliwiec.

Uściślijmy, kto się pojawia na płycie oprócz waszego kwartetu, np. w wokalizie w „Memento amoris”.

OD: – To nasze dzieci! Wysłałem dzieciakom prawie gotowe piosenki i moja córka mówi: „Tata, tu brakuje damskiego wokalu”. Ja na to: „Nagraj, jeśli tak uważasz”. Mia wzięła plastikowy mikrofon do podcastów i nagrała niewinną wokalizę. Słucham i myślę: „Świetne, na tyle świetne, tego że się nie boję puścić chłopakom”.

eprasa.pl 66f0f55e4a

Szymonowi bardzo się spodobało, użył tego prawie jeden do jeden w swojej balladzie.

RTT: – To świetne nuty, które Mia zaśpiewała bez wysiłku. Brzmią jak zapisane, jakby jej to napisał Ennio Morricone.

Pojawia się też rapujący syn Tymona, Kosma.

RTT: – Kosma wydał bardzo fajną płytę z zespołem Transcendence. Od dziecka jest wychowany na Zappie, Beatlesach, Bowiem, ale też na Kendricku Lamarze, Kanye Weście czy Flying Lotus. Ma bardzo dobry flow, a przy okazji jara się rzemiosłem filmowym, scenopisaniem, kręceniem, montażem. Bardzo mu kibicuję.

Na „P.O.L.O.V.I.R.U.S." są numery w totalnie odmiennej stylistyce. Natomiast na nowej płycie zdarzają się wolty muzyczne w obrębie pojedynczej piosenki. Zapytam o wasze mniej oczywiste inspiracje muzyczne, bo np. w „Babilonie" słyszę chórek ze Skaldów.

OD: – Czemu nie, choć niekoniecznie słyszymy ich w tym numerze. Może bardziej w „Memento amoris" Szymka? Niemniej przyjmujemy to jako spory komplement.

RTT: – Ta charakterystyczna i podziwiana przez nas postmoderna pojawiła się na „Białym albumie" Beatlesów, ale też na „We're Only in It for the Money" Zappy. To rodzaj panoramicznej obserwacji świata w kontekście polityczno-społeczno-kulturowym. Tekstowo i muzycznie mamy tu brikolaż, fragmentację, pastisz, parodię, ironiczność, refleksyjność, przesadę. Te dwie płyty totalnie uformowały moją wrażliwość i miłość do żonglerki gatunkami. Jeśli chodzi o polskie wpływy, warto przypomnieć Kabaret Starszych Panów, Skaldów, Młynarskiego, Janerkę. Dużo tych markowych sowizdrzałów nie ma.

OD: – Jesteśmy ludźmi, którzy żywią się tym, co morze wyrzuci na brzeg. Nie zawsze jest to świadomy wybór, bardziej resztkowe danie pokroju bigosu czy bajadery. Nie mam ulubionego stylu muzycznego i zawsze było mi niewygodnie, że ktoś mnie klasyfikuje w jakimś gatunku. Byłem szczęśliwszy, jeżeli ktoś mówił: „Ale ty jesteś eklektyczny".



Zamknięcie się w jednym okopie jest dla mnie śmieszne. W imię czego? Bo jestem metaluchem, bo jestem punkowcem?

RTT: – Gatunki są dla młodzieży albo dla dziennikarzy, to jest taka pożywka mainstreamu i popkultury. Style, gatunki, kategorie, pudełeczka. Chcemy być inżynierami nowej kultury. Strasznie się nudzę na gatunkowych koncertach. Idę na Vadera, słucham trzech numerów, wychodzę. Idę na Radiohead, sześć ballad i rzygam. To fajne kapele, ale męczy mnie ta przewidywalność.

OD: – Mnie też sformatował „Biały album". Miałem wtedy jakieś 13 lat i zostałem u ciotki, której mąż pływał w dalekie rejsy i przywoził mnóstwo pirackich kaset. Były kolorowo wydane, poligrafia na wysokim poziomie, ale sama muzyka totalnie od Sasa do Lasa. Nie wiedząc, czego słucham, puściłem sobie ten dwupłytowy album z kasety. Nagle pojawia się „Revolution 9" i masz zagwozdkę, co jest grane. Dla 13-latka z Przymorza, dziecka z kluczem na szyi, szok. Ktoś mi otworzył zupełnie inne drzwi. Wracając do „Uno Lovis Party", mieliśmy pewną robotę do zrobienia jako zespół – musieliśmy zabić świętą krowę w postaci „P.O.L.O.V.I.R.U.S." albo przynajmniej ukryć ją w stogu siana. Rozumieliśmy, że nie da się zdjąć z nas tej klątwy inaczej, niż tworząc nowe rzeczy.

Siłą waszych dokonań jest absurd i ironia. Natomiast dla dzisiejszych 20-, 30-latków ironia już sama w sobie jest kategorią nieinkluzywną, bo zakłada jakieś kompetencje do rozpoznania tego, gdzie jest wkrętka. Jak się czujecie jako ludzie, którzy uprawiają wyrafinowaną sztukę persyflażu w czasach, kiedy „Żarty się skończyły"? Tak ponuro rozpoczyna się utwór „Uno Lovis Party".

OD: – W Polsce rzeczywiście mamy problem z dystansem, żartem z samych siebie, refleksją, głębszą analizą tego, co się widzi i słyszy. Nawet nie mówię o twórczości, ale o tym, co się czyta w wiadomościach. Dzięki powrotowi naszego kurzego metakabaretu mamy cudowną możliwość spojrzenia w twarze ludzi, którzy przychodzą na koncerty. Pojawia się sporo młodych z błyskiem zrozumienia w oku, co nas cieszy. Wiadomo, że mogłoby być ich więcej, ale reprezentujemy sztukę dość wyrafinowaną. Dbamy o naszą starą publiczność, ale też pracujemy na nową. Nie spoczniemy, dopóki nie padniemy. To, co piszę, to swego rodzaju list w butelce. Nie wiem, dokąd popłynie, czy ktoś to przeczyta, zrozumie, czy nie. Ale jest w nas nadzieja, że to wszystko ma głębszy sens.

RTT: – Dowiedziałem się od kolegów, że stępiło mi się poczucie humoru, że kiedyś byłem absurdalny, lekki, lotny, miałem mniejszy brzuch. Przez te lata dość samotnego życia w państwie, które się zrobiło ultraprawicowe, autorytarne, wstydliwie niefajne, zacząłem walczyć z idiotami, z naziolami, z cieniami politycznymi, co, jak wiadomo, szkodzi zdrowiu, piękności i psychice. Kumple zasugerowali, żebym pomedytował nad tym, co lekkie i sowizdrzalskie, żebym ponownie wzniósł się na wyższe

FOT. KAROLINA JANICKA (2)

eprasa.pl 66f0f55e4a

wyżyny... A ja, jako polski montypythonowiec i boratysta, jestem rozdarty między wrażliwością Bralczyka i Mai Staśko, między źle i niedobrze. Każdy żart i ruch jest fa-pu, mówiąc żartobliwie. I teraz pytanie, jak to inteligentnie obejść. Zatem, dopóki można, powołujemy się na Rabelais'go, Swifta, Carrolla, Jarry'ego, na Beatlesów, Lenny'ego Bruce'a i Kurta Vonneguta. To walka o coś więcej niż humor i dystans, to walka o wolność wypowiedzi i luzu w d…

OD: – Cieszę się, że nie zawarliśmy na płycie zbyt wiele polityki czy publicystyki. Jest tam coś ogólnie o Babilonie, ale nie ma o PiS itd. Dla mnie to jedna śmierdząca banda.

Na płycie nie ma publicystyki, ale wystarczy jedno zdanie z „Wiosennego szału": „Przez chwilę da się lubić ten nieudany kraj". Oj, panowie, nie kochacie naszej ojczyzny Miodkiem i Mleczką płynącej. Ja też nie, ale czasami lubię. A gdybyście mieli wymienić po dwie rzeczy, za które ten kraj czasem da się lubić?

OD: – Wyjechałem z kraju, czy raczej sp… na Zachód, ale wróciłem. Dlatego, że jestem stąd, ja ten kraj rozumiem, a jego nieudacza jest też moją nieudaczą. Jestem kwiatem albo kaktusem z tego właśnie ogrodu, niepotrzebne skreślić, rozumiem tych ludzi. I chcę ich przytulać, nawet jeżeli widzę w ich oczach bezdenną tępotę, to przynajmniej ją rozumiem, a tępoty Niemca nie zrozumiem nigdy. Mogę powiedzieć, że Polskę lubię za Kaszuby. Już nie mówiąc o Pojezierzu Drawskim, którego nikt nie zna. Polska jest piękna, jak się na nią spojrzy z odpowiedniej perspektywy.

RTT: – PiS mi za… resztki patriotyzmu, dziś uważam się już tylko za kosmitę, który z jakiegoś przemijającego powodu mówi po polsku. Staram się nie używać słowa „dobry", w zamian mówię „zacny", bo PiS mi obrzydziło to słowo swoją „dobrą zmianą". To moja misja: przypomnieć ludziom o naszym kosmicznym pochodzeniu. Jesteśmy pięknymi, różniącymi się ufoludkami, ale zamiast to pojąć, szukamy UFO na niebie.

Jesteśmy ludźmi, którzy żywią się tym, co morze wyrzuci na brzeg. Nie zawsze jest to świadomy wybór.

OD: – Za jaką ojczyznę mam umierać? Za które konkretnie granice? Czy Lwów się liczy, czy Wilno wchodzi w rachubę? Cały ten patriotyzm to takie p… o Szopenie.

RTT: – O, Szopen, ten to miał przewalone. Uciekł przed rewolucją i chciał pisać piękną, namiętną muzykę. Był Polakiem totalnie, do imentu, co wybrzmiewa w jego mazurkach, oberkach i polonezach. Nolens volens wybrał życie kosmopolity. Urodziliśmy się w tej dziwnej geopolitycznej rzeczywistości, pomiędzy pachą Niemiec a d… Moskali, to bardzo kłopotliwa sytuacja.

Tymon, przez PiS nie używasz już słowa „dobry", nie czujesz się patriotą, ale co ty biedny zrobisz jako kibic Lechii z tym prezydentem?

RTT: – Po latach znów gramy „Kibolskiego" z „P.O.L.O.V.I.R.U.S.", zamiast o Tejkowerze (Tejkowskim) śpiewam o prezydencie alfonsie i gangusie. Jest wesoło. Natomiast zabawy nie było, gdy graliśmy czerwcowy koncert na publicznej plaży w Gdyni. Zapomnieliśmy się, wyśpiewując refren „Lechia Pany". Przypętali się arkowcy, zostaliśmy wylukani, parafrazując poetę, więc postanowiliśmy salwować się ucieczką. Kibole powiedzieli, że jeśli publicznie nie odszczekam, mamy prze… Ja na to, że to satyra. Oni, że się nie znają na satyrze. No więc im tłumaczę, że nie zamierzam przepraszać za każdą piosenkę, bo przeprosiny byłyby długie. I pytam ich polubownie: „Jak to jest, że głosujecie na gangusa lechistę, skoro jesteście arkowcami?", a oni: „A to jest zupełnie inna rzecz. Tam są sprawy Polski, a tu honoru".

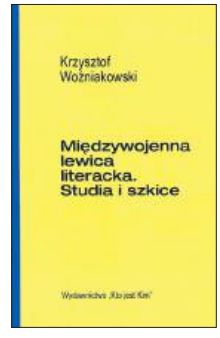
Wojciech Kuczok

KSIĄŻKI

Krzysztof Woźniakowski

Międzywojenna lewica literacka Studia i szkice

Wydawnictwo Kto jest Kim, Warszawa 2025



Wybór studiów i szkiców historycznoliterackich autora odnoszących się do różnych aspektów funkcjonowania polskiej radykalnej lewicy literackiej. Rozpoczyna się od przedstawienia literackiej obecności klasy robotniczej i ruchu robotniczego w prozie polskiej lat 1880-1918. Następnie czytelnik otrzymuje zarys dziejów lewicowej prozy okresu międzywojennego. Poznaje także lewicowe periodyki pierwszej połowy lat 30. Na koniec spora dawka wiedzy o mało znanych lub kompletnie nieznanych twórcach piszących po polsku w ówczesnym ZSRR.

Krzysztof Łapiński

Najmądrzejszy Biografia Sokratesa

Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025



Rozmowa z Sokratesem była podobno głębokim doświadczeniem, po którym człowiek odchodził odmieniony. Platon nazywał go lekarzem dusz. Jeżeli dzisiaj bardziej cenimy dialog od przemocy, to jest to w dużej mierze zasługa Sokratesa. Przekonanie, że pytania bywają ważniejsze niż odpowiedzi, do dziś jest nieodłączną częścią europejskiej kultury. Co oryginalnego Sokrates wniósł do filozofii (i czy rzeczywiście to, o czym czytamy w podręcznikach)? Dlaczego wywoływał w Atenach tak skrajne emocje? Dlaczego skazano go na śmierć? To tylko niektóre pytania podjęte w panoramicznej biografii, w której z filozofią przeplatają się miłość, polityka i wojna.

(es)

eprasa.pl 66f0f55e4a

Teatr z historii

Czyli „Krzyżacy” w Olsztynie



Robert Traba

Każdy twórca jest więźniem swojego sukcesu. Pamiętam początek 2007 r., gdy po raz pierwszy obejrzałem spektakl Jana Klaty. W berlińskim Hebbel am Ufer, jednym z najbardziej prestiżowych niemieckich teatrów, wystawił „Transfer!”. I tak zaczął się europejski sukces przedstawienia. Ten teatr – pisała francuska krytyczka – „piecze w oczy, wstrząsa, prowokuje”, „to jest fascynujące, to jest piękne, to jest przerażające”, „wraz z Klatą otwiera się nowa karta polskiego teatru”.

Przypomnijmy: rzecz dotyczyła dramatu przymusowych wysiedleń po II wojnie światowej. Tworząc wówczas Centrum Badań Historycznych w Berlinie i uczestnicząc w tamtejszych debatach, miałem dość polityzacji tematu. Sami zresztą i w Stowarzyszeniu Borussia, i potem w Niemieckim Instytucie Historycznym dawno ten temat przerobiliśmy. Sądziłem, że po „Hanemannie” Stefana Chwina już nic na temat wysiedleń nie może mnie poruszyć.

Nagle pojawił się Klata i jego próba zmierzenia się ze wspomnieniami Polaków i Niemców. Te dwie jakże osobiste, dramatyczne perspektywy opowiadania, grane przez autentycznych świadków historii, uzupełnione zostały o kontekst wyrażony postaciami Stalina, Roosevelta i Churchilla. „Klata chce mówić o bolesnej historii z dzisiejszej perspektywy, próbuje wniknąć i opisać współczesną świadomość Polaków i Niemców”, pisano. Powstało dzieło wybitne pod względem dramaturgicznym oraz historycznego przekazu, łamiące schematy myślenia.

Po co Janowi Klacie prawie 20 lat po tamtym doświadczeniu „Krzyżacy” Sienkiewicza, 125 lat po opublikowaniu książki, na jubileusz teatru w Olsztynie, dawnym Allenstein? Po raz kolejny reżyser wkroczył w sferę polsko-niemiecką, tym razem naznaczoną beletrystyką „ku pokrzepieniu serc” laureata Nobla oraz 100. rocznicą powstania Teatru Wdzięczności (Treudank) w ówczesnym Allenstein. Co chciał nam opowiedzieć? Z czym zerwać w polskiej narracji o Niemcach? Jaką narracją dopełnić Sienkiewicza w konfrontacji z teatrem – pomnikiem wdzięczności za wierność niemieckiej ojczyźnie? Czym chciał pobudzić nasze nowe myślenie w czasach, gdy wojna jest tuż-tuż?

Sienkiewicz jechał po bandzie

W spektaklu Klaty nie odnajduję żadnego przesłania, które byłoby zaczynem innego myślenia niż klasyka narodowej polityki historycznej, dominującej jeszcze kilka lat temu. A może to pastisz, co zapowiada reżyser? Zapewne, ale słabo wyczuwalny. Jeszcze przed spektaklem Klata przedstawił swoje priorytety, to, co chce pokazać, czyli jak „nasi byli skatowani niemiecką Hakatą”, że żyjemy ciągle kompleksem „wobec sąsiadów, nie ukrywajmy – przede wszystkim Krzyżaków”, ale „z satysfakcją obserwujemy upadek mitu o niezawodności Deutsche Bahn i potędze niemieckiej gospodarki”.

> Jan Klata zasłania się kontekstami regionalno-lokalnymi, ale słabo je zna.

Podsumujmy: według Klaty Krzyżacy = Niemcy. Teza dla reżysera bezdyskusyjna niczym propagandowy plakat Tadeusza Trepkowskiego z 1945 r. „Grunwald 1410 – Berlin 1945”. Tym owocnie mógł w czasach wzmożenia akcji germanizacyjnej grać Sienkiewicz. Ale dziś takie banały? Tak przecież dalekie od rzeczywistych historycznych kontekstów! Nie powstydziłaby się ich czysta, żywa propaganda rozwijana z lubością w PRL i… w RFN, gdzie kanclerz Konrad Adenauer na zjeździe ziomkowskim włożył płaszcz krzyżacki.

Szczytem indolencji jest fraza: „Jesteśmy w Allenstein i odpowiadamy na niemiecki Kulturkampf, czyli »Fausta«, naszym Kulturkampfem – »Krzyżakami«”. Staram się nadążyć za licentia poetica reżysera, ale chciałoby się wykrzyczeć: To nie pastisz! To absurd! Jesteśmy w Olsztynie w 2025 r. i od wielu lat prawica poddaje nas systematycznej antyniemieckiej propagandzie. To, co w wyabstrahowanej rzeczywistości mogłoby być śmieszne, tu i teraz straszy mitem politycznie kreowanego wiecznego wroga. Taki jest kontekst gry Krzyżakiem = Niemcem. I żadne artystyczne zaklęcia oderwane od tej rzeczywistości tego nie zmienią.

Spektakl niestety pogłębia stereotypowe wyobrażenia. Czy Klata tego chce? Przesłanie dla przyszłości w postaci kosmicznie ubranych aktorów nie działa. Działają za to mocno sceny rozgrywające się poza narracją Sienkiewiczowską, przewijające

eprasa.pl 66f0f55e4a



Henryk Sienkiewicz, „Krzyżacy", reżyseria Jan Klata, dramaturgia i adaptacja Ishbel Szatrawska i Jan Klata, choreografia Maćko Prusak, scenografia Mirek Kaczmarek, Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, premiera 13 września 2025

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

się na ścianie fragmenty autentycznych kronik filmowych ze zdjęciami szlabanu niszczonego 1 września 1939 r. (w rzeczywistości inscenizacja z 14 września), drutów obozów koncentracyjnych, zrujnowanych polskich miast. A na scenie wybrzmiewają pieśni z lubością śpiewane w nazistowskich Niemczech, z którymi konkuruje „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród" i „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił".

Wyprzedzając krytyczne interpretacje, reżyser zaporowo zasłania się uniwersaliami, pastiszem i sytuacją w Palestynie, sprzeciwem wobec przemocy i wojny. Ma prawo. W masie dynamicznie zmieniających się obrazów i jednocześnie żywej akcji na scenie widz nie ma szans nadążyć za elokwencją reżysera.

Oblicza wdzięczności

Jan Klata zasłania się też kontekstami regionalno-lokalnymi, ale słabo je zna. Poza zdjęciami z przedwojennego Allenstein, Narodowym Pomnikiem Tannenberskim wybudowanym na chwałę niemieckiego oręża po bitwie pod Tannenbergiem w 1914 r. i okrzykami (z charczącym „hrrr") „na Mazury, na Mazury" jesteśmy w epicentrum zwyczajnej neoendeckoidalnej narracji, dziś nazywanej też patriotyczną, której reżyser nie umie wziąć w cudzysłów.

Czy można było inaczej? Tak. Na pewno trzeba by do tego więcej czasu i empatii dla tych lokalnych narracji, na które teoretycznie powołuje się Jan Klata. 500 m od teatru stoi pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej, niegdyś Wdzięczności Armii Czerwonej, według projektu rzeźbiarza, więźnia KL Auschwitz nr 774 – Xawerego Dunikowskiego. Po przełomie październikowym 1956 r. „wdzięczność" zastąpiono „wyzwoleniem", ale i tak prawica, łącznie z prezydentem z PO, nie chce Dunikowskiemu wybaczyć i planuje pomnik „zdekonstruować", czyli zniszczyć. Z takim problemem trzeba było się zmierzyć w kontrze do Sienkiewiczowych „Krzyżaków" i niegdysiejszego niemieckiego Teatru Wdzięczności. To byłoby wyzwanie na miarę Jana Klaty z 2007 r.!

Przebaczenie

Najbardziej żal kulminacyjnych scen przedstawienia, dziejących się paralelnie: śmierci Danusi na rękach Zbyszka (znakomici Agnieszka Giza-Gradowska i Maciej Cymorek) i aktu przebaczenia oślepionego Juranda (też świetna rola Cezarego Studniaka) dla gwałciciela i sprawcy cierpień jego córki. W roku okrągłej rocznicy zakończenia II wojny światowej i klęski (niestety) hasła „Nigdy więcej wojny!" to właśnie akt przebaczenia mógłby stworzyć ciekawy kontekst, złamać mit wiecznego wroga i otworzyć nową narrację.

W 2015 r. zmarły przed kilkoma miesiącami ambasador Polski w Watykanie Piotr Nowina-Konopka zorganizował konferencję poświęconą jubileuszowi 50-lecia (1965) listu biskupów polskich do ich niemieckich braci w wierze. Przesłanie, które przeszło do historii, brzmiało: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Oto ofiara, która poczuwa się do współsprawstwa, bo wojna nie pozostawia niewinnych! Na watykańskiej konferencji najbardziej poruszające wystąpienia mieli nie katoliccy duchowni, lecz mufti Sarajewa Mustafa Cerić i archimandryta Kościoła prawosławnego z Kijowa Cyryl Howorun. Akt przebaczenia jest wieczny. Musimy na niego zapracować. To także polskie patriotyczne osiągnięcie. Tak świetnie teatralnie wyeksponowane przebaczenie Juranda mogłoby zyskać przełożenie na współczesnego widza. Zmarnowana szansa, tym bardziej że 18 listopada 2025 r. obchodzimy 60-lecie listu.

Finał spektaklu to dziesięciominutowa bitwa pod Grunwaldem, zaaranżowany choreograficznie i znakomicie zagrany ekstatyczny taniec wojny, która prowadzi do unicestwienia. To dobry finał, bo przestrzega przed każdą wojną.

Kulturkampf moim zdaniem Janowi Klacie się nie udał. Będzie bulwersował takich jak ja, ale niektórych na pewno zachwyci, bo przekaz obroni sama jakość spektaklu. Z pewnością już pozostawił ślad, który, mam nadzieję, będzie prowokował do twórczej debaty. Sztandar jubileuszu obronili aktorzy i aktorki. *Es lebe hoch!* Na chwałę kolejnych kreacji teatralnych w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Robert Traba jest profesorem w Instytucie Studiów Politycznych PAN w Warszawie, w latach 2006–2018 był dyrektorem Centrum Badań Historycznych w Berlinie

eprasa.pl 66f0f55e4a


1


2

BLASK CZARNEGO KARNAWAŁU

Pierwsza wystawa oparta na współpracy polsko-belgijskiej w MNW konfrontuje dwóch znaczących artystów przełomu XIX i XX w.

Daniel Wójtowicz

„Czarny karnawał" trwa. Muzeum Narodowe w Warszawie prezentuje prace dwóch uznanych malarzy: Belga – Jamesa Ensora, i Polaka – Witolda Wojtkiewicza. Nie wiem, czy artyści się znali, czy mieli świadomość, co ten drugi tworzy. Żyli jednak w tym samym czasie, na przełomie XIX i XX w., i podążali zbliżoną ścieżką. Przeobrażali malarstwo, odwodząc je od obrazowania tego, co w realnym świecie można zobaczyć, na rzecz własnych wizji czy nierealistycznych wizerunków człowieka.

Ensor nakładał swoim postaciom maski, co u kuratorów wystawy zrodziło skojarzenie ze specyficzną karnawałową maskaradą. Jej wymowa jest mroczna, czarna. Nie tylko dlatego, że bohaterowie obrazów Wojtkiewicza najczęściej są koszmarni i wynaturzeni, a u Ensora są nimi nawet ludzkie szkielety. Określenie „czarny karnawał" w sztuce łączy się z nieuchronnością śmierci, z przemijaniem i zarazem traktowaniem życia jako zwykłego widowiska. Niekoniecznie miłego i sensownego. Obrazowano je często właśnie przez bajkowe, senne czy surrealistyczne wizje.

Twórcy, których prace dane jest nam teraz oglądać w MNW, zaliczani są do europejskiej czołówki malarstwa nowoczesnego. James Ensor (1860-1949) jest chlubą Belgii i jednym z największych jej malarzy tego okresu. Uważa się go za kreatora ekspresjonizmu i symbolizmu.

Witold Wojtkiewicz (1879-1909) również jest łączony z tymi dwoma nurtami, ale nade wszystko określa się go jako prekursora surrealizmu. Choć niektórzy fachowcy uznają go za jednego z najważniejszych polskich malarzy XX w., jego nazwisko nie jest u nas zbyt dobrze znane. Dla wielu prawdziwym odkryciem staje się dopiero dzisiaj.

Na przełomie tamtych stuleci sztuka rozwijała się w poszukiwaniu nowych form wyrazu, głównie dla odzwierciedlenia coraz wnikliwszego spojrzenia na naturę człowieka, które dawała nauka, np. w dziedzinie zgłębiania podświadomości. Jaka jest prawda o naszej egzystencji i jak ją pokazać?

Wojtkiewicz musiał mieć krytyczne nastawienie do życia, nie tylko z racji młodości i fascynacji nowymi trendami. Jako 25-letni ilustrator i autor humorystycznych tekstów współpracował w Warszawie z prasą codzienną i tygodniową, pełną ostrych spostrzeżeń i śmiałych opisów nieciekawej codzienności. Później, w Krakowie, wciągnął się w środowisko artystyczne w otoczeniu słynnego Zielonego Balonika, kabaretu znanego z przewrotności i sarkazmu. W tym klimacie młody twórca malował swoje najgłośniejsze obrazy.

W „Cyrku wariatów" prezentowanym obecnie na wystawie w MNW wpatrujemy się w ospałych ludzi o wynaturzonych twarzach,

eprasa.pl 66f0f55e4a



3


4

1. James Ensor, Maski patrzące na żółwia, 1894
2. Witold Wojtkiewicz, Cyrk wariatów, 1906
3. James Ensor, Szkielety walczące o ciało wisielca, 1891
4. Witold Wojtkiewicz, Fantazja, 1906

niemrawo wykonujących jakieś bezsensowne czynności. Nietrudno dostrzec w tym kpinę z codzienności, pustki egzystencji i ludzkiej tępoty. Niedaleko tych dzieł lokują się – spostrzegam – współczesne prace Jerzego Dudy-Gracza. Wojtkiewicz, jak się okazuje, stworzył ten styl 100 lat wcześniej. Popaprana fizjonomia staje się nagle jakąś opowieścią o człowieku i jego wnętrzu, bardziej prawdziwą i głęboką niż staranna fotografia. To już właśnie surrealizm.

James Ensor wychowywał się przy matce, która w Ostendzie prowadziła sklep z akcesoriami na tak popularne w Belgii karnawały. W ich ciemnym domu we wszystkich kątach wisiały przerażające martwe twarze – maski. Mały James bardzo się ich bał. Rozumiał przy tym, że ludzie używają ich do zasłaniania prawdy o sobie. Tym gorzej to go do nich nastawiało.

Później, już jako artysta, w sprzeciwie i złości wobec hipokryzji zdecydował przewrotnie, że bohaterom swoich obrazów założy maski, które żadnej prawdy nie zakryją – przeciwnie, dobitnie ją uwidocznią. Będą maskami de-maskatorskimi. Jego postacie otrzymywały zatem twarze pełne zachłanności, zazdrości, cwaniactwa i wszystkiego, co krytycznie można było odnaleźć we współczesnych artyście ludziach. Na wystawie w Narodowym przykładem tej linii jest obraz „Maski patrzące na żółwia". Bije z niego głupota i bezmyślność „zamaskowanych".

Mimo przypisywanego Belgom szczególnego poczucia humoru ta wielka śmiałość portretowania jakoś nie wywoływała u nich entuzjazmu – Ensor zaś nie zamierzał się powstrzymywać. W efekcie eksponowanie jego obrazów zostało w Belgii znacznie ograniczone lub w ogóle zabronione. Do czasu. Aktualnie te dzieła są prezentowane jako bezcenne świadectwa rozwoju belgijskiej sztuki i związanej z nią myśli społecznej.

Drugą specjalnością Ensora są często zabawne szkielety, dostrzeżone w rozmaitych sytuacjach, jak te przyłapane przez starszą kobietę w masce na słodkim baraszkowaniu pod kołderką. Albo dwa inne, w sukienkach, bijące się na kije czy miotły o prawo do ciała wisielca dyndającego między nimi (a może do schedy po nim).

Oglądający próbują odgadnąć sens tych opowieści; według komentarza do wystawy autorowi chodziło ponoć o krytykę istniejących relacji społecznych. Dokładnie jednak nie wiadomo.

Ensorowskie szkielety widzieć zapewne należy w kategoriach purnonsensu, dowcipu, tym bardziej że mają swój koloryt i wyraziste charakterki. Odbierałem je jako przewrotny, surrealistyczny żart z kruchości ludzkiej egzystencji i z nicości spraw doczesnych, absorbujących nas przez te chwile, w których żyjemy.

Ale jest i inna ścieżka myślenia: czaszka człowieka uznawana bywa za symbol nie tylko przemijania, lecz także wieczności istnienia. A w szerszej perspektywie uznawana jest przez wielu za symbol prawdy o człowieku. Widzi się w niej kwintesencję ludzkiego wizerunku, swoistą „twarz absolutną", której kształtu i charakteru nie da się niczym i nigdy zafałszować. I która prawdę o naszym istnieniu przechować może przez wieczność. W obrazach Ensora czaszka staje się przeciwieństwem maski i być może zamyka jego wieloletnie poszukiwania najprawdziwszego obrazu człowieka.

Motto wystawy jest cytatem z Wisławy Szymborskiej: „Życie jest krótkotrwałą huczną maskaradą, a ci, którzy biorą w niej udział, są tylko kolorowymi przebierańcami nicości".

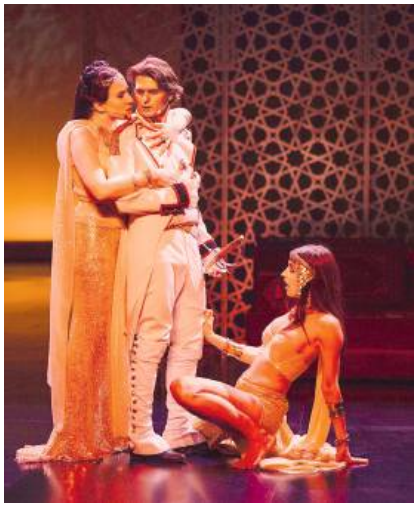
Czarny karnawał. Ensor/Wojtkiewicz
Muzeum Narodowe w Warszawie
do 11 stycznia 2026

FOT. DANIEL WÓJTOWICZ (4)

eprasa.pl 66f0f55e4a

KURTYNA W GÓRĘ

Rękopisy nie płoną?



Kto choć raz obejrzał film Wojciecha Hasa według „Pamiętnika znalezionego w Saragossie" Jana Potockiego, nigdy już nie opuści Alfonsa van Wordena podróżującego przez góry Sierra Morena do Madrytu. Każdy potencjalny adaptator tej powieści mierzy się, chcąc nie chcąc, z wizją Hasa. Może jednak uniknąć frontalnej konfrontacji, dobierając inny klucz interpretacyjny. W spektaklu Grzegorza Jarzyny miejsce potomka Don Kichota z filmu Hasa zajmuje młodzieniec poddawany próbom inicjacyjnym (Wojciech Siwek), a szkatułkowa opowieść zmienia się w celowo zorganizowaną grę, z którą zmierzyć się może każdy, kto ma jakie takie obycie z grami komputerowymi. Wprawdzie i u Potockiego na koniec okaże się, że Alfonso był obiektem manipulacji i zabawy Gomelezów, ale u Jarzyny to droga do zajęcia miejsca Mistrza Gry, organizatora przygód młodzieńca, czyli swego rodzaju egzamin kwalifikacyjny, a jednocześnie dramat inicjacyjny, który pozwala bohaterowi odkryć samego siebie.

Jarzynie udało się coś rzadkiego: połączyć olśniewające widowisko wykorzystujące i nowoczesne środki wideo, i te charakterystyczne dla dawnego teatru (efekt deus ex machina, dzięki któremu pojawia się Anioł Stróż) z wartką narracją i komentarzem filozoficznym. Jądrem całości jest konfrontacja między racjonalnością a mistyką i magią, tląca się nadzieja, że świat można poznać i objaśnić jego reguły. Przedstawienie trwające niemal cztery godziny wciąga, intryguje i zaskakuje nie tylko formą, ale i treścią. Co więcej, błyszczy paradą aktorskich kreacji, by wspomnieć jedynie monolog córki Montezumy w mistrzowskim wykonaniu Danuty Stenki czy postać głównego manipulatora, której Andrzej Seweryn nadaje wieloznaczne odcienie.

Mimo piękna widowiska i nierzadko wyrafinowanego dowcipu całość nie tchnie optymizmem, bo Jarzyna jak Potocki dostrzega, że świat Wielkiemu Demiurgowi raczej się nie udał.

Tomasz Miłkowski

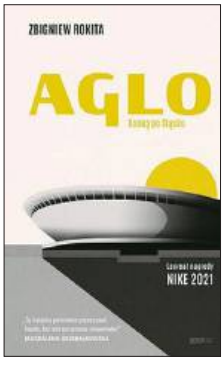
„Rękopis znaleziony w Saragossie. Dziedzictwo Gomelezów" na motywach powieści Jana Potockiego, scenariusz Grzegorz Jarzyna i Roman Pawłowski-Felberg, reżyseria Grzegorz Jarzyna, Teatr Polski w Warszawie, premiera 26 września 2025

MIĘDZY OKŁADKAMI

Zbigniew Rokita

Aglo. Banką po Śląsku

Znak Literanova, Kraków 2025



W „Aglo" Zbigniew Rokita zabiera nas na przejażdżkę, która momentami przypomina festyn, a momentami kondukt żałobny. Na trasie linii numer 7 widzimy Śląsk odmieniony – rozświetlony neonami nowych centrów handlowych, ale i przysypany pyłem dawnych kopalni. Autor balansuje między reportażem a esejem scenicznym: raz przygląda się detalom, językowi, ludziom, innym razem rozpisuje metafory na całe akty teatralne. Powstaje obraz miejsca, które jednocześnie rodzi dumę i poczucie winy, euforię i melancholię. Rokita nie zatrzymuje się na powierzchni: pokazuje, że Śląsk to nie tylko geografia i przemysł, ale też mit, trauma i ciągłe pytanie: „Kim jesteśmy?".

Rafał Pikuła

Queerowa historia ludowa



Na kameralnej scenie Teatru Śląskiego skromnymi środkami udaje się na chwilę ożywić pełen przemocy oraz napięć religijnych, społecznych i klasowych świat robotniczych przedmieść Glasgow lat 90. W tym niełatwym środowisku rodzi się uczucie dwóch chłopaków: katolika Jamesa (Jan Jakubik) i protestanta Munga (Paweł Kruszelnicki).

Katowickie przedstawienie można by zakwalifikować do nurtu queerowej historii ludowej w stylu Louisa czy Eribona. Inspirowany powieścią Douglasa Stuarta tekst to dość klasyczna, osnuta na tle panoramy społecznej sztuka obyczajowa o odkrywaniu własnej tożsamości, trudnych relacjach rodzinnych i wykluczeniu. Zręcznie napisana, choć dość przewidywalna. A jednak spektakl Krzysztofa Zyguckiego ogląda się z zainteresowaniem. Udaje się to przedstawienie dzięki dobremu, zespołowemu aktorstwu, sugestywnej choreografii (Magdalena Kawecka) oraz poczuciu humoru, które nie tylko rozjaśnia tę w gruncie rzeczy ponurą opowieść o samotności i odrzuceniu, ale też przełamuje melodramatyczną konwencję. Jak w dowcipnej sekwencji gejowskiej utopii pasterskiej albo w epizodzie z Margaret Thatcher w świetnym wykonaniu Anny Kadulskiej – pozwalającym uniknąć banału.

Michał Centkowski

Eugenia Balakireva, „Chłopacy", reżyseria Krzysztof Zygucki, Teatr Śląski w Katowicach, premiera 14 marca 2025

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, PRZEMYSŁAW JEDROSKA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 66f0f55e4a



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Wywiad to nie przesłuchanie

Maja Kleczewska, w moim głębokim przekonaniu jedna z najwybitniejszych reżyserek w historii polskiego teatru, przejęła dyrekcję Powszechnego po Pawle Łysaku, który przywrócił tej warszawskiej scenie rangę „teatru wtrącającego się". W ciągu dziesięcioletniej kadencji obok znakomitych przedstawień, także samej Kleczewskiej (rewelacyjne „Szczury" według Hauptmanna), przytrafiło się dyrekcji wiele spektakli hałaśliwych, które w drodze na barykadę gubiły słowo, a nierzadko i sens. Emblematycznym przykładem była „Klątwa" Olivera Frljicia, który z dramatu Wyspiańskiego zostawił tylko tytuł, aktorom kazał składać karabiny z krzyży, urządzić zbiórkę na płatnego zabójcę Kaczyńskiego, a świetna aktorka Julia Wyszyńska od tamtej pory była pamiętana przez pospólstwo jako ta, która zrobiła fellatio posągowi JP2.

W czasach rządów kaczystowskich taki radykalizm był w cenie, z kaczystami nie można było rozmawiać szeptem, sam wykrzykiwałem osiem gwiazdek prosto w milicyjne tarcze, dzierżąc w pierwszym szeregu transparent z napisem: „Tu są granice przyzwoitości". Polityczne ześwinienie PiS, jego autorytarne zapędy, a także chęć zagarnięcia sztuki pod sutannę i kontusz napotkały wściekły opór w wielu instytucjach kultury, z których Powszechny był najbardziej nieprzejednaną i radykalną.

Kiedy Kleczewska wygrała konkurs na stanowisko dyrektorskie, hunwejbinom lewicy było to nie w smak, i przecież nie dlatego, że reżyserka uprawia sztukę zbyt łagodną lub apolityczną – przeciwnie, jej spektakle wpisują się w antyklerykalne, antyfeudalne, antytromtadrackie i feministyczne nastroje. Otóż Kleczewska ośmiela się krytykować, a nawet wyszydzać kanapowych komisarzy ludowych ze Zbawiksa równie bezlitośnie, jak to czyni z tzw. prawacką stroną podziału społeczno-politycznego. Nie znosi cenzury obyczajowej tak z prawa, jak i z lewa, również w swoich metodach pracy z aktorami nie poddaje się presji z żadnej strony. Owóż wymierzono w nią ulubioną broń lewicowych moralistów: uznano za przemocowca, oprawcę (czemu w przypadku takich oskarżeń nie używa się już tak ochoczo feminatywów?) i postawiono w jednym szeregu z niegdyś kultowym, a dziś wyklinanym Krystianem Lupą. Kula śnieżna rychło zaczęła się toczyć z mocą lawiny, a prostackie sylogizmy typu „Wojtyła był głową kościoła, w którym zwyrodnialcy w sutannach molestowali dzieci, czyli Wojtyła osobiście gwałcił dzieci", łatwo są wchłaniane, trawione i wydalane w postaci nieodrywalnych etykiet.

Wedle ostatniego raportu Klubu Rzymskiego największym wyzwaniem dla naszych czasów nie są zmiany klimatu, utrata bioróżnorodności ani pandemie, lecz nasza zbiorowa niezdolność do odróżniania faktów od fikcji. Dziennikarz popularnej gazety codziennej postanowił zapolować na Kleczewską i zaproponował jej rozmowę, w trakcie której zadawał pytania cokolwiek napastliwe – reżyserka cierpliwie odpowiadała, czy raczej próbowała się bronić, ale przy autoryzacji doszła do wniosku, że nie zgadza się na publikację. Dziennikarz puścił wywiad nieautoryzowany, co wywołało burzę w mediach; Bartosz Węglarczyk napisał wręcz, że „autoryzacja jest pozostałością z czasów komuny i w wolnym kraju nie powinno jej w ogóle być".

Mam nieco inne zdanie na ten temat. Gdy miałem swoje kilkunastoletnie „pięć minut sławy", udzieliłem dziesiątek, a może i setek wywiadów i raz tylko zdarzyło mi się zaniedbać autoryzacji, czego srodze żałowałem. Jako człowiek pisma nade wszystko dbam o język, a moje spontaniczne, niedbałe stylistycznie, a nierzadko chaotyczne wypowiedzi ustne wymagają intensywnej obróbki. Dziennikarze nie mają na to czasu, najchętniej wypuściliby tzw. surówkę, są dzisiaj do tego stosowne aplikacje – półtorej godziny nagrania masz spisane w kilka minut.

Pomnę, jak niegdyś początkujący stażysta szacownego krakowskiego tygodnika wypuścił nieautoryzowany, a także niezredagowany wywiad z Lechem Wałęsą i miał wielką uciechę z tego, że prosty człowiek gada niezbornie, a czasem nawet bełkotliwie. Zdarzali się rozmówcy, którzy ewidentnie dostali odgórne zlecenie, żeby zrobić ze mnie półgłówka, i choć przed wywiadem uprzejmie informowali, że mam prawo do autoryzacji, woleliby pewnie rzec: „Wszystko, co powiesz, może zostać użyte przeciw tobie". W socjalach trwa burza – gada się, że autoryzacji być nie powinno, bo ludzie się wycofują z gaf, które strzelili, wygładzają opinie, wycinają najbardziej gorące fragmenty. Ja rozumiem, że dziennikarze śledczy mogą mieć z tym kłopot, ale rozmowy z ludźmi kultury nie są, do diabła, przesłuchaniami. Jeśli dziennikarze robią wywiad pod tezę, czyhają na lapsusy rozmówcy albo z lubością cytują niezgrabności jego wypowiedzi, zamiast chcieć się dowiedzieć czegoś istotnego od człowieka rozumnego – to należy takich dziennikarzy czniać. Jedynym błędem Mai Kleczewskiej było to, że grzecznie dotrwała do końca rozmowy, od początku znając intencje interlokutora. ■

eprasa.pl 66f0f55e4a

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Ekspresowa moda, trwałe szkody

Francuzi coraz ostrzej reagują na zalew branży tekstylnej produktami z Chin

Fast fashion, czyli moda ekspresowa, zalewa rynki europejskie tanimi i nietrwałymi produktami odzieżowymi. Firmy takie jak Shein, Temu czy AliExpress oferują ogromny wybór ubrań, często znacznie większy niż tradycyjne sklepy (niejednokrotnie przy tym kradnąc projekty innych firm odzieżowych), i stosują bardzo agresywną reklamę. Model ten opiera się na szybkim obrocie towarem bardzo niskiej jakości, co ma poważne skutki ekologiczne. Przemysł tekstylny odpowiada za ok. 10% światowej emisji gazów cieplarnianych i zużywa ogromne ilości wody.

Nieakceptowalne są ponadto warunki pracy w krajach produkcji fast fashion – mówi się o pracy przymusowej i dziecięcej. Moda ekspresowa osłabia też francuski (i europejski) przemysł odzieżowy: liczba miejsc pracy od 1990 r. spadła w nim trzykrotnie, obecnie zagrożonych jest kolejne 20 tys. miejsc pracy, a w przyszłości nawet 50 tys.

W czerwcu br. Poczta Polska podpisała umowę z Temu.

Francja wprowadziła już środki zaradcze, m.in. premię za naprawę ubrań i obowiązek oznaczania produktów tzw. eko-score'ami (system oceny wpływu produktów na środowisko). Nowe przepisy mają iść jeszcze dalej.

Tymczasem w Polsce w czerwcu br. Poczta Polska podpisała umowę z Temu, chińskim gigantem handlu elektronicznego, i mimo licznych głosów krytyki decyzja ta wciąż jest usprawiedliwiana przez neoliberałów, wedle zasady, że każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę na wolny rynkek, ma być pewny, że mu tę rękę wolny rynek odrąbie.

Świadomość społeczna i naciski

Zmiany prawne są bardzo często rezultatem presji społecznej. Nie inaczej było z ograniczeniami wobec chińskich gigantów odzieżowych. Firmy te oprócz ogromnego wpływu na degradację środowiska mają na sumieniu praktyki ocierające się o przestępczość systemową, w tym przypadku pracę przymusową i wykorzystywanie dzieci.

Mało przy tym się mówi o dramacie lokalnych przedsiębiorców, którzy, nawet jeśli chcieliby produkować w swoich krajach, napotykają wiele problemów, ponieważ ich koszty produkcji zawsze będą wyższe niż koszty towarów importowanych z Chin. Dlatego tanie, nietrwałe, do tego szkodliwe dla zdrowia ubrania stały się prawdziwą plagą współczesności.

Na szczęście problem ten jest bardzo zauważalny we Francji, gdzie w szczególności młode pokolenie pomnaża wysiłki w celu ograniczania własnej konsumpcji. Temat jest szeroko nagłaśniany poprzez działania influencerów, mówiących o katastrofie klimatycznej, zapraszanie do telewizji rzetelnych ekspertów zajmujących się tym tematem czy różnorakie akcje społeczne, a ludzie regularnie mobilizują się na rzecz działalności ekologicznej.

Ważny jest także w tym kontekście patriotyzm gospodarczy. Oddolne inicjatywy, takie jak bojkot nieetycznych producentów, przynoszą wymierne skutki. W sondażu organizacji Max Havelaar 60% Francuzów opowiada się za gotowością do bojkotu fast fashion. Szczególnie dotyczy to dużych sieci modowych (22%) oraz marek wielkiej dystrybucji (16%).

Dla Francuzów bardzo istotne jest wspieranie lokalnych producentów i manufaktur – pozwala to krok po kroku uwalniać się od globalnej ekspansji marek typu Zara, H&M, Topshop, Forever 21 itd., która nastąpiła w pierwszej dekadzie obecnego wieku. Według badań przedstawionych przez Statkraft i OnePoll 80% Francuzów odczuwa niepokój związany z następstwami zmian klimatycznych, co sprzyja wspomnianemu już ograniczaniu konsumpcji i wywieraniu presji na rządzących w celu wzmożenia wysiłków np. na rzecz hamowania rozwoju firm, które najbardziej zanieczyszczają środowisko.

Droga legislacyjna

W Polsce propozycja nałożenia kar na chińskie firmy spotyka się nie tylko ze sprzeciwem, lecz nawet z oburzeniem liberalnych polityków, którzy powołują się na argument o „ograniczaniu wolnego rynku". Ze względu na tak dogmatyczny tok myślenia o systemie kapitalistycznym niemożliwe stają się jakiekolwiek konsultacje międzypartyjne w tym zakresie.

Tymczasem we Francji propozycję ustawy ograniczającej tzw. szybką modę złożył nie polityk lewicowej proweniencji, lecz deputowany Republikanów Antoine Vermorel-Marques, który zauważa rosnący problem marginalizacji francuskich producentów w obliczu zalewu chińskich wyrobów. Jak stwierdził w wywiadzie dla Franceinfo, system bonus-malus ma jeden główny cel: by „produkty made in France były

eprasa.pl 66f0f55e4a



Aktywistka Extinction Rebellion przed tymczasowo otwartym sklepem Shein w Tuluzie zwraca uwagę, że udział tej jednej platformy w emisji gazów cieplarnianych, za którą odpowiadają nastolatki, to 22%. 28 maja 2022 r.

tańsze, a produkty made in China droższe". Poseł jest za wprowadzeniem podatku w wysokości 5 euro od sztuki, aby ukarać producentów „taniej chińszczyzny" i tym samym złagodzić negatywne skutki mody jednorazowej dla środowiska i zdrowia publicznego. Pomysł ten pojawił się w drugim projekcie ustaw Anne-Cécile Violland z obozu rządzącego (więc także polityczki liberalnej), który finalnie stał się wersją oficjalną.

Projekt został przyjęty 14 marca 2024 r. w pierwszym czytaniu: za głosowało 146 deputowanych, nikt przeciwko ani nikt się nie wstrzymał. Senat wykazał się takim samym entuzjazmem i 10 czerwca br. głosy rozłożyły się następująco: 337 senatorów za, jedna osoba przeciw, trzy się wstrzymały.

Shein w głównym domu towarowym Paryża

Shein, lider wśród gigantów fast fashion, znany z agresywnej ekspansji i krytykowany za szkody środowiskowe oraz podkopywanie francuskiego przemysłu odzieżowego, planuje otwarcie sześciu stałych sklepów we Francji, w tym w prestiżowym paryskim domu towarowym BHV Marais. Decyzja ta wywołała oburzenie, m.in. ze strony posłanki Anne-Cécile Violland, która przypomniała o 40-milionowej grzywnie nałożonej na firmę za nieuczciwe praktyki handlowe. W tym samym czasie parlament w zasadzie zakończył prace nad ustawą wymierzoną w fast fashion – jednak nie weszła ona jeszcze w życie.

W tym miejscu warto wspomnieć, że w latach 2010-2023 liczba ubrań wprowadzanych na rynek we Francji wzrosła z 2,3 do 3,2 mld, co oznacza ponad 48 nowych sztuk odzieży na mieszkańca rocznie oraz 35 sztuk wprowadzanych na rynek co sekundę. Dlatego politycy domagają się przyśpieszenia procedury legislacyjnej, by wstrzymać ekspansję takich marek jak Shein i wymusić bardziej odpowiedzialny model produkcji.

Parlamentarzyści francuscy wystosowali do rządu apel o jak najszybsze powołanie komisji, która miałaby się zająć ostatecznym dopracowaniem ustawy wymierzonej w fast fashion. Chociaż projekt został już zatwierdzony zarówno przez Zgromadzenie Narodowe, jak i przez Senat, jego finalizacja wymaga przejścia przez kolejne etapy legislacyjne. A ustawa jest bardzo potrzebna – bo mimo że nie zablokuje całkowicie planów ekspansji chińskiej platformy Shein, da narzędzia do ograniczenia destrukcyjnych

Chińskie giganty odzieżowe oprócz ogromnego wpływu na degradację środowiska mają na sumieniu praktyki ocierające się o przestępczość systemową.

FOT. ABACA/ EAST NEWS

eprasa.pl 66f0f55e4a

skutków działalności przemysłu odzieżowego dla środowiska naturalnego, co stanowi pierwszy krok w walce z tym zjawiskiem.

Najbardziej dziwi lokalizacja nowych stoisk Shein – w końcu w paryskim BHV Marais mieszczą się naprawdę luksusowe marki. Część, przede wszystkim przedstawiciele firm, które niedawno pojawiły się na rynku, a bazują na etycznej produkcji, ogłosiła chęć wycofania się z BHV. Są wśród nich Aime Skincare, Odaje, Maison Pechavy czy Culture Vintage. Galeries Lafayette także wydały oświadczenie, w którym potępiają decyzję BHV o przyjęciu stoisk Shein oraz deklarują, że nie nawiążą żadnej współpracy z chińskim gigantem.

W ostatnich latach rynek europejski został wręcz zasypany tanimi ubraniami o bardzo krótkim cyklu życia. Dlatego potrzebne są szybkie i skuteczne działania. W ocenie senator Sylvie Valente-Le Hir, która odpowiada za prezentację ustawy w Senacie, sytuacja wymaga bardzo sprawnych działań regulacyjnych, ponieważ dotychczasowe mechanizmy kontroli okazały się niewystarczające, czego najlepszym przykładem jest rozprzestrzenianie się chińskich firm na całym rynku francuskim. Jej zdaniem nadszedł moment, by wprowadzić jasne i surowe reguły gry, które pozwolą ograniczyć nie tylko degradację środowiska, lecz także negatywne konsekwencje społeczne dynamicznego rozwoju sektora fast fashion.

Potrzebna edukacja konsumencka

Wizja stoiska Shein w paryskim domu towarowym wzburzyła opinię publiczną, podobnie jak podjęcie współpracy Poczty Polskiej z Temu. Ale politycy w Polsce byli w tej sprawie stosunkowo mało aktywni. Można wyróżnić tutaj Jacka Tomczaka, który wystosował interpelację do ministra aktywów państwowych dotyczącą współpracy Poczty Polskiej SA z chińską platformą handlu elektronicznego. W odpowiedzi, jaką uzyskał, podkreślono, że „współpraca ma wyłącznie charakter operacyjny". Wojciech Balczun, minister aktywów państwowych, stwierdził, że przesyłki z Temu generują dla Poczty Polskiej dodatkowe przychody, a współpraca pozwala lepiej wykorzystać infrastrukturę logistyczną spółki.

W Polsce propozycja nałożenia kar na chińskie firmy spotyka się nie tylko ze sprzeciwem, lecz nawet z oburzeniem polityków liberalnych.

To absurdalna i oburzająca argumentacja – sprowadza całą wymianę handlową do czystego zysku, w pogardzie mając dobro obywateli oraz skutki środowiskowe. W rzeczywistości wszystkie próby ograniczenia ekspansji gigantów ekonomicznych zderzają się w Polsce z bardzo dużą krytyką, mimo że monopolizacja kapitału przez zagranicznych potentatów prowadzi do wykończenia mniejszych, szczególnie lokalnych przedsiębiorców.

Choć odsetek kupujących na platformach Shein czy Temu we Francji i w Polsce jest zbliżony (oficjalnie do takich zakupów przyznaje się ok. 30% w obu państwach), w Polsce istnieje o wiele większe przyzwolenie społeczne dla tego typu praktyk. Odbiór tego zjawiska w Polsce jest zupełnie inny ze względu na różnice kulturowe i społeczne. We Francji coraz częściej mówi się o etycznych i ekologicznych konsekwencjach masowych zakupów od chińskich gigantów e-commerce, a opinia publiczna i politycy wywierają presję na władze, by jak najszybciej wprowadzać regulacje ograniczające ultrafast fashion. W Polsce natomiast dominuje pragmatyzm konsumencki, co oznacza, że niższe ceny, szeroki wybór i dostępność produktów wciąż przeważają nad refleksją ekologiczną. O ile we Francji korzystanie z platform takich jak Temu bywa odbierane jako akt nieodpowiedzialności środowiskowej, o tyle w Polsce uchodzi za przejaw rozsądku ekonomicznego.

W Polsce coraz ważniejsze powinno być edukowanie społeczeństwa na temat szeroko pojętych konsekwencji fast fashion – zarówno ekologicznych, gospodarczych, jak i społecznych. Świadomość konsumencka pozwala obywatelom zrozumieć, w jaki sposób import ogromnych ilości tanich ubrań nie tylko przyczynia się do degradacji środowiska, ale również osłabia lokalnych producentów, zaburza zasady uczciwej konkurencji i prowadzi do utraty miejsc pracy w sektorze tekstylnym, który od dawna jest marginalizowany.

Koszty produkcji ubrań w Polsce są wielokrotnie wyższe, więc swobodny dostęp do ultrafast fashion znacząco utrudnia rozwój rodzimych przedsiębiorstw. Niestety, inicjatywy mające na celu zwiększenie świadomości i edukację konsumentów w tym zakresie wciąż są ograniczone, w praktyce tylko działacze partii Razem podejmują systematyczne działania edukacyjne, np. w mediach społecznościowych.

Shein, lider fast fashion znany z agresywnej ekspansji, planuje otwarcie sześciu stałych sklepów we Francji.

Debata publiczna koncentruje się przede wszystkim na korzyściach cenowych dla konsumentów, ignorując długofalowe skutki społeczne i środowiskowe. Warto zatem, wzorem Francji, wzmocnić kampanie informacyjne, prowadzić akcje uświadamiające i rozważać odpowiednie regulacje ustawodawcze, które pozwolą nie tylko chronić środowisko i wspierać lokalnych producentów, ale też kształtować bardziej świadome wybory, promując odpowiedzialną konsumpcję i trwałą gospodarkę odzieżową.

Sarah Bomba

eprasa.pl 66f0f55e4a



KLIMAT
a rozwarstwienie mieszkaniowe

Bogaci płacą za to, aby mieszkać w miejscach chronionych przed szokami klimatycznymi

R. Jisung Park

(...) Zauważmy, że cieplejsze części Stanów Zjednoczonych zazwyczaj charakteryzują niższe średnie dochody. Nie oznacza to, że osób o wysokich dochodach brakuje na południu, ani że nie znajdziemy biednych ludzi w północnych stanach, jak Massachusetts czy Waszyngton. Oznacza to jednak, że średnie dochody na południu i południowym zachodzie są niższe niż na północnym wschodzie czy wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża Pacyfiku. Ta korelacja, co może być zaskakujące, pozostaje aktualna także w innych krajach, w tym w dużej części Ameryki Północnej, Środkowej i Południowej. W wielu krajach, w tym w Stanach Zjednoczonych, Meksyku, Peru, Boliwii, Brazylii, Panamie i Wenezueli, gminy, które są średnio o 1 st. C cieplejsze, notują od 1,2% do 1,9% niższe dochody na mieszkańca.

Takie zależności występują często na znacznie bardziej lokalnych poziomach. W Kalifornii osoby z najniższego kwintyla (dolne 20% rozkładu dochodów – przyp. tłum.) dochodów żyją w miejscach, gdzie doświadcza się 70 dni rocznie z temperaturami powyżej 32 st. C. Ci z najwyższego kwintyla mierzą się z takimi wyzwaniami pogodowymi 26 dni rocznie. Innymi słowy, biedniejsi mieszkańcy Kalifornii doświadczają prawie trzykrotnie więcej dni w roku z potencjalnie niebezpiecznym upałem niż bogatsi mieszkańcy stanu.

Ta różnica nie wynika tylko z samego faktu, że bogatsi ludzie zwykle mieszkają w miastach w pobliżu wybrzeża, takich jak San Francisco i Monterey. Takie gradienty na osi temperatura-dochód wydają się ujawniać także w obrębie miast.

Podczas moich wędrówek po Los Angeles często zastanawiałem się nad tym, jak to możliwe, że w tym samym dniu temperatura w nadmorskiej i zalesionej Santa Monica plasuje się w zakresie 26-29 st. C, podczas gdy w Downey lub gdzieś w Inland Empire przekracza 37 st. C. Takie systematyczne różnice w wymiarze lokalnym dotyczące występowania upałów zostały udokumentowane w dziesiątkach innych miast.

Pojawia się pytanie: dlaczego lokalne klimaty są tak silnie skorelowane z dochodami? Jednym z wyjaśnień jest działanie sił rynkowych. Ponieważ ekstremalne upały są generalnie zjawiskiem niepożądanym, potencjalni właściciele domów i najemcy prawdopodobnie będą skłonni zapłacić wyższą cenę za

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66f0f55e4a

korzystniej położone lokalizacje, przy założeniu, że inne uwarunkowania będą z grubsza takie same. Innymi słowy, dynamika podaży i popytu na rynku nieruchomości może naturalnie generować „premię" za mieszkanie w Santa Monica w porównaniu z osiedleniem się w Downey. Mogą na to nakładać się inne czynniki – jeśli przestrzeń w pożądanych lokalizacjach jest ograniczona ze względu na geografię lub z powodu lokalnych przepisów (na przykład dotyczących gęstości zabudowy), popyt może jeszcze bardziej przekraczać podaż, podbijając ceny w tych pożądanych miejscach jeszcze bardziej. Jeśli drogi są zatłoczone i czas dojazdu do pracy wydłuża się wraz z odległością, co przekłada się ujemnie na koszty przemieszczania się z punktu A do punktu B, takie premie mogą być jeszcze wyższe.

Oczywiście rzadko zdarza się, aby udział pozaklimatycznych czynników atrakcyjności danej lokalizacji był taki sam: Santa Monica może być pożądana także ze względu na dostęp do modnych miejsc rozrywki i bliskość miejsc pracy w branży technologicznej. Domy mogą być tam większe, nowsze i bardziej luksusowe niż w Downey. Jednakże – na tyle, na ile można oprzeć się na założeniu „wszystkie inne czynniki równe" – teoria ekonomiczna przewidywałaby premię za udogodnienia, związaną z łagodniejszym klimatem.

Przewidywanie to wydaje się znajdować potwierdzenie w danych. Zgodnie z analizami ekonomistów Davida Albouya, Ryana Kelloga, Waltera Grafa i Hendrika Wolffa oraz podobnymi analizami Paramity Sinhi, Marthy Caulkins i Maureen Cropper Amerykanie co do zasady preferują lokalizacje z mniejszą liczbą dni ekstremalnych upałów i są skłonni zapłacić za nie więcej. W jednym z badań Albouy i współpracownicy przetestowali tę hipotezę, korzystając z danych z ponad 2 tys. amerykańskich miast. Wykorzystując szczegółowe codzienne dane meteorologiczne oraz szeroki zakres cech związanych z nieruchomościami i miastami (takich jak liczba sypialni oraz dostęp do miejsc pracy), próbowali wyeliminować udział wszystkich innych czynników i nadać im status „równych", aby dokonać możliwie celnych porównań. Wniosek był taki, że amerykańskie gospodarstwa domowe są skłonne płacić znaczną premię za mieszkanie w miejscach o bardziej przyjemnym klimacie. Byłyby w stanie dopłacić, byle uniknąć zarówno bardzo gorących, jak i bardzo zimnych dni. Zasadniczo preferują dni z maksymalnymi temperaturami w przedziale 15-20 st. C.

Co istotne, te szacunki uwzględniają fakt, że bardziej ekstremalne klimaty będą wymagały większych wydatków na ogrzewanie i chłodzenie. Można na tej podstawie wyłuskać coś, co można by nazwać niematerialną wartością mieszkania, położonego w przyjemniejszym lokalnym mikroklimacie, a przez to oferującego wiele luksusowych udogodnień, typu możliwość częstszego spacerowania z dziećmi lub psem czy uniknięcia irytującego pocenia się w drodze na stację metra lub przystanek autobusowy, czy po prostu mniejsze ryzyko potencjalnych przerw w dostawie prądu (typowych podczas fali upałów lub wielkiej zimowej burzy). Oznacza to, że nawet w danym stanie lub mieście bogaci ludzie płacą za to, aby mieszkać w miejscach naturalnie chronionych przed szokami klimatycznymi, a biedni często do końca życia pozostają w obszarach mniej pożądanych, a do tego mają wyższe rachunki za ogrzewanie i chłodzenie. Podobne badania zostały powtórzone w pokrewnych kulturowo krajach, m.in. we Włoszech i w Wielkiej Brytanii, i przyniosły takie same wyniki.

Cieplejsze części Stanów Zjednoczonych zazwyczaj charakteryzują niższe średnie dochody.

Wiele amerykańskich miast wykazuje ponadto podobne korelacje między dochodami na poziomie sąsiedztwa a częstotliwością gorących dni. Wydaje się więc, że jako gatunek płacimy za osiedlanie się w miejscach, które odpowiadają naszym preferencjom klimatycznym – przynajmniej, gdy nas na to stać. Podobnie, jak to było w bajce o Złotowłosej i Trzech Niedźwiedziach, wyrażamy życzenie, aby było nie za gorąco, nie za zimno, ale w sam raz. Udowodniono, że w stosunkowo zimnych krajach ta zależność między temperaturą a dochodami jest odwrócona – bogatsze gospodarstwa domowe



eprasa.pl 66f0f55e4a

zdecydowanie preferują cieplejsze części kraju. (…)

W niektórych przypadkach wskazać można rasowy wymiar nierówności. Jak się wydaje, w miastach takich jak Baltimore, Denver, Dallas, Nowy Jork i Miami w porze letniej dzielnice biedne i zamieszkane przez wyższy odsetek osób „kolorowych" są znacznie cieplejsze niż bogatsze, „bielsze" obszary w tym samym mieście.

Nie bez znaczenia są ilość zieleni i pokrycie drzewami. „Przechodząc przez różne dzielnice, widzi się miejsca, które mają dużo zieleni, i te, które jej nie mają", zauważa w wywiadzie dla „New York Timesa" jeden z mieszkańców Richmond w stanie Wirginia. Jego dzielnica o niskich dochodach i dużym odsetku zamieszkujących ją mniejszości jest w ledwie 12% pokryta zielenią. W porównaniu z tym w pobliskich, przeważnie „białych" dzielnicach wskaźnik ten wynosi 42%. Inne przyczyny tego stanu rzeczy to obecność dodatkowych źródeł ciepła: obiektów przemysłowych, asfaltowych parkingów oraz dużych autostrad.

W niektórych badaniach udało się prześledzić owo zjawisko aż do poziomu leżących u ich podstaw regulacji, w tym tzw. redliningu, w ramach którego rząd federalny USA w latach 30. XX w. stworzył specjalne mapy jako wskaźniki oceny różnych dzielnic pod kątem ryzyka inwestowania w nieruchomości. Trudno ustalić, jaki był przyczynowy wpływ redliningu na obecność drzew i inne czynniki wpływające na efekt miejskiej wyspy ciepła, głównie z powodu nałożenia się wielu innych czynników, jak lokalne dochody z podatków i skład demograficzny, które mogłyby ostatecznie prowadzić do takich różnic. Jednak wiemy, że nieruchomości są ważnym mechanizmem budowania majątku, a redlining przyczynił się do oceny finansowej mieszkań, odmiennej dla różnych grup rasowych.

Owe różnice rasowe sprawiły, że pojawiły się głosy nawołujące do działania. (…) Rzeczywiście, niektóre miasta stawiają równość rasową w centrum swoich wysiłków na rzecz wzmocnienia odporności klimatycznej. Takie działania dają nam wgląd w złożoność projektów politycznych i uzasadniają potrzebę zdobycia lepszych danych do podejmowania świadomych decyzji adaptacyjnych. Często są to wielkie kampanie na rzecz tworzenia parków i projektów odnowy miejskiej, które sprzyjają odporności klimatycznej. Więcej przestrzeni parkowej w miastach oznacza przecież redukcję ciepła i lokalnego zanieczyszczenia powietrza. Drzewa chronią ponadto przed nagłymi powodziami, zatrzymując więcej wody deszczowej w systemach korzeniowych.

Z drugiej strony, takie działania ukierunkowane na konkretne miejsca mogą czasami mieć niezamierzone konsekwencje, zdolne osłabić lub nawet zniweczyć wszelkie korzyści związane z równością. Ponieważ projekty odnowy miejskiej prowadzą często do zwiększenia atrakcyjności danych dzielnic, wartości położonych tam nieruchomości wykazują tendencję do wzrostu, w ślad za rosnącym na nie popytem. Jeśli więc mieszkańcy należący do mniejszości, do których te polityki były skierowane, nie są właścicielami domów (co jest prawdopodobne, biorąc pod uwagę silne powiązania między dochodami i rasą a posiadaniem nieruchomości), najpewniej nie będą w stanie skapitalizować tych zysków. Co więcej, najemcy mogą być bardziej narażeni na podwyżki czynszów. W efekcie inicjatywy dobrze zaplanowane z punktu widzenia odporności klimatycznej mogą ostatecznie przyspieszyć lokalną gentryfikację.

W wielu krajach gminy, które są o 1 st. C cieplejsze, notują od 1,2% do 1,9% niższe dochody na mieszkańca.

Takie hipotetyczne projekcje nie powinny kwestionować samej zasadności tych zmian, a jedynie naświetlić kwestię, że problem, który rozwiązuje się na drodze tych zmian, komplikuje działanie sił rynkowych. Można tu dostrzec dwa poważne wyzwania. Pierwszym jest to, że w przypadku rasowego wymiaru sprawiedliwości klimatycznej (lub szeroko pojętej sprawiedliwości ekologicznej) często trudno jest rozdzielić problemy rasizmu per se od ubóstwa lub innego czynnika prowadzącego do różnic pod względem narażenia na zmiany klimatyczne. Po drugie, jeśli chcemy, aby polityki mające u podstaw wzmocnienie sprawiedliwości rasowej przyniosły zamierzony efekt, musimy mieć jaśniejszy obraz przyczyn tych nierówności oraz tego, jak projektowane transformacje będą współdziałać ze wszelkimi innymi siłami ekonomicznymi.

Wynika z tego, że regulacje podbudowane słusznymi intencjami, ale bez towarzyszącej im diagnozy źródeł nierówności klimatycznych, mogą ostatecznie prowadzić do zmarnotrawienia zasobów publicznych. Można wyobrazić sobie alternatywne projekty polityczne, które uwzględniają tego rodzaju zastrzeżenia – np. poprzez skierowanie pomocy do gospodarstw domowych będących w niekorzystnej sytuacji, a nie do określonych miejsc lub łączenie regulacji skierowanych w konkretne miejsca z innymi formami wsparcia. (…)

Powtórzmy: ważnym elementem tej układanki jest to, jak reagują rynki. Jeśli biedniejsi ludzie generalnie stają przed trudniejszymi wyborami w życiu i w związku z tym postrzegają jakość środowiska jako luksus, na który ich nie stać, dynamika rynku nieruchomości może ich wypchnąć z „ulepszonych" dzielnic z powrotem do ekologicznie deficytowych, ale tańszych dzielnic. Z drugiej strony, jeśli biedniejsi ludzie woleliby płacić więcej na lokalne dobra publiczne, takie jak parki, zieleń czy klimatyzowane klasy, ale trudniej jest im zmobilizować potrzebne do tego siły politycznego nacisku, w interesie publicznym leży rozwiązanie takich problemów poprzez szersze regulacje.



Fragmenty książki R. Jisung Parka *Niewidzialny pożar. Ukryte koszty zmian klimatycznych*, tłum. Szymon Drobniak, Copernicus Center Press, Kraków 2025

eprasa.pl 66f0f55e4a



Wspomnienia psychologa policyjnego

WĘDKARZ, CZYLI CO SIĘ STAŁO Z EDYTĄ

Jan Gołębiowski

– Jak pan myśli, zabił ją? – zapytał zero-drugi (zastępca komendanta, ten był do spraw kryminalnych) komendy rejonowej.

Zaginęła młoda kobieta imieniem Edyta. Była po studiach, pracowała w korporacji, miała własne mieszkanie. Sympatyczna, pracowita, punktualna, obowiązkowa i trzymająca się zasad. Przez kilka ostatnich miesięcy spotykała się z chłopakiem, którego poznała przez internet. Zafascynował ją, wyznał miłość, planowali się zaręczyć. On miał pochodzić z lekarskiej rodziny, siostra miała wyjść za mąż we Włoszech, a dziadek podobno był słynnym filmowcem. Chłopak studiował prawo, specjalizację podjął w katedrze kryminologii. Miał znać słynnego profesora Brunona Hołysta i przeprowadzać dla niego analizę zabójstwa gen. Marka Papały. Wcześniej studiował na AWF i trenował kick-boxing. Prowadził zajęcia sportów walki dla dzieci, był w Legii Cudzoziemskiej, a ostatnio rozwijał firmę internetową, instalował sieci i inwestował w serwery.

– Sprawdziliśmy go i to wszystko ściema. – Zero-drugi zmarszczył nos. – Przedwczoraj pytaliśmy go, co robił w ciągu dnia. Mówił, że siedział cały czas w domu. Z logowań jego telefonu wiemy, że jeździł po mieście. Po co kłamie, jeśli nie musi?

– Może nie ufa policji? Ale może chce coś ukryć, czyli może mieć związek z zaginięciem Edyty – odpowiedziałem. – Ta wymyślona historia na własny temat pokazuje, że jest nieszczery, tylko z jakiego powodu?

– O ojcu niewiele wiadomo, matka ledwo spina koniec z końcem. Lekarzy znają chyba tylko z wizyt w przychodni. Siostry nie ma w ogóle, tym bardziej we Włoszech. Najemnik w Jugosławii? Kategoria „D", niezdolny do służby wojskowej. Zaczął studia na prywatnej uczelni, ale szybko porzucił naukę. Firmy też nie prowadzi. A ten dziadek reżyser to tylko zbieżność nazwisk, żadnego pokrewieństwa – podsumował komendant.

– Chce się zaprezentować jako człowiek sukcesu, ktoś z wyższych sfer, ale jednocześnie twardziel i prawdziwy facet. Oszukiwał dziewczynę i to świadczy na jego niekorzyść. Mitomańskie zachowania często wiążą się z zaburzoną osobowością. Najprawdopodobniej ma kompleksy. Do tego dochodzi jeszcze patologiczne kłamstwo. – Zaczynałem tworzyć portret psychologiczny chłopaka. Nie wróżył niczego dobrego.

Edyta poznała Arka na portalu randkowym, wkrótce zaczęli spotykać się w realu. Najpierw na mieście, potem u niej. Nigdy u niego. Arek opowiadał o sobie niestworzone historie, a Edyta była szczęśliwa, że trafiła na takiego wspaniałego chłopaka. Namówił ją, żeby pożyczyła mu pieniądze na rozwinięcie interesu, nie mógł czekać na przyznanie kredytu, a taka okazja mogła już się nie trafić. Suma potrzebna Arkowi rosła, więc

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 66f0f55e4a

Edyta pożyczyła pieniądze od znajomych. Miała opinię osoby rzetelnej i słownej, nikt nie miał problemu, żeby jej pożyczyć. W sumie dziewczyna dała mu ok. 70 tys. zł.

Edyta i Arek snuli plany na przyszłość, planowali ślub. Lada dzień miała przyjechać jego siostra z Mediolanu z pierścionkiem zaręczynowym roboty włoskich złotników. Zbliżał się wspólny długi weekend 11 listopada. Edyta pierwszy raz pojechała do Arka, ale okazuje się, że nie do jego własnego mieszkania, tylko wynajętego. Nikt więcej jej nie widział.

Następnym razem do komendy rejonowej zajmującej się sprawą zaginięcia Edyty poszliśmy z Darkiem Piotrowiczem. Mieliśmy przeprowadzić z jej siostrą wywiad wiktymologiczny. Taki wywiad polega na zbieraniu informacji o ofierze, żeby zidentyfikować możliwe czynniki ryzyka, że ktoś stanie się ofiarą przestępstwa. Robiliśmy to również po to, żeby wykluczyć bądź potwierdzić skłonności samobójcze i prawdopodobieństwo wystąpienia zaburzeń psychicznych skutkujących zerwaniem kontaktów z najbliższą rodziną. Podejrzewaliśmy najczarniejszy scenariusz, że kobieta padła ofiarą zabójstwa. (…) Naszym głównym podejrzanym był Arek, więc pytaliśmy o ich relację. (…)

Okoliczności jej zaginięcia wydawały się siostrze dziwne. Edyta była sumienna, dokładnie wszystko planowała i trzymała się przyjętych założeń. Tak też była postrzegana w pracy – gdy utknęła rano w korku, od razu dzwoniła do biura, że się spóźni. Arek wprowadził spontaniczność w poukładane życie Edyty. Dawała mu się namówić na niespodziewane aktywności, już po miesiącu znajomości zaczęła mówić o zaręczynach i ślubie. Pytała siostrę, czy pojedzie z nią wybierać suknię ślubną, ale nigdy nie przedstawiła Arka rodzinie. Zawsze z jego strony były jakieś problemy logistyczne. (…)

Dostałem do analizy notatniki Arkadiusza oraz zawartość jego komputera. Przeglądałem więc wszystko, w tym wypowiedzi Arka zamieszczone na internetowym forum dla wędkarzy, bo był zapalonym „moczykijem". Jego notatniki były dziennikami wędkarza, w których notował każdy połów. Miał potrzebę pedantycznego opisania ważnych dla niego szczegółów. Mieszały się tu obserwacje zachowania ryb, osobiste przemyślenia, listy złowionych sztuk z ich wymiarami i wagą, oraz sprzętu wędkarskiego, jakiego używał.

Działał metodycznie, analizował. Obserwował np. polowania szczupaków na żaby, żeby potem wykorzystać ich nawyki, używając żywych żab jako przynęty. (…) Było tego kilka zeszytów. W notatkach Arka widać było rys obsesyjno-kompulsywny, charakteryzujący się natręctwami na poziomie myśli i przymusowymi zachowaniami.

Do wędkarstwa Arek podchodził poważnie, nie traktował tego zajęcia jak rozrywki, ale jak ważną aktywność życiową. Wędkarstwo to była dla niego sprawa osobista, ważna dla jego struktury i obrazu własnego „ja". W notatniku opisywał, jak walczył ze swoimi słabościami, godzinami stał w zimnej wodzie, żeby złowić odpowiednią rybę. Nie może przecież przegrać z rybą – „albo ja, albo ona". (…)

W internecie pozował na eksperta, wypowiadając się stanowczo na wiele tematów, często przyjmując nastawienie konfrontacyjne. Czuł się lepszy od innych i był nastawiony na rywalizację. „Ja tez bym się z tobą kłucił (to i dalej pisownia oryginalna) – pisał. – Używam sztywnych kijów (bo lubię). No chyba ze używasz jakiegoś cieniutkiego i mięciutkiego kijka dla onanistów".

Stwierdziłem, że Arek jest osobą egocentryczną i narcystyczną. Przedstawia się jako specjalista od połowu ryb (ale tylko tych, których połów jest prestiżowy, np. szczupaków, sumów, i wymaga specjalnych umiejętności), ekspert od broni palnej i białej (bez szczegółów pisze na temat swojego przeszkolenia militarnego i doświadczeń z pola walki). Mimo że jest to portal dla wędkarzy, wypowiada się na tematy społeczne, np. problemu kłusownictwa, sankcji karnych i używania przemocy, a nawet snuje filozoficzne rozważania na temat litości i okrucieństwa. Komunikuje gotowość do podjęcia kategorycznych działań, np. użycia broni w celu obrony własnego terytorium. „Znam bagna prawie nie do przebycia, długo mi zajęło wytyczenie tam własnych ścierzek. Gdybym kiedyś uciekał przed jakąś obławą, to tam mógłbym się bronić aż do zimy", pisał.

Z wpisów Arkadiusza można wywnioskować, że postrzega otoczenie społeczne w sposób rywalizacyjny i zagrażający. Z ludźmi współzawodniczy zamiast współpracować, nie opisuje żadnej głębokiej relacji z drugim człowiekiem. Jeżeli już pojawiają się w jego narracji inni ludzie, są traktowani instrumentalnie. Arek jest osobą samotną w sensie psychologicznym, a więc ma poczucie osamotnienia, niemożności bycia zrozumianym przez innych. Swoje samotnictwo postrzega jako coś, co go wyróżnia, a nawet nobilituje – zapewne jest to racjonalizacja, czyli mechanizm obronny.

Samotność mu doskwiera, więc musi zmienić jej postrzeganie. Ma niestabilną samoocenę z tendencją do zaniżonego poczucia własnej wartości, którą musi nieustannie podnosić przez specyficzne relacje społeczne. Jego samoocena zależna jest od tego, jak jest postrzegany przez otoczenie, dlatego tak istotny jest dla niego jego wizerunek.

Arek opowiadał o sobie niestworzone historie, a Edyta była szczęśliwa, że trafiła na takiego wspaniałego chłopaka.

Edyta pierwszy raz pojechała do Arka, ale nie do jego mieszkania, tylko wynajętego. Nikt więcej jej nie widział.

eprasa.pl 66f0f55e4a

Przeglądając artykuły, jakie Arek ściągał z internetu, znalazłem dwa teksty, które sam napisałem. Zamieściłem je kiedyś na popularnej stronie poświęconej tematyce seryjnych morderców. Artykuły zawierały analizę psychokryminalistyczną przypadków Tadeusza Ołdaka i Bogdana Arnolda. W tym momencie przypomniałem sobie wspomnienia jednego z ojców profilowania kryminalnego, agenta FBI Roberta Resslera, który spotykając się z najbardziej rozpoznawalnym na świecie seryjnym zabójcą Tedem Bundym, usłyszał od niego, że ten czytał artykuły Resslera, niektóre z nich miał nawet w więziennej celi.

Kryminologia, kryminalistyka i medycyna sądowa – to była druga po rybach pasja Arkadiusza. (…) Posiadał dużą wiedzę o sposobie działania seryjnych morderców, głównie na podstawie informacji z internetu. Posiadał też książki z zakresu kryminologii, kryminalistyki oraz podstaw medycyny i anatomii. Na marginesie jednej ze stron zanotował ołówkiem: „Nie ma ciała, nie ma zbrodni".

Jedną z niechlubnych postaci z towarzystwa, którym interesował się Arkadiusz, był Jeffrey Dahmer – seryjny zabójca z USA, który zamordował 17 osób. Do jego modus operandi należało rozkawałkowywanie w wannie zwłok ofiar. Ułatwiał sobie w ten sposób usuwanie śladów, głównie krwi. Arkadiusz ściągał zdjęcia ćwiartowanych ofiar, które robił sam Dahmer i które wciąż krążą po sieci. Arek raz opisał analogiczną sytuację: „Pamiętam, jak kiedyś wziąłem do domu suma prawie 30 kg i patroszyłem go w łazience (…). Potem flaki wynosiłem w reklamówce, która rozwaliła się w windzie pełnej ludzi. Koszmar". Reakcja ludzi go rozbawiła, ich przerażenie i obrzydzenie sprawiło, że poczuł się dobrze. Dla mnie oznaczało to, że Arkadiusz miał wyrobiony schemat poznawczy, a nawet pewne doświadczenie praktyczne dotyczące możliwości patroszenia i rozkawałkowywania ciała (w tym przypadku ryby) w wannie.

Arek posiadał też ściągnięte z internetu sadomasochistyczne zdjęcia pornograficzne, w programie graficznym wklejał do nich twarz pewnej dziewczyny, swojej niespełnionej miłości. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że miało to na celu pobudzenie i zaspokojenie fantazji seksualnych Arkadiusza, a nie szantaż czy próbę szkalowania opinii dziewczyny. Robił to dla siebie.

W jego komunikacji znalazłem ciekawy wątek: „Mam pytanko do karpiarzy. Ja się takim prawdziwym specjalistycznym karpiarstwem nie zajmowałem, ale zaznaczam, że to nie żart! Jest coś takiego, jak rozpuszczalna żyłka i mam kilka pytań. Jaką wytrzymałość ma ta żyłka? Czy można np. z odcinka 5 m zapleść sznurek 3 m tak, by miał około 1 cm średnicy? Jak długo by się to rozpuszczało? Czy jak ona się już rozpuści w wodzie, to zostają jakieś ślady po tej żyłce (wtedy już sznurku)? To znaczy, czy znika ona bez śladu?".

Przeglądając artykuły, jakie Arek ściągał z internetu, znalazłem teksty, które sam napisałem i zamieściłem na stronie o seryjnych mordercach.

Jeden z internautów prawidłowo ocenił wpis: „Brzmi to jak początek powieści kryminalnej lub przynajmniej założenia do przestępstwa doskonałego. Niestety muszę cię zmartwić. Moim zdaniem nie uda ci się zapleść takiego sznurka, ponieważ rozpuszczalna żyłka zacznie reagować z wilgocią z twoich dłoni i moim zdaniem będzie się rwać. Może jednak istnieje inny sposób rozwiązania twojego problemu. Pozdrawiam, Krzysiek".

Arek nie dawał za wygraną: „Jakie masz rozwiązanie? No dawaj, dawaj…". Gdy nie doczekał się odpowiedzi, sam jej sobie udzielił: „Problem wilgoci z dłoni można rozwiązać poprzez rękawiczki (…). Wystarczy, że linka utrzyma swoje właściwości przez kilka, kilkanaście minut".

Według mnie rys osobowościowy Arkadiusza posiadał te same elementy, które można wyróżnić w osobowościach przestępców stosujących przemoc z silnej motywacji seksualnej. Ten typ przestępców posiada też największy „potencjał seryjności". Wszystko się zgadzało: egocentryzm i egoizm, instrumentalne traktowanie innych ludzi, brak prawdziwych i satysfakcjonujących



eprasa.pl 66f0f55e4a

więzi z innymi osobami. Obniżona i niepewna samoocena prowadząca do stworzenia i prezentowania nieprawdziwej tożsamości na potrzeby sytuacji społecznych, rekompensowanie porażek i krachów życiowych uciekaniem w idealistyczny świat fantazji i marzeń, podnoszenie samooceny dominowaniem nad wybranymi z otoczenia osobami, które wydają się słabsze od niego. Zainteresowanie militariami, polowaniem, pracą służb mundurowych, kryminologią, obszarami, których cechą wspólną są dominacja, przemoc, cierpienie. Problemy z realną oceną własnej osoby, samokrytycyzmem, wglądem w przyczyny własnego działania, trudności z wyciąganiem wniosków z porażek i sukcesów. Wreszcie – skłonność do kłamania, czyli tzw. patologiczne kłamstwo. Arek spełniał kryteria zaburzonej osobowości dyssocjalnej z cechami narcystycznymi.

Śledztwo nabierało tempa. Przypadkiem policjanci znaleźli umowę najmu mieszkania, w którym doszło do ostatniego spotkania Arkadiusza z Edytą. Właścicielka zapytana przez policjantów, czy coś zwróciło jej uwagę, odpowiedziała, że łazienka wydaje się wysprzątana tak, jakby ktoś szorował kafelki, nawet fuga jest jaśniejsza.

Liczniki wykazały niespotykane zużycie wody jak na miesiąc wynajmu. Kryminalnym zapaliła się czerwona lampka – sprawdzono brodzik i w kolanku odpływowym znaleziono brunatne ślady, które okazały się krwią. Po analizie DNA potwierdzono, że to krew Edyty.

Gdy podjęto decyzję o zatrzymaniu Arkadiusza, komendant zapytał nas, czy lepiej zatrzymywać go „na miękko", czy „na twardo". Pierwsze polega tym, że policjanci przychodzą z kajdankami i mówią: „Dzień dobry, jest pan zatrzymany i mamy nakaz doprowadzenia do komendy policji". „Na twardo", jak można się domyśleć, uwzględnia użycie granatu hukowego, udział grupy szturmowej krzyczącej: „Na glebę! Policja!", rzucenie delikwentem o podłogę i skucie kajdankami. Zastanawialiśmy się z Darkiem, co może zadziałać na Arka. Zatrzymanie jest pierwszym elementem strategii złamania sprawcy. Po zatrzymaniu „na twardo" pierwszy przesłuchujący za biurkiem dochodzeniowiec może łatwo wejść w rolę „dobrego policjanta", bo zatrzymanie przeprowadzali ci „źli".

Jednak zatrzymanie z hukiem pokazuje, że sprawa od początku jest poważna, więc uniemożliwia stosowanie subtelnych oddziaływań. Byłem zdania, że spektakularne zatrzymanie dowartościuje Arka, który poczuje się jak bohater filmów sensacyjnych i historii, które przywoływał w swoich wpisach. Wzmocnienie jego ego komplementami, wyrazami podziwu godnymi geniusza zbrodni może spowodować, że uwierzy, że to sytuacja jak z filmu. Wtedy jest szansa, że się zapomni i poda istotne dla śledztwa informacje.

Chodziło głównie o to, gdzie jest ciało Edyty. Zgłosiłem się do udziału w przesłuchaniu. Wierzyłem, że temat seryjnych morderców może być naszą platformą do porozumienia. Będziemy rozmawiać jak równy z równym. Gdy przedstawiliśmy swoje psychologiczne pomysły, zero-drugi pokiwał z zainteresowaniem głową i zapytał z rozbrajającą szczerością:

– A gdyby mu tak wpierdolić?

Metoda stara jak świat, chociaż o stosunkowo małej skuteczności.

– Ja bym go najpierw trochę podpuścił. – Broniłem naszego stanowiska.

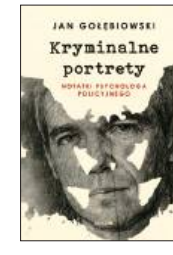
Z usług psychologa w czasie przesłuchania podejrzanego nie skorzystano. Nigdy nie spotkałem więc Arkadiusza osobiście, ten „zaszczyt" spotkał jednak Darka Piotrowicza. Arkadiusz zawiadomił prokuraturę, że przesłuchujący go po zatrzymaniu policjanci znęcali się nad nim, a Darek miał opiniować jego zeznania w tej sprawie.

Arek został zatrzymany 14 lutego, w walentynki. Może w jakiś przewrotny sposób oddano w ten sposób cześć Edycie? W areszcie spędził osiem lat. To długo jak na etap czynności przygotowawczych. Proces był trudny, poszlakowy. Nie było ciała ofiary, a oskarżony się nie przyznawał. (…) Arkadiusz, mimo że nie przyznał się do przestępstwa, zwracał uwagę, że powinien w areszcie nosić czerwony drelich zarezerwowany dla niebezpiecznych przestępców. Za kratami to uniform wyróżniający więźnia niebezpiecznego z szarej masy zwykłych osadzonych. W jego oczach – prestiżowy.

W naszej ocenie Arek zabił Edytę w wynajętym mieszkaniu, ciało poćwiartował w brodziku, wzorując się na Dahmerze, i wywiózł poza Warszawę. Musiał je ukryć gdzieś na obszarze swoich wędkarskich eskapad. Jak sam napisał – znał dobrze bagna i rozlewiska rzek. Motywacja jak zawsze nie była jednowymiarowa, składała się z kilku czynników. Wyłudzenie pieniędzy od Edyty to racjonalny powód. Poza tym Arek chciał się wyplątać z niechcianego tak naprawdę związku i zobowiązań małżeńskich. Uchroniłoby go to też od konfrontacji ze wszystkimi kłamstwami, jakich naopowiadał. W mojej ocenie najistotniejsza dla niego była chęć zabicia człowieka. Arkadiusz chciał przekonać się, jak to jest, jakie to uczucie. Zapewne przekroczenie najsilniejszego tabu społecznego uczyniłoby go kimś wyjątkowym – w jego oczach wyjątkowym w sensie pozytywnym. Dokonanie zabójstwa podniosłoby jego samoocenę.

Wreszcie, 11 lat po zabójstwie Edyty, zapadł wyrok. Arkadiusz został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Wyczerpał wszystkie możliwości odwoławcze. Nigdy nie opuści więzienia.

Kryminologia była drugą po rybach pasją Arkadiusza. Na marginesie książki zanotował: „Nie ma ciała, nie ma zbrodni".



Fragmenty książki Jana Gołębiowskiego *Kryminalne portrety. Notatki psychologa policyjnego*, Mando, Kraków 2025

eprasa.pl 66f0f55e4a

Wiejski stół Juliusa Robertsa

ĆWICZENIA Z DOPRAWIANIA



W tej książce często pojawia się zalecenie „spróbuj i ewentualnie dopraw do smaku". Chcę wyjaśnić, co to właściwie znaczy. Doprawianie to sztuka wydobywania z każdego składnika pełni smaku i aromatu. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o równowagę i harmonię między ilością soli, tłuszczu i kwaśnych dodatków. (…) Każdy dobry kucharz raz po raz sprawdza efekty swojej pracy, zanurza w potrawie palce i łyżki, stale coś poprawia, bierze czynny udział w procesie przygotowywania marmolady, ciasta czy duszonego mięsa. Wypełniwszy co do joty polecenia z przepisu, popełnilibyśmy kardynalny błąd, doprawiając potrawę dopiero pod koniec przygotowania.

Sól wydobywa z dania naturalną słodycz, podkreśla aromaty i tłumi nadmiar goryczy. Weźmy gałązkę fioletowego brokułu, ugotujmy we wrzątku i zjedzmy. (…) Jeśli sam brokuł jest dobry, niewiele mu potrzeba. Spróbujmy jednak lekko posolić wodę, w której się gotuje. W sam raz, tyle, by czuć było słony smak (maleńka szczypta nic nie wniesie). W brokuły od razu wstępuje nowe życie. Zupełnie inaczej smakuje jedzenie posolone po wierzchu, pod koniec, a inaczej, gdy soli się je w trakcie gotowania. Sól powinna je przeniknąć, by wydobyć aromat. Duża szczypta soli dodana na sam koniec sprawi, że potrawa będzie słona, a nie smaczna.

Sól należy traktować jako składnik, a jej jakość decydująco wpływa na smak dania. Potrawy doprawiam dobrą solą morską w płatkach, ale nie marnowałbym jej np. do solenia wody na makaron – wtedy używam przyzwoitej zwykłej soli morskiej albo kamiennej. Przyzwyczaiłem się do jednego rodzaju soli, dzięki czemu palcami wyczuwam odpowiednią wielkość szczypty. Doprawianie jest jak mięsień, który trzeba wyćwiczyć. (…)

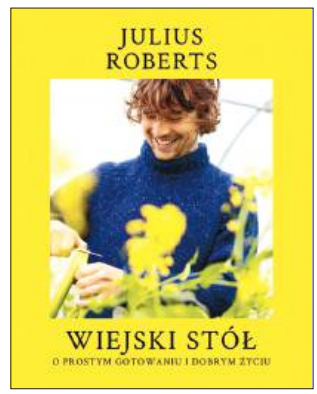
Warto podkreślić, że sól nie tylko poprawia smak potrawy, lecz także odgrywa ważną rolę w procesie gotowania. Cukinie i cebula bez soli smażą się dłużej i łatwo się przypalają. Spora szczypta soli podkreśla smak warzyw i wyciąga z nich wodę, dzięki czemu miękną i smażą się we własnych skoncentrowanych sokach. Stek przed smażeniem warto porządnie osolić i odłożyć. Mięso będzie delikatniejsze, bardziej soczyste i aromatyczne.

Tłuszcz to kolejny składnik, który decyduje o smaku i go dopełnia. Jest również nośnikiem i aktywatorem witamin i minerałów. Tłuszcz przybiera rozmaite postacie: oliwa, burrata, jogurt, masło, pancetta, smalec i guanciale. Jest też crème fraîche, mleko kokosowe, olej rzepakowy i ghee. Dzięki tłuszczowi smak i konsystencja stają się spójne, proces gotowania zachodzi o wiele łatwiej, aromaty się łączą, a soki żywo krążą.

Mamy też dodatki kwaśne, które w tandemie z solą rozjaśniają i dopełniają smak. Dzięki nim tłusta konsystencja zyskuje niezbędną lekkość i wyraziste tło. Zaleca się jednak ostrożność, bo zdarza się im zdominować potrawę. W przypadku bolognese delikatnie kwaskowe pomidory nadają pewną lekkość ciężkiemu mięsnemu ragù – kilka kropli soku z cytryny mogłoby jednak całkowicie zdominować subtelny mariaż aromatów. Tymczasem maślane brokuły czy rybny filet doprawiony sokiem z cytryny to czysta przyjemność. Potraktujmy tłuszcz i kwas jak kulinarne *jin* i *jang*, sól zaś jako stałą wartość, która wydobywa i podkreśla smak. Nie zawsze trzeba użyć wszystkich trzech. Dobrym przykładem jest carbonara, gdzie kilka różnych tłuszczów i słonych składników tworzy bogaty, jedwabisty sos, któremu kwaśne dodatki nie są do niczego potrzebne.

Trudno pokrótce objaśnić, na czym polega doprawianie, ale trening czyni mistrza i sądzę, że można się tego względnie łatwo nauczyć. Musimy polegać na instynkcie, wciąż próbować, korygować drobnymi ruchami, powoli i często. Należy jednak pamiętać, że jedynie podkreślamy smaki. Korzystając z sezonowych produktów i starannie je doprawiając, zmieniamy jakość naszego gotowania. ■

Julius Roberts – kucharz, rolnik, ogrodnik. Pracował w londyńskiej restauracji Noble Rot, ale z dnia na dzień wywrócił swoje życie do góry nogami i został farmerem. Prowadzi też własne programy kulinarne i pisze książki kucharskie. „Wiejski stół" (właśnie się ukazał nakładem Wydawnictwa Buchmann) to opowieść o życiu na farmie, opiece nad zwierzętami, przekopywaniu grządek i zbieraniu owoców. A przede wszystkim o gotowaniu – domowym, prostym i zdrowym.



eprasa.pl 66f0f55e4a

KREM BURACZANY Z DODATKAMI

8 DUŻYCH MISEK



1,5 kg buraków; 100 ml octu jabłkowego; 200 ml crème fraîche lub śmietany kremówki

Dodatki:

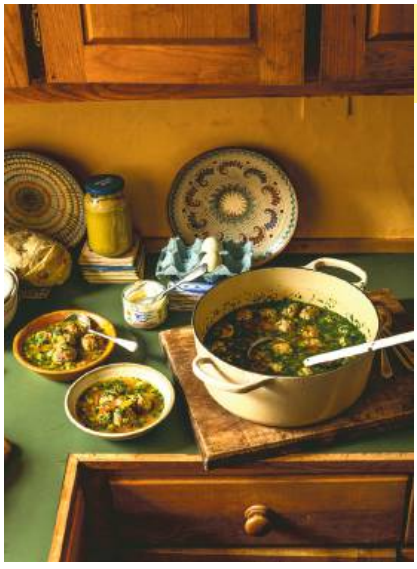
kilka plasterków wędzonego węgorza i łyżka ostrego chrzanu; kozi ser i koperek; jogurt naturalny i prażone nasiona kminu

Najpierw dokładnie wyszoruj buraki w zlewie, by usunąć piasek. Nie obieraj ich ani nie przycinaj, żeby zachować żywy kolor. Umieść buraki w dużym rondlu i zalej wodą, następnie dolej ocet i dopraw sporą garścią soli. Doprowadź do wrzenia i gotuj na małym ogniu pod pokrywką przez godzinę, aż buraki całkiem zmiękną. Ostrze noża powinno się w nie wbić bez oporu.

Wywar zachowaj w garnku, a buraki przełóż do miski, by ostygły. Zdejmij skórkę: powinna łatwo zejść po naciśnięciu kciukiem (tylko załóż rękawice, bo przez kilka dni będziesz mieć różowe dłonie). Buraki pokrój na ćwiartki i włóż do wysokoobrotowego blendera, dolej odrobinę wywaru z gotowania i zmiksuj na gęsty, lejący krem. Możliwe, że trzeba będzie to zrobić w dwóch lub trzech porcjach.

Próbuj, by smak nie był zbyt octowy, chociaż to właśnie ocet jest tu główną przyprawą, która przełamuje nadmierną ziemistość buraków. Dodaj crème fraîche i zmiksuj, rozjaśniając i napowietrzając zupę, która zyska cudownie aksamitną konsystencję. Powinna mieć niebywały kolor i boski smak, ale próbuj i doprawiaj, by był idealnie zrównoważony.

Podgrzej zupę w rondlu i przybierz dodatkami. Można ją przechować w lodówce przez tydzień, a resztki zamrozić na jakiś deszczowy dzień.



KLOPSIKI Z KURCZAKA I RICOTTY W BULIONIE Z ORZO, CRÈME FRAÎCHE I KOPERKIEM

6 PORCJI

Klopsiki:

6 udek kurczaka bez kości i skóry, 120 g świeżej bułki tartej, 150 g ricotty, 1 żółtko, dorodny pęczek świeżego estragonu (15-20 g), drobno posiekany; otarta skórka z 1 niewoskowanej cytryny; 10 g soli morskiej w płatkach i spora szczypta mielonego pieprzu; oliwa do smażenia

Zupa:

1 duża cebula, drobno posiekana; 3 łodygi selera naciowego, cienko pokrojone; 3 marchewki przekrojone wzdłuż na pół i pokrojone na cienkie plasterki; 1,7 litra naprawdę dobrego bulionu z kurczaka; 250 g makaronu orzo; 20 g świeżego koperku, drobno posiekanego; 20 g świeżej natki pietruszki, drobno posiekanej; crème fraîche do podania

Pokrój kurze udka na kawałki, włóż do malaksera i zmiksuj na pastę. Dodaj pozostałe składniki klopsików oprócz oleju i ponownie zmiksuj, aż wszystko się połączy. Nabierz niewielką ilość mięsa, zrób z niego kotlecik i smaż w żeliwnym garnku z grubym dnem – to nie zajmie więcej niż kilka minut. Gdy się porządnie zrumieni z obu stron, wyjmij go, zaczekaj, aż przestygnie, a następnie skosztuj i sprawdź, czy nie trzeba doprawić pozostałego mięsa.

Utocz z niego małe klopsiki. Smaż je partiami na rumiano ze wszystkich stron, nie przepełniając garnka, a jeśli trzeba, dolej nieco oliwy. Gotowe klopsiki odłóż na duży talerz lub tacę na czas przygotowania warzyw.

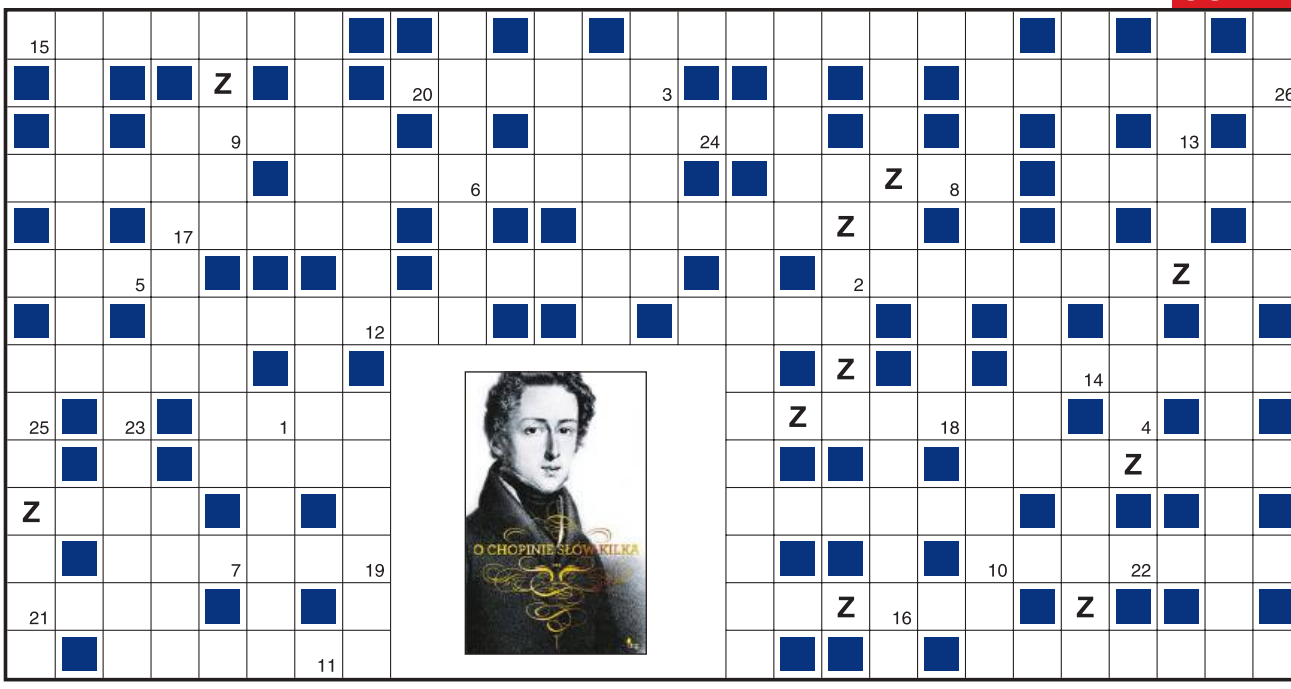
Na wytopionym z klopsików tłuszczu z kurczaka smaż cebulę ze szczyptą soli przez 10-12 minut, aż będzie zupełnie miękka i słodka, ale nie zrumieniona. Dodaj seler i marchewkę, smaż kilka minut, a następnie dolej bulion z kurczaka.

Przykryj garnek pokrywką i gotuj 10-15 minut na małym ogniu, aż warzywa zmiękną. Następnie dołóż klopsiki oraz orzo i gotuj 6-8 minut, aż makaron będzie al dente. Dopraw do smaku, wmieszaj zioła i podawaj w ciepłych miseczkach z łyżką crème fraîche.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 66f0f55e4a

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- szwedzki park narodowy ze stacją obserwacyjną zorzy polarnej
- i motyl, i w marynarce wojennej
- za zabójstwo w nim łagodniejsza kara
- imprezka po głównej imprezie
- obszar wodny
- imię piosenkarki Majewskiej
- tętnica główna
- członek plemienia Mescalero lub Chiricahua
- zawodowiec od parzenia kawy
- miasto z kampusem Uniwersytetu Kalifornijskiego
- podstawowy sakrament chrześcijaństwa
- przytoczone słowa
- płacona panującemu
- program do redagowania tekstów
- wydobywa się z ust medium w transie
- miasto z Buena Vista Social Club
- …rzeczy – sedno sprawy
- mieszanina głośnych, piskliwych dźwięków
- ogólnik, banał
- niedozwolony chwyt za szyję w zapasach
- duszpasterz
- ssak drapieżny z łasicowatych
- i planeta, i groźna mina
- gwiazd lub komór, przedsionków
- kura producentka jaj
- przejaw, oznaka
- natrętna myśl, zafiksowanie się
- nowa… czegoś – kolejna postać, forma
- aktor, wykonawca utworu lub naśladowca
- kosmetyczny olejek roślinny
- kraje Wschodu
- po herbacie na ściankach kubka
- kolorowy pasek na czapce wojskowej
- nimfy, ary lub kakadu
- mazak, flamaster
- Tomasz, współprowadził „Perły z lamusa”
- kratka do pieczenia potraw nad paleniskiem
- wielka liczba ludzi
- H.H. Munro jako autor opowiadań
- na niej Kopuła w Jerozolimie
- na opieszałość albo kasacyjna
- krasnoludki lub berbecie
- rurka do napojów
- dobry gust
- Teksas, Iowa lub Kalifornia
- gruba zasłona w oknie
- pomoc, wsparcie, odsiecz
- w „Misiu” nie mieli w niej płaszcza
- wyborczy – prowadzi kampanię kandydata
- pozostawanie w miejscu wbrew chęciom
- operacja handlowa kupna, sprzedaży
- słoniowa, powietrzna lub archanielska
- „…we krwi” Kurosawy
- kruszący materiał wybuchowy
- wielki strach
- dawny pas z kieszeniami na pieniądze
- kwiat z Holandii
- muzułmański znawca teologii i prawa
- konny wojak z lancą
- „…od morza” Żeromskiego
- przestrzeń w środku czegoś
- proste ćwiczenie na drążku

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1244”. Do rozlosowania książki „O Chopinie słów kilka” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 października 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1241” z nr. 40: *Ładna klatka nie karmi ptaka.*

Nagrody otrzymują: Franciszek Borowiec z Zawiercia, Magdalena Pyra ze Stalowej Woli, Joanna Sokolnicka-Ćwięk z Krakowa.

eprasa.pl 66f0f55e4a

Generał ambasador

To rzecz ciekawa, choć średnio krzepiąca. Otóż wysyłamy do Słowenii, na stanowisko ambasadora (tak, tak, nie żadnego szarżyka), gen. Leszka Soczewicę. I teraz nasuwają się pytania.

Dlaczego do Słowenii generała? W zasadzie na to pytanie można odpowiedzieć dosyć łatwo – po prostu Leszek Soczewica, w czasie gdy Sikorski szefował MON, był dyrektorem jego sekretariatu, skąd wysłany został na stanowisko attaché wojskowego w ambasadzie RP w Waszyngtonie. Możemy więc mówić, że Sikorski wysyła do Słowenii swojego dawnego współpracownika.

Ale można też odpowiedzieć na poważnie. Otóż Leszek Soczewica to taki pół dyplomata, pół generał. Pracował w Oddziale Wojskowych Spraw Zagranicznych Sztabu Generalnego WP, był attaché obrony, oficerem łącznikowym przy dowództwie NATO. A gdy wrócił z Waszyngtonu, w 2012 r. został szefem Zarządu Analiz Wywiadowczych i Rozpoznawczych Sztabu Generalnego WP. Stamtąd przeszedł do MSZ, na stanowisko podsekretarza stanu. W tamtym czasie szefem ministerstwa był Grzegorz Schetyna. W MSZ Soczewica wskoczył w buty Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, która wyjechała do Moskwy na stanowisko ambasadora. Przejął więc po niej obszar polskiej polityki wschodniej. Równocześnie przejął, po Bogusławie Winidzie, który wyjechał na placówkę do Nowego Jorku, na stanowisko ambasadora przy ONZ, kompetencje związane z nadzorem nad polską polityką bezpieczeństwa i NATO. Tak oto przez ponad rok nadzorował dwa najważniejsze kierunki polskiej polityki zagranicznej. Bo latem 2015 r. wyjechał do Bratysławy – objął tam stanowisko ambasadora RP.

O tym mało kto pamięta, ale gdy dyskutowano w Sejmie nad jego kandydaturą, wybuchła awantura. Posłowie, z różnych partii, pytali, dlaczego tak mocnego kandydata, znawcę spraw NATO i obronności, kieruje się do Bratysławy. Witold Waszczykowski, wówczas poseł PiS, wołał do Grzegorza Schetyny: „Chciałbym zapytać pana ministra, dlaczego pan minister po raz kolejny wyrządza krzywdę panu generałowi? Rozumiem, że po raz pierwszy uczynił to ten »szkodnik« polskiej dyplomacji, przerywając świetną karierę wojskową pana generała. Generał, którego znam od dawna, ma bardzo bogate doświadczenie wojskowe i powinien być kandydatem naszej ojczyzny na najwyższe stanowiska dowódcze w strukturach NATO, a nie w kraju będącym 13. partnerem handlowym Polski! (…) Nie mamy fachowców, których moglibyśmy wysłać do struktur dowódczych NATO. Dlaczego kariera pana generała została przekierowana na dyplomację?”. Soczewica krótko wówczas odpowiedział, że w świetle tego, co dzieje się za naszą wschodnią granicą (a był to rok 2015), sprawy wojskowe i kontakty polsko-słowackie nabierają wyjątkowego znaczenia. Mądrego posłuchać…

Na zakończenie zauważmy dwie sprawy. Gen. Soczewica nie znalazł miejsca w Polsce i znów jedzie na placówkę wagi nie najcięższej. Bardziej to na synekurę wygląda, miłą emeryturę niż na próbę wykorzystania jego wiedzy. A po drugie… Jego kandydatura konsultowana była jeszcze w marcu i Andrzej Duda zapewnił, że podpisze Leszkowi Soczewicy nominację ambasadorską.

Teraz pytanie zasadnicze: jak to zostało załatwione? Czy Sikorski coś Dudzie ekstra obiecał? A może po prostu Soczewica ma dobre układy w obozie prawicy? Czy załatwił to sobie po linii wojskowej?

I to są rzeczy ciekawe, choć średnio krzepiące.

Attaché



Prezent pod kolor, Proton dla Leona. Andrzej Michalski, właściciel stadniny Michalski w Kołobrzegu-Budzistowie, ofiarował papieżowi konia czystej krwi arabskiej. Watykan, 15 października 2025 r.

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl 66f0f55e4a







Monde diplomatique

MIKOŁAJ RATAJCZAK,
FILOZOF, INSTYTUT FILOZOFII I SOCJOLOGII PAN

W 2025 r. w Gnieźnie miał miejsce najdłuższy strajk pracowniczy w historii III RP. Między 3 czerwca a 14 lipca oglądaliśmy walkę pracowników i pracownic fabryki Jeremias z praktycznie wszystkimi znanymi w Polsce praktykami zwalczania zorganizowanego ruchu pracowniczego: zwalnianiem reprezentantów związkowych, nieuznawaniem legalności strajku, odmawianiem istnienia organizacji związkowej, zatrudnianiem więźniów do pracy w trakcie trwania strajku, a w końcu także próbami fizycznego odizolowania strajkujących w zbudowanej pośpiesznie metalowej klatce. Firma w Gnieźnie, będąca częścią niemieckiej Grupy Jeremias, wolała wydać miliony złotych na opłacenie znanej ze zwalczania związków zawodowych amerykańskiej kancelarii Littler, niż zgodzić się na żądania płacowe strony pracowniczej. Mimo to strajk zakończył się podpisaniem akceptowalnego dla pracowników i pracownic porozumienia.

press

MAGDA ŁUCYAN,
REPORTERKA „FAKTÓW”

Co ciekawe, już dawno temu nawet firmy naftowe i paliwowe potraktowały temat serio i były gotowe do zmian. Ale ponieważ nastąpiła zmiana na szczytach politycznych w Stanach Zjednoczonych, to te firmy dostały sygnał, że nie muszą już traktować klimatu poważnie. Bez względu na to, w co kto wierzy, żadne nasze podejście nie zmieni fizyki. Mamy dwie opcje, jak Chińczycy – zrozumieć, że świat się zmienia, i zainwestować – jak oni – w odnawialne źródła energii. Czy nimi kieruje altruizm? Wątpię. Raczej motywuje ich interes ekonomiczny. Wiedzą, że gospodarki będą szły w tym kierunku. Możemy też jak Amerykanie zamknąć oczy na zmiany. Tylko że oni zostaną w tyle. Po prostu.

RZECZPOSPOLITA

ANDRZEJ BARGIEL,
SKIALPINISTA

Do wszystkiego pchała mnie ciekawość, czy jestem w stanie to zrobić, a nie myśl, że muszę to zrobić za wszelką cenę. (…) Jedynym, który ze mną wszedł, był Dawa Szerpa, którego nazwaliśmy „Speed Dawa”, bo był silny i dobrze radził sobie w górach. Dzięki niemu udało mi się wejść, bo nie wiem, czy zdecydowałbym się na atak samotnie. Szerpowie są pod wielkim wrażeniem, jeśli ktoś jest w stanie im pomagać w górach, forsować z nimi drogę albo jeździć na nartach po takim terenie. Tym zdobywa się ich szacunek. Nie wyobrażali sobie, jak można zjechać na nartach z Mount Everestu. Myśleli, że to jest niemożliwe. Znam tych ludzi od lat, pomagam im, więc mam z nimi dobre relacje.

top agrar POLSKA

MAŁGORZATA BUCZEK,
CERTYFIKOWANY JUHAS I WKRÓTCE BACA

Czym się różni zawód juhasa od bacy?

– Na górskiej hali każdy zna swoje miejsce. Baca jest gospodarzem i autorytetem – to on odpowiada za całe stado, za wyrób serów, za ludzi i rytm pracy. Jego decyzje ważą najwięcej, bo to on bierze na siebie odpowiedzialność za powodzenie całego sezonu. Juhas natomiast to jego prawa ręka – pomaga przy wypasie, przy serach, uczy się fachu, zdobywa doświadczenie. Z czasem, jeśli wytrwa, może sam zostać bacą. Między bacą a juhasem nie ma rywalizacji, jest ciągłość – mistrz i uczeń, doświadczenie i praktyka, odpowiedzialność i nauka. Dzięki temu pasterska tradycja trwa. A oscypek i bryndza mają ten sam smak, co przed wiekami.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (2), SARKA FARKA

eprasa.pl 66f0f55e4a

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



				R		

* sama na rzece

		U				

* koniec w szachach

					S			

* lista pań

ROZWIĄZANIA: ZAPORA, LAUFER, JADŁOSPIS



Aby język giętki…

MIROSŁAW OCZKOŚ
O SZYMONIE HOŁOWNI
Łamać publicznie głoszone przez siebie zasady to najgłupsze, co można zrobić.

EDYTA WOJTCZAK O TELEWIZJI
To, co pokazuje dzisiaj telewizja, to są, za przeproszeniem, śmiecie.

PROF. JOANNA SENYSZYN
O NOWEJ PARTII
Ma już nazwę: Nowa Fala Profesor Senyszyn. Ma zmieść starą politykę, wymieść nienawiść i zmienić polską scenę polityczną.

HENRYK MARTENKA O MARKU MIGALSKIM
Celebryta wylansowany przez PiS i TVN.

JULIUSZ MACHULSKI
O NOWYCH TWARZACH
Producenci i reżyserzy są leniwi i często obsadzają te same twarze w podobnych rolach.

BARBARA BURSZTYNOWICZ O JESIENI
Zachwyca mnie wszystko, co jest wpisane w jesienny pejzaż. To najpiękniejsza pora roku. Ma niezwykłe światło, wyjątkowy zapach powietrza, dźwięki, ptaki, wiatr, szeleszczące liście.

LIDIA POPIEL
O ŁATCE ŻONY BOGUSŁAWA LINDY
Nigdy mnie to nie bolało, ale też w niczym nie pomagało. Wzbudzało trochę ciekawości.

LENA GÓRA O ODWADZE
W sumie nie boję się niczego i nikogo. Nic nie jest mi straszne.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 66f0f55e4a

Magical Dreams VIII

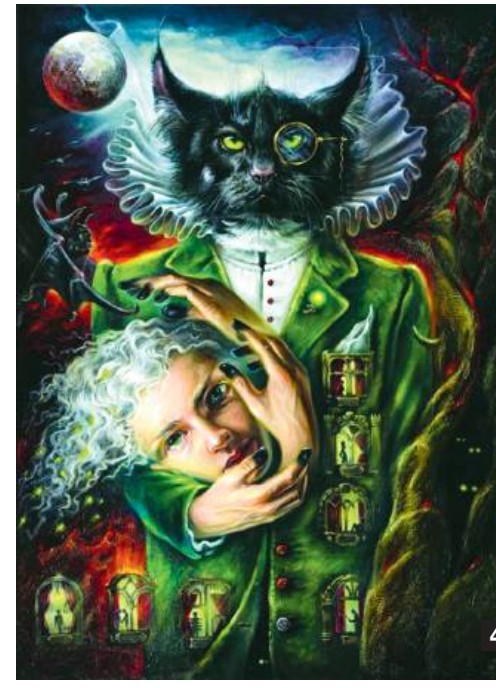

1


2

Od 30 lat Bator Art Gallery w Szczyrku jest miejscem, gdzie sztuka znajduje przestrzeń dialogu i spotkania. Z tej tradycji narodził się projekt „Magical Dreams", dziś największa w Europie wystawa poświęcona realizmowi magicznemu, przyciągająca artystów o światowej renomie, obecnych w muzeach i prestiżowych kolekcjach na wszystkich kontynentach. Ósma edycja wydarzenia ponownie gromadzi mistrzów i nowe twórcze głosy, łącząc precyzję warsztatu z ulotnością wizji, jawę ze snem, codzienność z magią wyobraźni. W roku jubileuszu galerii wystawa staje się także celebracją więzi, które przez lata połączyły artystów, kuratorów i publiczność.

Bator Art Gallery
Szczyrk, ul. Myśliwska 60
do 9 listopada


3


4

1. Christophe Vacher, Klepsydra
2. Kathrina Sofie Baumgartner, Tajemnicze miejsce
3. Micha Lobi, Gospodynie domowe
4. Ulyana Turchenko, Pluton

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 66f0f55e4a


wishsurfing.pl
Które marzenie wybierzesz?
Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.
wishsurfing.pl

MAGDALENA
MAŚCIANICA

MICHAŁ
SIKORSKI

BARTŁOMIEJ
KOTSCHEDOFF

ŻYCIE DLA POCZĄTKUJĄCYCH



SOPOT FILM FESTIVAL

50. FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH
OFICJALNA SELEKCJA
KONKURS GŁÓWNY

OFF CAMERA
NAJLEPSZY POLSKI FILM FABULARNY: MASTERCARD RISING STAR AWARD

Młodzi i Film
NAGRODA STOWARZYSZENIA KIN STUDYJNYCH

Międzynarodowy Festiwal Filmowy
BellaTOFIFEST
Oficjalna Selekcja 2025

PRZEWROTNA KOMEDIA O TYM, ŻE WAMPIRÓW NIE TRZEBA SIĘ BAĆ

W KINACH OD 24 PAŹDZIERNIKA

AURORA

epraso.pl 66f0f55e4a